

POLSKI ZSYF
Płonące śmieci
to początek problemu

NIELUDZKA POLITYKA
W sprawie niepełnosprawnych
zawiedli wszyscy

JEZUS NAD RZYMEM
Raport: czy Kościół
w Europie umiera

PODRÓŻ Z HANEM SOLO
12 parseków
kultury popularnej

Kraków 10 czerwca 2018 nr 24 (3596)

cena 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Nosowska od nowa

O WYGRYWANIU Z LĘKIEM
I CZUŁOŚCI DLA SIEBIE



W NUMERZE
DODATEK
**70 LAT
PAŃSTWA
IZRAEL**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480802



Izrael i Jordania

Od 4998zł

Izrael i Jordania w 8 dni. Wyloty Warszawa - 12/11 i 20/11 2018

Program wycieczki: **Dzień 1.** Wylot z Warszawy do Tel Awiwu. **Dzień 2.** Cud w Kanie Galilejskiej. Nazaret. Jezioro Galilejskie. Tyberiada. Kafarnaum. **Dzień 3.** Yardenit – miejsce chrztu Jezusa. Przejazd do Jordanii. Jerash – „rzymskie miasto”. Wjazd na Górę Nebo. Madaba – mozaiki bizantyjskie. **Dzień 4.** Petra – lista światowego dziedzictwa UNESCO. Amman. **Dzień 5.** Przejazd mostem Allenby do

Izraela. Jerycho. **Dzień 6.** Jerozolima – Brama Jaffy, „Ściana płaczu”, Wzgórze Świątynne, Droga krzyżowa - Via Dolorosa, Bazylika Grobu Świętego, Ostatnia Wieczerza. Betlejem – Kościół Narodzenia Pańskiego. **Dzień 7.** Góra Oliwna, Ogród Oliwny, kąpiel w Morzu Martwym. Masada. **Dzień 8.** Wylot z Tel Awiwu do Warszawy.

• Wyżywienie: 7 śniadań, 7 kolacji • Hotele: 3*/4* (7 nocy)

8 dni



Izrael

– Ziemia Obiecana

Od 4498zł

Wylot 11/11 2018

Program wycieczki: **Dzień 1.** Wylot z Warszawy do Tel Awiwu. **Dzień 2.** Tabgha. Kafarnaum. Yardenit – miejsce chrztu Jezusa. **Dzień 3.** Kana Galilejska. Nazaret. Hajfa. **Dzień 4.** Betlejem. Góra Oliwna. Ogród Oliwny. **Dzień 5.** Jerozolima – Brama Jaffy, „Ściana Płaczu”, Meczet Al-Aksa i Kopuła na Skale, Bethesda, Kościół Św. Anny, Droga krzyżowa - via Dolorosa, łuk Ecce Homo, Bazylika Grobu Świętego. Kościół Św. Piotra, Grób Dawida i Ostatnia Wieczerza. **Dzień 6.** Zachodnia Jerozolima – Kneset. Jad Waszem. En Kerem. **Dzień 7.** Jerycho – Góra Kuszenia. Kąpiel w Morzu Martwym. Masada. **Dzień 8.** Wylot z Tel Awiwu do Warszawy.

• Wyżywienie: 2 posiłki dziennie • Hotel: 3*/4* (7 nocy)

9 dni



USA

w pigułce

Od 7998zł

Wylot 13/11 2018

Program wycieczki: **Dzień 1.** Wylot z Warszawy do Los Angeles. **Dzień 2.** Los Angeles – Calico – Laughlin. **Dzień 3.** Laughlin, Route 66, Wielki Kanion i Tusayan. **Dzień 4.** Muzeum Navaho, wspólny obiad, Dolina Pomników, rezerwat Navaho, safari jeepem i wspólna kolacja. **Dzień 5.** Dolina Pomników, Kanion Antylopy, Page, jezioro Powell, Horseshoe Bend i Kanion Bryce. **Dzień 6.** P.N. Bryce Canyon, Las Vegas i opcjonalnie Las Vegas by Night. **Dzień 7.** Las Vegas, całodzienna wycieczka do P.N. Doliny Śmierci i powrót do Las Vegas. **Dzień 8.** Las Vegas. Wylot z Los Angeles do Warszawy. **Dzień 9.** Przylot do Warszawy.

• Wyżywienie: śniadania i 1 kolacja • Hotele: 3* (7 nocy)

Rezerwacja

+48 22 128 48 81
www.albatros.pl

Warszawa
ul. Marszałkowska 74



Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r. - Polski pilot - Bilety wstępów

Cena zawiera: opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2 osobowych, wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe oraz bilety wstępów. Kod reklamy: TP09

KS. ADAM

Boniecki: Przeciw strukturalnemu złu

PROTEST OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH I ICH OPIEKUNÓW w Sejmie się skończył, problem pozostał. Bartłomiej Sienkiewicz (w dziale Kraj) trafia w istotę problemu, którym jest „niehumanitarna polityka”, co w języku Jana Pawła II znaczy „strukturalne zło” (por. „Sollicitudo rei socialis”, 16). Są to dla papieża „utrwalone struktury albo sankcjonujące zło, albo wręcz je promujące” będące owocem i nagromadzeniem wielu grzechów osobistych tego, „kto powoduje lub popiera nieprawość albo też czerpie z niej korzyści; tego, kto mogąc uczynić coś dla uniknięcia lub usunięcia czy przynajmniej ograniczenia pewnych form zła społecznego, nie czyni tego z lenistwa, z lęku czy też w wyniku zмовy milczenia lub zamaskowanego udziału w złu, albo z obojętności; tego, kto zasłania się twierdzeniem o niemożności zmiany świata; i również tego, kto usiłuje wymówić się od trudu czy ofiary, podając różne racje wyższego rzędu”.

Tak się kończy robienie oszczędności na słabych. Nie tylko na tych, o których się upomnieli protestujący w Sejmie, ale też na ludziach starych, emerytach, pensjonariuszach domów opieki i hospicjów, na dzieciach z domu dziecka itd.

Jan Paweł II pisał: „stoiśmy wobec rzeczywistości bardziej rozległej, którą można uznać za prawdziwą strukturę grzechu: jej cechą charakterystyczną jest ekspansja kultury antysolidarystycznej, przybierającej w wielu przypadkach formę autentycznej kultury śmierci. Szerzy się ona wskutek oddziaływania silnych tendencji kulturowych, gospodarczych i politycznych, wyrażających określoną koncepcję społeczeństwa, w której najważniejszym kryterium jest sukces” („Evangelium vitae”, 12).

Sienkiewicza najbardziej boli stanowisko Kościoła; to, że „nikt w imieniu Episkopatu nie zaproponował mediacji, nie nawoływał wszystkich do wspólnego, ponadpolitycznego działania na rzecz zakończenia protestu i pomocy w realizacji postulatów niepełnosprawnych”. Niestety, boli nie tylko Sienkiewicza.

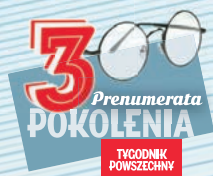


Oczekiwanie na ruch ze strony Kościoła wynikało nie tylko z tego, że – co wciąż przypomina papież Franciszek – powinien on być solidarny z ludźmi zepchniętymi na margines, ale i z wielkiej polskiej tradycji zaangażowania Kościoła na rzecz niepełnosprawnych. W czasach PRL-u zakonnice prowadziły bądź obsługiwały ośrodki dla niepełnosprawnych, którymi rodziny nie były się w stanie zajmować. Hanna Chrzanowska (ostatnio beatyfikowana) opierając się na parafiach stworzyła potężną sieć wspierających rodziny pielęgniarek i wolontariuszy. Dziś Caritas albo wspólnoty typu L'Arche kontynuują tę aktywność, jednak dla patrzącego z boku „flagowe” akcje Kościoła to stypendia dla zdolnej (zdrowej) młodzieży, budowa Świątyni Opatrzności Bożej, charyzmatyczne nabożeństwa na stadionach itp. Akcji stypendialnej dla niepełnosprawnych i słabszych nie ma. Z wielką akcją w obronie poczętego życia nie wiążą się konkretne formy solidarności z tymi, którzy przez długie lata będą dźwigać ciężar uratowanego życia, jeśli będzie ono dotknięte niesprawnością.

Struktury nastawione na sukces i władzę są kuszące nawet dla chrześcijanina. Niejeden raz instytucje kościelne, na swoje nieszczęście, tej pokusie ulegały. Pojawienie się niepełnosprawnych i ich opiekunów w pełnym świetle obnażyło struktury zła, które tak łatwo przyjmujemy jako jedyne z możliwych i niezmiennie. Tu już nie chodzi o grupę – nieważne, jak wielką – niepełnosprawnych, ale o nas wszystkich. O to, jakim będziemy społeczeństwem.

„Każdy przejaw ubóstwa jest wyzwaniem dla chrześcijańskiego miłosierdzia każdego z nas. Jednakże miłosierdzie powinno wyrażać się także w działalności na płaszczyźnie społecznej i politycznej, ponieważ problem ubóstwa na świecie wynika z konkretnych uwarunkowań, które ludzie dobrej woli, budowniczości cywilizacji miłości, winni przemieniać” (Jan Paweł II, Orędzie na XIV Światowy Dzień Młodzieży 1999). ©P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



NA LATO I NA LATA. CZYTAJ „TYGODNIK” W PRENUMERACIE

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok dla osób poniżej 25. lub powyżej 65. roku życia

■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Polska wrażliwość

MICHAŁ OKOŃSKI

6-9 Wiadomości / Komentarze

18 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Nieludzka polityka

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ:
*Na proteście niepełnosprawnych
wygrały oba polskie plemiona.
Przegrali śpiący na materacach*

24 Genetyczne pokuszenie

MAŁGORZATA SOLECKA: *Polska nie
ma przepisów dotyczących badań
genetycznych*

26 Magistra na wynos poproszę

KRZYSZTOF STORY: *Kto pisze i kupuje
prace dyplomowe*

■ ■ WIARA

30 Jezus nad Rzymem

EDWARD AUGUSTYN: *Czy Kościół
w Europie umiera? Poszukajmy
odpowiedzi, zaczynając od Włoch*

34 Wolontariusze Boga

PRZEMYSŁAW KOZŁOWSKI
*o ludziach, którzy z motywów
religijnych pomagają imigrantom*37 Świętość w zasięgu
rozwodników

MAREK SŁOŃ

■ ■ ŚWIAT

40 Francuski Żyd-tułacz

SZYMON ŁUCYK

43 Bezdomność, która boli mniej

AGNIESZKA KAMIŃSKA: *Szwajcarzy
zagłosują nad prawem człowieka
do dachu nad głową*

46 Cicha rewolucja

PATRYCJA BUKALSKA: *Irlandzkie
referendum w sprawie aborcji*

LUKASZ SZELĄG / REPORTER

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

10 Pieniądz nie śmierdzi

MAREK RABIJ

Od stycznia w Polsce spłonęło 65 składowisk odpadów, na które w ostatnich latach trafiało coraz więcej śmieci z zagranicy. Zbieżność wydarzeń nieprzypadkowa.

14 Obieg zamknięty

ROZMOWA Z ROBERTEM CYGLICKIM, DYREKTOREM
GREENPEACE POLSKA

Nauczyliśmy się żyć szybko i jednorazowo.
Ile trwa życie jednorazowej foliowej torebki?
15 minut – kiedy niesiemy ją ze sklepu do domu.

■ ■ FELIETONY ■

29 ANNA DZIEWIT-MELLER

39 SZYMON HOŁOWNIA

53 WOJCIECH BONOWICZ

74 JAN KLATA 75 PAWEŁ BRAVO

80 STANISŁAW MANCEWICZ

80 BARTOSZ MINKIEWICZ

■ ■ DODATKI SPECJALNE ■

70 lat państwa Izrael

Copernicus Festival 2018

Okładka: KATARZYNA NOSOWSKA

Fotografia: ALDONA KARCZMARCZYK / VAN DORSEN ARTISTS

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

47 Rożawa: między
rewolucją a tradycją

PAWEŁ PIENIAŻEK:

Korespondencja z północnej Syrii

■ ■ HISTORIA

50 Największa i najważniejsza

JAN SZKUDLIŃSKI: *Magistrala
węglowa, zapomniany projekt
Polski międzywojennej*

■ ■ NAUKA

54 Jak powstaje człowiek

ANNA BARTOSIK o eksperymentach
z udziałem hybryd ludzkich
i kurzych embryonów

56 Rój

ŁUKASZ ŁAMŻA:
Cykl „Czytamy Naturę”

■ ■ KULTURA

62 Ja pas

ROZMOWA Z KATARZYNA
NOSOWSKĄ, PIOSENKARKĄ:
*Cudowne było uświadomienie sobie,
że nie zdobędę stuprocentowej
akceptacji otoczenia*

67 Poza strefą komfortu

PIOTR KOSIEWSKI o *Miesiącu
Fotografii w Krakowie*

70 12 parseków na Kessel

MARCIN NAPIÓRKOWSKI:
*Do kin trafił właśnie „Han Solo:
Gwiezdne wojny – historie”*

72 Horror dorastania

ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Thelma” Joachima Triera

73 Warto zobaczyć w TV

74 Dla uzależnionych

LEKTOR o „Dzienniku 1957–1966”
Sándora Máraia

■ ■ ZMYŚŁY

76 Galaktyki z betonu

BEATA CHOMĄTOWSKA: *Bloki
mieszkalne – dobre są czy złe?*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabi, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Tabuszevska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Łukasz Kwiatek
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Drągula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Lubiński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Nocui, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Magdalena
Rittenhouse, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś,
Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Teresa
Stylińska, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Joachim Trenkner, Marek Zajac
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grzyna Makara (kierownik),
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad
Graphics

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ
TYGODNIA

POLSKA WRAŻLIWOŚĆ

Dlaczego rządowi przeszkadza obecność Barbary Engelking w instytucji zajmującej się pomnikami Zagłady w naszym kraju?

MICHAŁ OKOŃSKI

DANO MI DO ZROZUMIENIA, ŻE NIE BĘDĘ DŁUŻEJ przewodzić Międzynarodowej Radzie Oświęcimskiej” – powiedziała Barbara Engelking po tym, jak wicepremier Jarosław Gowin oświadczył, że premier Morawiecki podejmując decyzję o nowej kadencji Rady będzie się kierować przede wszystkim „polską wrażliwością na te sprawy”. Zaszło tu chyba jakieś nieporozumienie: trudno o lepszy symbol „polskiej wrażliwości” niż profesor Engelking.

Jak każdy zawodowy polityk, wicepremier nie ma czasu na czytanie książek. Słyszał, że „badania prof. Engelking są kontrowersyjne”, ale na czym kontrowersje polegają, powiedzieć nie potrafi – nie on jeden zresztą, bo gdy spojrzeć np. na wywiady kierownictwa IPN po premierze „Dalej jest noc”, ostatniej publikacji kierowanego przez prof. Engelking Centrum Badań nad Zagładą Żydów, widać przede

wszystkim bezradność w próbie merytorycznego zmierzenia się z tematem.

Dyskusja nad „Dalej jest noc” skupiła się na udziale polskiej ludności w mordach na szukających ratunku przed Zagładą współobywatelach. Tyle że studium to nie zajmuje się tematem polskiej winy czy niewinności. W kwestii, która tylu z nas napawa ekscytacją, stwierdza rzeczy oczywiste: tak jak nie da się mówić i pisać o Zagładzie inaczej niż o przedsięwzięciu zaplanowanym i zorganizowanym przez Niemców, tak nie da się z tej historii usunąć pytania o polskich „pomocników śmierci”. Uwzględniając przy tym kontekst okupacyjnego terroru, demoralizacji, antysemityzmu.

W centrum zainteresowań Barbary Engelking leży jednak coś innego. Jej „polska wrażliwość” (wrażliwość – chciałoby się dodać, odwołując się do czytanych kiedyś przez

Barbara Engelking podczas wręczenia nagrody im. Jana Karłowicza i Poli Nireńskiej, Warszawa, 11 września 2013 r.

→ wicepremier Gowina autorów, np. Jana Pawła II, Stefana Świeżawskiego czy Józefa Tischnera – z ducha Polski Jagiellońskiej, noszącej ciężary innych, solidarnej) każe podczas badań nad Zagładą nie myśleć o narodowych interesach. W jej pracach nie mamy żadnej pedagogiki, oburzenia czy oskarżeń, przeciwnie: empatia autorki obejmuje także tych, których nie stać było na heroizm. Najważniejsze jest jednak przywracanie pamięci o ofiarach. Imiona wielu z nich poznajemy po raz pierwszy.

Bohaterowie jej książek nie są tylko ludźmi, którzy zginęli w straszny sposób. W „Dalej jest noc” pisze o ich odwadze, pomysłowości, determinacji. Pisze o godności i szlachetności. O porywach serca. W wywiadzie dla „TP” (czytaj na powszech.net/engelking) mówiła o Mietku Pachterze, ukrywającym się podczas powstania w warszawskim getcie w bunkrze na Miłej: „Kiedy tylko wokół rozlegają się kroki Niemców, jakaś nieznana mu dziewczyna, której nawet w tej ciemności nie widzi, łapie go za rękę. To powtarza się wielokrotnie – wobec groźby odkrycia schronu łapią się kurczowo za ręce i tak trwają, dzień po dniu. W końcu Niemcy ich wygarniają, prowadzą na Umschlagplatz, i tam z kolei, w ciągu trzech dni czekania na wywózkę, Mietek i Dziunia przeżywają wielką miłość”.

Można by oczywiście próbować przekonywać Jarosława Gowina, że po międzynarodowej katastrofie, jaką wywołał jego obóz polityczny majstrując przy ustawie o IPN, gmeranie przy składzie Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej – usuwanie z niej postaci rozpoznawanej w świecie, wiarygodnej i jak mało kto kompetentnej – jest aktem politycznej nieroztropności. Że w interesie polskiego państwa nie leży otwieranie tu kolejnego frontu. Ponieważ jednak wicepremier mówił o „polskiej wrażliwości”, warto przypomnieć mu jeszcze jednego autora, którego czytywał w młodości. „W twojej ojczyźnie do obcych w wierze / Bóg się nie zniża / Moja ojczyzna świat cały bierze / W ramiona krzyża”.

Czy nie to jest właśnie „polska wrażliwość”, Panie Premierze?

© PR MICHAŁ OKOŃSKI

W SKRÓCIE

KOTA NIE MA. W związku z bólami w kolanie Jarosław Kaczyński czwarty tydzień przebywa w warszawskim Szpitalu Wojskowym. Rzeczniczka PiS Beata Mazurek poinformowała, że prezes przeszedł zabieg, po którym czeka go „leczenie usprawniające i rehabilitacja”, ale zdaniem wielu dziennikarzy Kaczyński jest jeszcze przed zasadniczą operacją, a jego nieobecność w Sejmie potrwa wiele miesięcy.

MYSZY HARCUIĄ. Tabloid oskarżył, a media prawicowe wzięły w obronę posła PiS Stanisława Pięte: zdaniem „Faktu” radykalny obrońca wartości konserwatywnych i członek sejmowej komisji służb specjalnych miał pozamałżeński romans, a swojej kochance usiłował załatwić pracę w spółce Skarbu Państwa; zdaniem obrońców parlamentarzysty mieliśmy do czynienia z prowokacją i zemstą niemieckich mediów, on sam zaś mówi, że „być może przesadził z troską i dobrocią”.

PREZYDENT TAŃCZY. Na dorocznym spotkaniu modlitewnym młodzieży na polach Lednicy Andrzej Duda dołączył do grona tańczących pod Bramą-Rybą. Oburzonym i naśmiewającym się wypada przypomnieć, że przed obecnym prezydentem tańczyli inni liderzy i przywódcy: Bronisław Komorowski, Aleksander Kwaśniewski, a za granicą np. Justin Trudeau.

I TYLKO KONI ŻAL. Słynną aukcję Pride of Poland w Janowie Podlaskim zastąpi inna i organizowana na odmiennych zasadach. Upadek imprezy, na którą zjeżdżały tysiące widzów i najważniejsi hodowcy świata, rozpoczął się w 2015 r., po zmianie rządu i odwołaniu wcześniejszego kierownictwa stadniny.



AGNIESZKA KAMIŃSKA, autorka tekstu o prawie do dachu nad głową (str. 43), będzie gościem audycji Światopogląd w środę 06.06. o godz. 16.00. 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Bruksela dzieli i rządzi

MAREK RABIJ



19,5 MLD EURO – O TYLE KOMISJA EUROPEJSKA obcięła pulę dla Polski w projekcie nowego budżetu spójności UE na lata 2021–2027.

Nowe zasady przydziału subwencji wiążą jej wysokość z zamożnością regionów, ale też z bezrobociem wśród młodych, jakością szkolnictwa czy otwartością na imigrantów. Komisja chce, by więcej pieniędzy trafiło dzięki temu na pogrążone w gospodarczej stagnacji południe kontynentu. Europę Wschodnią, która w dwóch ostatnich rozdaniach budżetowych była ich głównym beneficjentem, tym razem Wspólnota chce potraktować jak pełnoletnią córkę, która powinna już radzić sobie sama.

Krótsza finansowa kółderka nie obejmie oczywiście tyłu przedsięwzięć, co dotychczas. Tylko główne inwestycje drogowe i komunikacyjne Unia wspomaga nam obecnie na poziomie blisko 14,5 mld zł. Z Funduszu Spójności dofinansowanie dostają jednak projekty także z obszaru nauki i edukacji, turystyki, kultury i sztuki, ochrony zdrowia, pracy czy ekologii.

Okrojony budżet nie jest dla Polski karą za działania rządu PiS. Nie ulega jednak wątpliwości, że politycy, którzy w Brukseli uchodziliby za przedstawicieli praworządnej władzy, mieliby większą siłę przetargową podczas negocjacji. Cięcia grożą wprowadzić większości krajów regionu, ale to nie gwarantuje Warszawie poparcia Budapesztu, Pragi czy Sofii, które od dawna krzywo patrzą na wysokość unijnych dotacji dla Polski. © PR

Wyprawka: co wie rodzic

„NIE BĘDZIE ŻADNYCH WARUNKÓW DLA RODZICÓW. Oni wiedzą najlepiej, na co wydać pieniądze dla swoich dzieci” – ta wypowiedź Mateusza Morawieckiego, anonsująca podczas konwencji PiS wprowadzenie szkolnych wyprawek bez kryterium dochodowego, powraca dzisiaj w zupełnie nowym kontekście.

Prawo o jednorazowej wypłacie 300 zł na każdego ucznia prezydent Duda podpisał w ubiegły piątek. Pięć dni po zakończeniu protestu osób niepełnosprawnych i ich opiekunów, którzy domagali się – bezskutecznie – wprowadzenia 500-złotowego dodatku rehabilitacyjnego. Wśród wysuwanych przez polityków PiS argumentów padały głównie te ekonomiczne (państwa na wypłaty nie stać). Nie brakło też wypowiedzi sugerujących, że wypłata w gotówce nie jest dobrym pomysłem (państwo nie ma kontroli nad tym, w jaki sposób rodzice niepełnosprawnych spożytkują gotówkę).

O jednorazową wyprawkę szkolną można się ubiegać od lipca, wypłacana będzie od września. Roczny budżetowy koszt: około półtora miliarda złotych.

© PR PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Hiszpańska zmiana

WIELU NA TO CZEKAŁO, ale nikt się tego nie spodziewał: prawicowy rząd Mariano Rajoya otrzymał wotum nieufności, premierem został socjalista Pedro Sánchez.

Już w 2011 r., gdy Rajoy obejmował władzę, nad jego partią wisiły oskarżenia korupcyjne. Ale dopiero w minionym tygodniu sąd stwierdził, że Partido Popular od chwili powstania w 1989 r. korzystała z systemu nielegalnego finansowania, a Rajoy jako świadek w sprawie składał fałszywe zeznania.

Poza tuszowaniem korupcji Rajoy zostanie zapamiętany z cięć w polityce społecznej, odmowy rozliczeń z reżimem Franco, ograniczenia wolności zgromadzeń („prawo kagańca”) i zawieszenia autonomii Katalonii. „Zostawiam Hiszpanię w lepszym stanie, niż ją zastałem” – mówił teraz. Jeśli brać pod uwagę tylko dane ekonomiczne, to prawda. Ale można dyskutować, na ile wzrost gospodarczy to jego zasługa, a na ile wynik światowej koniunktury.

Sánchez może zmienić styl rządzenia (zwłaszcza dialogu z Katalonią), ale nie przeprowadzi wielkich reform: nie pozwala mu na to ani układ sił w parlamencie, ani budżet. Obiecał rozpisać wybory, gdy tylko uda mu się „przywrócić normalność” w kraju. Co raczej prędko nie nastąpi.

© P KALINA BŁAŻEJOWSKA

USA i Unii grozi wojna celna?

STAL I ALUMINIUM, eksportowane do USA z Europy i Kanady, od początku czerwca są obłożone karnymi cłami. Decyzja, podjęta jakiś czas temu przez prezydenta Trumpa (dla, jak twierdzi, ratowania przemysłu w USA), była dotąd zawieszona, ale rozmowy USA-Unia nie dały kompromisu. Cła uderzają głównie w Europę Zachodnią (polski eksport był tu niewielki). Oczekuje się, że Unia nałoży teraz cła na produkty z USA (Kanada to zrobiła). Jeśli tak się stanie, byłby to początek wojny handlowej o nieobliczalnych skutkach gospodarczych.

Będą też skutki polityczne. To kolejna decyzja Trumpa podważająca niepisaną zasadę, do której po 1989 r. stosowali się prezydenci: że USA nie działa w świecie na własną rękę, lecz we współpracy z sojusznikami, zwłaszcza z Europy (nawet interwencję w Iraku w 2003 r. prowadziły nie same Stany, lecz koalicja kilkudziesięciu krajów). Trump z tymi regułami zrywa. © P WP



VALENTYN OGIRENKO / REUTERS / FORUM

Sprawa Babczenki: kwestia życia i polityki

NIE MA POWODU, BY NIE WIERZYĆ Arkadijowi Babczence, że była to dla niego kwestia życia lub śmierci, a aspekty zawodowe musiał schować do kieszeni. Ten rosyjski dziennikarz, który w 2017 r. uciekł do Kijowa wraz z rodziną (Babczenkowie mają sześcioro dzieci) – bo w ojczyźnie grożono mu śmiercią za krytykę Putina i jego zbrodni – całym życiem udawał, że konformizm i tchórzostwo są mu obce. Babczenko zgodził się na plan ukraińskiego kontrwywiadu SBU, by przez kilkanaście godzin udawać własną śmierć, jako ofiara mordu zleconego przez Kreml, żeby służby mogły ująć – w chwili wręczenia honorarium za jego śmierć – człowieka, który pośredniczył między rosyj-

ską fundacją bliską Kremlowi a „zabójcą” (ten poszedł na współpracę z SBU). SBU twierdzi, że uratowano życie wielu ludzi: lista zleceń miała być dłuższa (na zdjęciu: dzień po swym „powrocie” Babczenko wita się z koleżankami z krymskotatarskiej telewizji ATR, gdzie dziś pracuje). Ale historia „wojen wywiadów” zna przypadki, gdy udane operacje przynosiły fatalne skutki polityczne. Takie może mieć sprawa Babczenki: na Zachodzie dominuje opinia, że metody SBU – tj. inscenizacja (wskutek której wielu zachodnich polityków potępiło Rosję, a potem poczuło się wykorzystanych) i nieprecyzyjne tłumaczenia, na czym akcja polegała – sprawiają, iż Kijów może stracić wiarygodność, a Rosja będzie teraz jeszcze głośniejsze twierdzić, iż w takich sprawach jak Babczenki czy Skripala „nic nie jest czarne albo białe”.

© P WOJCIECH PIĘCIAK

Włosi mają rząd, a Europa problem



PAWEŁ BRAVO

CHWILOWY SPOKÓJ W RZYMIE. ZA DRUGIM podejściem prezydent zaakceptował skład gabinetu, który przedstawił mu desygnowany na premiera bezpartyjny profesor prawa Giuseppe Conte – marionetka w rękach liderów dwóch populistycznych ugrupowań: Ligi (Mattea Salvini) i Ruchu 5 Gwiazd (Luigiego Di Maio).

Poprzednio kością niezgody była obsada Ministerstwa Gospodarki: Salvini domagał się w tej roli Paola Savony, ekonomisty znanego ze snucia konkretnych planów wyjścia Włoch ze strefy euro. Liga oficjalnie nie uwzględnia już tego pomysłu w programie, ale – upierając się przy Savonie – wysyłała sygnał, że

co najmniej traktuje to jako wyjście awaryjne, do którego trzeba być gotowym. Tak też sygnał odczytały kręgi finansowe, reagując zwykłą oprocentowania włoskich papierów skarbowych. Resort gospodarki dostał więc teraz inny ekonomista, znany „tylko” z krytykowania euro jako rzekomego narzędzia dominacji Niemiec, podczas gdy Savona został... ministrem ds. europejskich.

W ciągu następnych dwóch dni swe rozdrażnienie zdążyli wyrazić przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker i komisarz ds. budżetu Günther Oettinger. Ten drugi w wywiadzie dał wyraz nadziei, że „rynki” wskażą Włochom, jak powinni głosować. © P

Abp Hoser rozjemcą w Medziugorju

ARTUR SPORNIAK



EMERYTOWANY BISKUP WARSZAW-
Esko-praski został specjalnym
wizytatorem dla parafii w Medziu-
gorju. Nominacja doraźna, bo nada-
na „na czas nieokreślony *ad nutum*
Sanctae Sedes”, czyli w każdej chwi-
li papież może ją odwołać. Jaka po-
treba ją wywołała?

W enigmatycznej notce waty-
kańskie biuro prasowe podkreśla,
że jest to misja ściśle duszpaster-
ska, będąca kontynuacją zadania
powierzonego abp. Hoserowi w lu-
tym ubiegłego roku – polski hierar-
cha pojechał wówczas rozpoznać
potrzeby duszpasterskie pielgrzy-
mów, którzy masowo (ok. 2,5 mi-
lionu rocznie) przybywają do miej-
sca wciąż niezalegalizowanych ob-
jawień maryjnych (odbywających
się od 1981 r.). Sam abp Hoser pod-
kreślał, że jego misja nie obejmuje
badania prawdziwości objawień,
ale powrócił, będąc pod wrażeniem
duchowej siły tego miejsca.

Nieoficjalnie wiadomo, że o pra-
wdziwości siedmiu pierwszych ob-
jawień pozytywnie wypowiedzia-
ła się komisja kard. Camilla Ruinie-
go, powołana w 2010 r. przez Bene-
dykta XVI. Zaleciła ona wyjęcie pa-
rafii spod jurysdykcji miejscowego
biskupa (diecezji Mostar) i uczy-
nienia z niej sanktuarium bezpo-
średnio podlegającego papieżowi.
Od dawna istnieje bowiem napię-
cie między obsługującymi parafię
franciszkanami a biskupami Mo-
staru, którzy uznają objawienia za
fałszywe.

Papież wybrał rozwiązanie, któ-
re wszystkich powinno zadowo-
lić. Franciszkanie otrzymują opie-
kuna o szerokich kompetencjach.
Biskup Mostaru może „z twarzą”
zaprzestać zwalczania objawień.
Sam papież zaś na razie trzyma
w bezpiecznej odległości od Waty-
kanu wciąż odbywające się, a przez
to kłopotliwe objawienia. ©P

W SKRÓCIE

PODZIELONA MŁODZIEŻ.

W połowie marca w Rzymie 300
delegatów (19–29 lat) debatowało
o młodzieży. Powstał dokument,
który – jak czytamy we wstępie
– miał być dla biskupów „kom-
pasem wyznaczającym kierunek
ku ясному zrozumieniu młodych
ludzi”. Podczas spotkania pojawi-
ły się głosy odrębne, w ubiegłym
tygodniu opublikowano więc su-
plement. Dla wielu uczestników
spotkania kluczowe w zrozumieniu
problemów młodzieży jest nie to,
co napisano w oficjalnym doku-
mencie, a np. „powrót w liturgii
do nadzwyczajnego rytu
rzymskiego”, „poszanowanie
tradycji jako remedium na relaty-
wizm”.

ZACHWYCONY KARDYNAŁ. Kard.
Raymond Leo Burke, autorytet
środowisk tradycjonalistycz-
nych, wziął udział w procesjach
Bożego Ciała m.in. w Spycimierzu.



W mediach mówił: „Jest to bardzo
mała miejscowość, a jednocześnie
lokalna społeczność była w stanie
przygotować dwukilometrowe
dywany kwiatowe. To wszystko na
cześć Najświętszego Sakramen-
tu. To było wspaniałe!”. 7 czerwca
podczas konferencji naukowej
„Matężństwo i rodzina. Źródło
kryzysu i drogi wyjścia”
w Szczecinie kard. Burke wygłosi
referat zatytułowany „Zagrożenia
płynące z »Amoris laetitia«”.

ODWAŻNA ZAKONNICA. „Nie
każdy zdobyłby się na to. Oko-
liczne bloki i stare zaułki nie
wzbudzają zaufania” – tak o sio-
strze Lenie, szarytce, mówią
mieszkańcy parafii św. Wojciecha
w Kielcach. S. Lena wychodząc
z kościoła była świadkiem, jak
złodziej wyrwał starszej kobiecie
torebkę. Siostra, jak informuje
rzecznik komendy policji, „pobie-
gła za złodziejem, który uciekł do
piwnicy w pobliskim bloku. Zakon-
nica zablokowała drzwi i wezwała
pomoc”. Starsza pani odzyska-
ła torebkę. Złodziejowi grozi
grzywna do 5 tys. zł.



JAKUB KACZMARCZYK / PAP

CHRYSTUS CHCE, żebyś stanął w środku Kościoła
– mówił abp Grzegorz Ryś podczas spotkania
młodzieży na Lednicy. Pod Bramę-Rybę przyjechało
w tym roku około 85 tys. młodych. Tańczyli, słuchali
konferencji, spowiadali się, wzajemnie obmywali
sobie stopy. Tegoroczne hasło spotkania brzmiało
„Jestem”. ©P

Błogosławiony Chesterton?



GILBERT KEITH CHESTERTON
(1874–1936) – publicysta, pro-
zaik, poeta i eseista, humory-
sta i apologeta katolicyzmu,
na który przeszedł w 1922 r.
(reformacja była dlań kata-
strofą). Radykał społeczny,
krytyk kapitalizmu, obroń-
ca wolności i małych wspól-

not. Mistrz stylu, paradoksu i polemiki, ze swoim przy-
jacielem G.B. Shawem toczył długie boje (Chesterton
– obżartuch lubiący alkohol, w „Latającej gospodzie”
wyśmiał ideę prohibicji; Shaw – wegetarianin i absty-
nent). Pomysł wyniesienia Chestertona na ołtarze poja-
wił się pięć lat temu, teraz biskup diecezji Nottingham
ma konsultować ten pomysł z Watykanem.

Przyjaciel Polski, przyjmowany był u nas w 1927 r.
po królewsku, Wacław Borowy poświęcił mu książkę.
Pax publikował go nawet za PRL-u (nie tylko opowiada-
nia o księdzu Brownie), teraz jego ważne eseje (jak „Or-
todoksja” i „Wiekuiasty człowiek”) wydaje Fronda. Na
100-lecie urodzin autora „Człowieka, który był Czwart-
kiem” w 1974 r. Przemysław Mroczkowski przygoto-
wał dla Znak antologię jego tekstów. We wstępie za-
stanawiał się, czym dziś jest dla nas przepełniający Che-
stertona duch krucjaty i jego radykalna apologetyka.
I zapytał: „Jak wcielałby w życie Chesterton naukę Va-
ticanum II?”. To pytanie pozostaje otwarte.

©P TOMASZ FIAŁKOWSKI

Małe wyspy, małe mózgi

CZASAMI EWOLUCJA przebiega podobnie wśród kilku populacji – mówimy wtedy o ewolucyjnych trendach. Przykładem może być zanikanie palców u przodków koni. 50-60 mln lat temu wiele gatunków prehistorycznych koni miało cztery palce u nóg. Z czasem został z nich tylko jeden – co obserwujemy także u współczesnych przedstawicieli tej ewolucyjnej linii: koni, zebra i osłów.

Uważa się, że globalnym trendem ewolucyjnym jest wzrost rozmiarów ciała zwierząt na przestrzeni kolejnych epok. Prehistoryczne czteropalczaste konie miały rozmiar sporego psa, podczas gdy dzisiejsze ważą nawet tonę. Zdarza się jednak, że trend wzrostu rozmiarów ciała się załamuje – gdy osobniki współwystępują (i rywalizują) na odizolowanej przestrzeni, o znacznie ograniczonych zasobach. Takich jak wyspy.

Karłowacenie zwierząt żyjących na wyspach jest zjawiskiem znanym m.in. u dinozaurów oraz współczesnych hipopotamów i słoni. Zoltán Csiki-Sava

PROFESSOR PETER BROWN
/ UNIVERSITY OF NEW ENGLAND



Czaszki *Homo floresiensis* i *Homo sapiens*

i współpracownicy z Uniwersytetu w Bukareszcie opisali na łamach „PNAS” kolejny taki przypadek – tym razem nieznanego wcześniej kopalnego ssaka, nazwanego *Litovoi tholocephalos*. Uwagę badaczy zwróciła zwłaszcza wyjątkowo mała głowa *Litovoi* w porównaniu do współczesnych i kopalnych lądowych ssaków porównywalnych rozmiarów. Widocznie dobór naturalny – bezwzględny ewolucyjny księgowy – uznał, że koszty utrzymania także dużego mózgu są na wyspie zbyt wysokie, i doprowadził do jego redukcji.

Podobnie mogło stać się z najbardziej tajemniczym przedstawicielem naszego rodzaju – słynnym człowiekiem z wyspy Flores, mierzącym około metra wzrostu.

© P ŁK



ZBYSZEK KACZMAREK / EAST NEWS

W WIEKU 57 LAT ZMARŁ TRAGICZNIE ROBERT BRYLEWSKI, ikona polskiej muzyki niezależnej lat 70. i 80. XX w. Był wokalistą i gitarzystą, autorem tekstów i kompozytorem, członkiem zespołów Kryzys, Brygada Kryzys, Armia i Izrael. Najważniejsza postać polskiego reggae, jedna z najważniejszych polskiego punka, symbol niezależności, autor lub współautor pokoleniowych hymnów: „Centrali”, „Równych praw”, „Wolnego narodu”, „Niezwyciężonego”. Historię swojego życia opowiedział w wywiadzie rzece „Kryzys w Babilonie”.

© P MO

Klaszczące pokolenie

STEVE JURVETSON / CC BY 2.0



KIEDY STEVE JOBS I BILL GATES byli siedmiolatkami, w popkulturze USA narodził się Spiderman – superbohater, który na co dzień był fotoreporterem. Wcześniej mogli się zaczytywać w komiksach o Supermanie, będącym w cywilu dziennikarzem.

Kiedy Jobs zmarł, „The Washington Post” napisał, że jego związek z mediami można by nazwać „romansem”. W pismo to zaінwestował zresztą Jeff Bezos, założyciel Amazona, młodszy od Jobsa i Gatesa ledwie o kilka lat.

Dla młodego pokolenia mandarynów z Doliny Krzemowej media nie mają już twarzy superbohatera. Przejmują oni retorykę polityków obwiniających dziennikarzy o wszelkie zło. 23 maja Elon Musk (na zdjęciu), założyciel PayPala i Tesli, oskarżył

media o hipokryzję i zapowiedział stworzenie platformy, gdzie ludzie... sami będą oceniać wiarygodność informacji.

Zresztą taka strona już istnieje – w „Medium”, założonym przez twórcę Twittera Evana Williamsa (młodszego od Muska o rok), ocenia się artykuły „oklaskami”. Szef Facebooka Mark Zuckerberg wierzył zaś, że problem szerzenia się fake newsów załatwi sztuczna inteligencja, co okazało się spektakularną pomyłką. Bo wiarygodności nie buduje się algorytmami czy „oklaskami”. Starsze pokolenie technologicznych gigantów to rozumiało. Młodsze – przeciwnie.

Nieprzypadkowo w ostatnich latach rozgłos zdobyły filmy „Spotlight” (o dziennikarzach ujawniających aferę pedofilską w Kościele katolickim) czy „The Post” (o dziennikarzach ujawniających kłamstwa rządu USA w sprawie wojny w Wietnamie). Pokazują one, iż dziennikarstwo nie jest silne dlatego, że podąża za „lajkami” i „oklaskami”, ale dlatego, że jest gotowe wiele zaryzykować dla ujawnienia niepopularnej prawdy. Nad którą się nie głosuje.

© P PATRYK STANIK

PIENIĄDZ NIE ŚMIERDZI

Od stycznia w Polsce spłonęło 65 składowisk odpadów, na które w ostatnich latach trafiało coraz więcej śmieci z zagranicy. Zbieżność wydarzeń nieprzypadkowa.

MAREK RABIJ

28 MAJA – JELENIA GÓRA. 25 MAJA – Zgierz, a 23 maja – warszawski Mokotów. Trzy dni wcześniej Giebnia koło Inowrocławia, 15 maja – Garczegorze na Pomorzu. Zaledwie trzy dni po pożarze w Gorlicach na drugim krańcu kraju. Tę listę można ciągnąć do znudzenia, odkąd Polska zaczęła płuć w niebo chmurami dymu niosącego m.in. rakotwórcze furany, toksyczne metale ciężkie oraz dioksyny, którymi w 2004 r. otruto ukraińskiego prezydenta Wiktora Juszczenkę.

Palący problem rząd dostrzegł dopiero kilka dni temu, po wielkim pożarze ponad 15 tys. ton plastiku i gumy na składowisku firmy Green-Tec Solutions w Zgierzu. Odpady pochodziły głównie z Niemiec, Włoch i Szwecji. W kwietniu właścicielowi skończyło się pozwolenie na składowanie.

– Zero tolerancji dla mafii śmieciowej
– grzmiał na miejscu akcji gaśniczej wi-

ceminister środowiska Sławomir Mazurek, dając do zrozumienia, że serii pożarów składowisk nie traktuje już jako zbiegu okoliczności. – Do końca roku zmienimy przepisy dotyczące składowania odpadów.

O kilka lat za późno.

Składować każdy może

Z raportu po kontroli Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska, przeprowadzonej na początku maja na składowisku z Zgierzu: „Przy ul. Boruty 21 magazynowane są głównie zmieszane odpady z tworzyw sztucznych. (...) Odpady zbierane są w sposób nieuporządkowany, na nieutwardzonym podłożu i nie są zabezpieczone przed działaniem czynników atmosferycznych. Niewielkie ilości odpadów z tworzyw sztucznych magazynowane są w hali zlokalizowanej przy



ul. Kwasowej. Część z odpadów jest magazynowana poza wyznaczonymi miejscami (...). Na terenie całego obiektu w Zgierzach nie stwierdzono obecności materiałów gaśniczych”.

Właściciel Green-Tec Solutions Artur Kurzyk w rozmowie z Radiem Łódź narzeka, że kontrolerzy z Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska i Państwowej Straży Pożarnej wręcz go osaczali. – Te kontrole wytknęły mi jednak jakieś drobne zaniedbania, nie były to straszne rzeczy – podkreśla.

Dobre samopoczucie Kurzyk zawdzięcza zapewne temu, że polskie przepisy są dla takich jak on wyjątkowo łagodne. Prawo ochrony środowiska z 2001 r. wymaga w zasadzie tylko tego, aby teren przeznaczony do przechowywania odpadów był zabezpieczony w sposób uniemożliwiający przedostawanie się wycieków do wód gruntowych. Warunki skła-

dowania musi jeszcze ocenić sanepid, ale jego ewentualny sprzeciw nie jest wiążący dla wydających pozwolenie władz samorządowych.

Odrobinę trudniej uzyskać zgodę na przetwarzanie odpadów. Wydaje ją starosta na podstawie dokumentów potwierdzających prawo do użytkowania terenu przeznaczonego na składowisko oraz deklaracji... samego wnioskodawcy, jak dużo odpadów będzie przetwarzać.

Jeśli firma zajmująca się recyklingiem zgłosi wydajność powyżej 75 ton śmieci na dobę, zaczyna podlegać wyśrubowanym unijnym normom środowiskowym, które skopiowano do polskich przepisów. Wystarczy jednak zadeklarować wydajność poniżej tego limitu, by w oczach sanepidu i innych agend kontrolnych stać się praktycznie takim samym biznesem jak sklep spożywczy czy magazyn części zamiennych.

Łatwo zgadnąć, że w tej sytuacji większość z blisko tysiąca polskich zakładów recyklingowych oficjalnie nie przekracza pułapu 75 ton odpadów przetwarzanych na dobę. Wiele z nich zajmuje się zresztą przetwarzaniem jedynie na papierze, choćby po to, aby uzyskać dostęp do funduszy unijnych przypisanych do tej działalności. Urzędnicy nie spieszą się do kontroli, bo nikt tego nie oczekuje. W efekcie – jak ironizuje w rozmowie z serwisem Money.pl Hanna Marlière z firmy doradczej Green Management Group – w niektórych zakładach recyklingowych za całą instalację do przetwarzania odpadów robi „pan Zenek” z widłami.

Na składowisku w Zgierzach aparatury recyklingowej nie było. Właściciel Green-Tec Solutions twierdzi, że zamierzał ją dopiero kupić. W pierwszej kolejności sprawił sobie śmieci.

→

Dymy nad Zgierzem, 26 maja 2018 r.

Plastikowe tsunami

→ W 2017 r. Główny Inspektorat Ochrony Środowiska wydał zgodę na przywóz prawie 734 tys. ton odpadów z zagranicy. Rok wcześniej granice Polski legalnie przekroczyło ponad 701 tys. ton śmieci – niemal dwa razy więcej niż w poprzednich latach. W tym roku od stycznia importerzy odpadów otrzymali pozwolenia na wwóz już ponad 168,5 tys. ton. Z danych GUS wynika, że ich lwią część płynęła z Niemiec, Wielkiej Brytanii, Włoch i Szwecji, ale niektóre transporty przychodziły nawet z Australii i Nigerii.

Za każdą przyjętą tonę trudnych do przetworzenia odpadów właściciel składowiska może zainkasować do 200 zł. Szkopuł w tym, że najpóźniej po trzech latach taki towar musi zostać przetworzony lub zutylizowany. Ktoś, kto nie ma stosownych instalacji do recyklingu, musi zatem znaleźć kogoś, kto przyjmie jego odpady za mniejszą stawkę od tej, którą zainkasował wcześniej od klienta. Dopóki na śmieciowym rynku w Polsce panowała stagnacja, było to trudne, lecz nie niewykonalne. Od stycznia stawki za składowanie odpadów poszły jednak ostro w górę.

Do niedawna lwią część europejskich i amerykańskich śmieci trafiała do Chin. Na mało zaszczytne miano śmietnika globu Pekin przysłał jeszcze na początku lat 90. ubiegłego wieku, zdając sobie sprawę, że bez stałego dopływu taniego surowca nie uda się nadrobić cywilizacyjnego dystansu do świata zachodniego. Kontenerowce, płynące do USA i Europy z towarami wyprodukowanymi w fabrykach rozsianych wzdłuż wschodniego wybrzeża Chin, wracały puste do Azji, co otwierało prostą i taną ścieżkę do importu odpadów, w których tonął już wtedy Zachód.

Resztę zrobił chiński efekt skali. Dekadę później przetwarzanie „kapitalistycznych” śmieci było już potężnym i świetnie zorganizowanym sektorem chińskiej gospodarki. Wartość odpadów sprowadzanych z zagranicy w latach 1991–2002 wzrosła ponad czterdziestokrotnie. Zhang Yin, właścicielka firmy Nine Dragons Paper Holdings Limited, przetwarzającej sprowadzoną z USA makulaturę w opakowania dla produktów *made in China* eksportowanych następnie na Zachód, przez pewien czas była najbogatszą Chinką, z majątkiem szacowanym na ponad 3,6 mld dolarów.

Arkusze kalkulacyjne Komunistycznej Partii Chin nie uwzględniały jednak

kosztów środowiskowych, a te z roku na rok stawały się coraz wyższe. W 2013 r. Pekin musiał już wdrożyć program o nazwie „Zielony Płat”, zakazując wwozu kilku szczególnie szkodliwych substancji, ale nawet te ograniczenia nie wystarczyły na długo. W bogacących się Chinach szybko rosła konsumpcja wewnętrzna. Największe aglomeracje, jak Szanghaj (23,4 mln mieszkańców), Pekin (20,4 mln) czy Kanton (19,1 mln), produkowały już dostatecznie dużo odpadów komunalnych, by wykarmić nimi rodzimą gospodarkę. W końcu latem 2017 r. Pekin zawiadomił Światową Organizację Handlu, że od nowego roku Chiny wstrzymują import 24 rodzajów odpadów, na czele z plastikiem, papierem, bawełną, popiołem, przędzą, oraz substancji powstających przy produkcji stali.

Do ubiegłego roku 87 proc. plastikowych odpadów wytwarzanych w Euro-

gmin zbliża się dopiero do 30 proc., nieliczni prymusi, choćby Kraków, dobijają do 40 proc. Aż 14 z 22 przebadanych gmin w 2016 r. przetworzyło mniej odpadów niż rok wcześniej.

A przecież wszystko wskazuje na to, że śmieci będzie przybywać wraz z rozwojem gospodarki i nieuniknionym w tych warunkach wzrostem konsumpcji. Przeciwny Polak wytworzył w 2016 r. 303 kg odpadów komunalnych, czyli prawie dwa razy mniej od statystycznego Niemca i o połowę mniej od Duńczyka. W krajach rozwiniętych góry odpadów rosną wprawdzie wolniej, ale Bruksela od dawna zdaje sobie sprawę, że dla zwiększenia udziału recyklingu w gospodarce odpadami nie ma alternatywy. Idealny scenariusz, zakładany przez unijnych urzędników, zakłada, że do 2030 r. kraje wspólnoty na tyle zwiększą rolę recyklingu w swoim obrocie towarowym, że zapotrzebowanie na nowe surowce spadnie o 20 proc. Dodatkową ekonomiczną korzyścią związaną z przejściem na taką gospodarkę w obiegu zamkniętym byłyby nowe miejsca pracy (nawet 3 mln) w branżach związanych z przetwarzaniem odpadów.

Realne? Unia ma już spore osiągnięcia, bo tylko w latach 2004–14 Wspólnocie udało się zwiększyć udział odpadów poddawanych recyklingowi z 25,3 do 43,8 proc. – i to przy jednoczesnym rozszerzeniu na kraje Europy Wschodniej, która w ekonomicznej pogoni za Zachodem nie zwracała sobie przysiadnie głowy ekologii. W gruncie rzeczy o wszystkim zdecyduje jednak wolny rynek.

W recyklingu granicę technologicznych możliwości wyznaczają przecież koszty. Gdy odzyskanie surowca z opadów staje się równie kosztowne albo nawet droższe od kupna gotowego surowca, gra przestaje być warta świeczki. Globalna gospodarka, rosnąca w ostatnich latach w tempie oscylującym wokół 3 proc. rocznie, na razie zdaje się sprzyjać naturze, bo szybko rosnący popyt na większość surowców winduje ich ceny, przy okazji podnosząc granice opłacalności recyklingu. Miedź, niezbędna przy produkcji urządzeń elektronicznych, od początku 2016 r. podrożała z ok. 4,6 do ponad 6,8 tys. dolarów za tonę. Cena aluminium, jednego z podstawowych surowców branży motoryzacyjnej i budowlanej, skoczyła z 1,4 do 2,2 dolarów za tonę. Kauczuk, bez którego nie istnieje przemysł gumowy, podrożał ze 150 do prawie 200 dolarów za kilogram. Nawet ropa

200

złotych kosztuje tona „trudnych” odpadów
przyjętych do utylizacji.

734 000

ton odpadów uzyskało zgodę
na „wjazd” do Polski w ubiegłym roku.

pie (56 proc. z całego świata) trafiało właśnie do Państwa Środka. Teraz plastikowe tsunami usiłuje znaleźć dla siebie ujście w innych punktach, przenikając najszybciej tam, gdzie słabe państwa nie potrafią stawić mu oporu.

Na liście tych ostatnich jest również Polska.

Unia chce być czysta

Importowany plastik, papier, guma, rzadziej metal, powiększa górę ok. 140 mln ton odpadów powstających rokrocznie w Polsce, z którymi i bez obcych śmieci mamy recyklingową zadyszkę. Kilka dni temu Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport, w którym sygnalizuje ryzyko kar, jakie może nałożyć na Warszawę Komisja Europejska za niewykonanie wspólnotowego celu, by do 2020 r. minimum 50 proc. odpadów papierowych, metalowych, tworzyw sztucznych i szkła poddawać recyklingowi. Większość polskich

Jeszcze rok temu
**87 proc. plastikowych
 odpadów wytwarzanych
 w Europie**

trafiało do Chin.

Gdy Pekin zamknął
 granice, strumień śmieci
 popłynął tam, gdzie słabe
 państwa nie potrafiły
 postawić tamy.

*W poszukiwaniu użytecznych śmieci.
 Składowisko pod miastem Nanning,
 południe Chin, styczeń 2016 r.*



IMAGINE CHINA / EAST NEWS

naftowa, ostatnio przedmiot ostrej wojny cenowej pomiędzy głównymi dostawcami, zdołała zyskać na wartości ponad 100 proc.

Co zatem płonie w Polsce, coraz częściej radując fotografów krajobrazu rzadkim nad Wisłą widokiem *cumulus flammagenitus*, chmury widywanej nad wulkanami? Odpowiedź jest niestety oczywista – to, czego już nikomu nie oplaca się przetwarzać: sprasowane bloki plastiku pokrytego np. trudnym do usunięcia klejem z etykiet, włókna termoutwardzalne, mieszanina papieru i odpadów biologicznych, toksyczne substancje powstałe w trakcie skomplikowanych procesów technologicznych. To wszystko jako surowiec nie jest warte funta kłaków, kosztuje jednak sporo jako balast, którego trzeba się pozbyć. Najlepiej cichaczem.

To nie moja ręka!

Wielki biznes od dawna opiera się na zglobalizowanej produkcji, której żelazną zasadą pozostaje tzw. *outsourcing* – synonim wypychania poza firmę wszystkiego, co stanowi koszt, a nie czysty zysk. To dlatego w nowoczesnym modelu zarządzania właścicielem praw do marki i patentów są spółki matki, a reszta kosztownej biznesowej bieżączki spada na barki dziesiątków lub setek zewnętrznych kontrahentów, których nie pyta się o nic poza ceną. Z utylizacją odpadów jest podobnie: to przecież koszt, który podlega nieustannemu cięciu, bo koszty nigdy nie są dostatecznie niskie. Zadanie to zleca się więc najczęściej wyspecjalizowanej fir-

mie, nie pytając, co i gdzie zrobi ze śmieci, choć z góry wiadomo, że zarząd tej firmy czytał te same podręczniki zarządzania i utylizację śmieci zleci pewnie mniejszym kontrahentom. W biznesowej matryosce chodzi przede wszystkim o rentowność, ale przy okazji kupuje się także coś nie do przecenienia – zwolnienie z odpowiedzialności.

Wiosną 2013 r. poleciałem do Bangladeszu na miejsce największej katastrofy budowlanej w dziejach tego kraju. 24 kwietnia na przedmieściach stolicy, Dhaki, runął ośmiopiętrowy budynek, w którym ok. siedmiu tysięcy szwaczek szyło ubrania dla zachodnich firm odzieżowych – w tym polskiej LPP. Kiedy ratownicy wygrzebali z ruin metki należące do polskiego zleceniodawcy, zarząd spółki tłumaczył, że nie zdawał sobie sprawy z tego, iż jego zamówienia trafiły właśnie tam – do zakładów mieszczących się w budynku podwyższonym nielegalnie o trzy piętra, z pęknięciami w ścianach głębokich na tyle, by robotnice mogły w nich kłaść jak na półkach przyniesione z domu posiłki. Odpowiedzialność za to musiał wziąć na siebie lokalny przedstawiciel polskiej firmy – nawet jeśli w rzeczywistości jedynie wykonał polecenie klienta.

Odpady globalizacji

Outsourcing odpowiedzialności robi w biznesie wielką karierę. Amerykańskie banki sprzedające klientom dłużni nie do ściągnięcia, jedynie dla niepoznaki opakowane w ratingi znanych agencji, które

uspokajały kupujących, że to pewna inwestycja. Wzruszenia ramion szefów koncernu Apple na wieść o fali samobójstw przepracowanych robotników w chińskiej fabryce tajwańskiej firmy Foxconn, produkującej gadzety amerykańskiego giganta. Malowane oburzenie rady nadzorczej brytyjskiego koncernu farmaceutycznego GlaxoSmithKline po aferze z jego chińskim oddziałem, który przez agencje turystyczne i innych wynajętych podwykonawców rozdał tamtejszym lekarzom i urzędnikom łącznie 4,9 mld dolarów łapówek. Dolary przeciw orzechom, że w ten schemat można wpisać również płonące dziś w Polsce śmieci.

Pieniądz może i nie śmierdzi, ale i nie pachnie, co zauważył już Bismarck, porównując rynsztok realnej polityki do brudu masarni, która może i produkuje smaczne wędliny, ale ze składników, o których smakosze wołać nie mają pojęcia. Śmietniska za polskimi oknami w pewnym sensie są tym samym – produktem ubocznym globalizacji, który zaczyna cuchnąć dopiero wtedy, kiedy mamy go już dosłownie za płotem.

© MAREK RABÍJ



MAREK RABÍJ będzie
 gościem Grzegorza Chlasy
 w środę 6 czerwca o godzinie

7.30 w Polskim Radiu RDC

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

Obieg zamknięty

ROBERT CYGLICKI, GREENPEACE:

Nauczyliśmy się żyć szybko i jednorazowo. Ile trwa życie jednorazowej foliowej torebki? 15 minut – kiedy niesiemy ją ze sklepu do domu.

BŁAŻEJ STRZELCZYK: Co się stało?

ROBERT CYGLICKI: Chiny nie chcą już naszych śmieci.

A w Polsce dużo ich produkujemy?

Na jednego Polaka przypada rocznie jakieś 300 kilogramów odpadów.

To dużo?

Nie jesteśmy w czołówce. Amerykanin produkuje ponad 800 kilogramów.

A czemu akurat do Chin to wysyłaliśmy?

Tańsza siła robocza, niższe standardy ekologiczne. Taniej było wywieźć śmieci z naszego kontynentu, często zakładając, że zostaną tam właściwie przetworzone.

Co z oczu, to z serca.

Europa była przekonana, że to doskonałe rozwiązanie. Pozbywaliśmy się śmieci z pola widzenia, uznając, że system działa i będzie działał tak już zawsze.

I dlatego wysypiska w Polsce płoną?

O kłopotach z górą śmieci wiadomo nie od dziś. Decyzja Chin o zamknięciu granic dla odpadów to jeden powód. Po drugiej w Polsce w 2010 r. zmieniła się ustawa o odpadach i zaczęły powstawać firmy, które zamiast przetwarzać odpady, wyspecjalizowały się w ich magazynowaniu.

Magazynowaniu?

Tak, tymczasowym magazynowaniu. Zgodnie z ustawą śmieci na swoim terenie zakład może przechowywać przez trzy lata.

Jak to wygląda w praktyce?

Różnie. Założmy, że powstaje firma specjalizująca się w magazynowaniu odpadów. Zakład wynajmuje stare, przemysłowe budynki i przyległe do nich tereny. Podpisuje z gminą umowę na odbiór śmieci. Zbiera je spod domów i zawozi do swojej siedziby. Góra śmieci rośnie.

I co dalej?

Jeśli zakład ma instalację do przetwarzania odpadów i jest uczciwy, to zaczyna się segregacja i odzyskiwanie surowców.

A jeśli nie ma tej instalacji?

To „w wyniku nieszczęśliwego przypadku” albo „w wyniku działań nieznanymi sprawców” składowisko zaczyna płonąć. Inne firmy bankrutują lub znikają.

Widział Pan tę czarną chmurę nad Zgierzem?

To potężna chmura toksycznych chemikaliów, nad którą nikt nie ma kontroli. Nie trzeba być wybitnym ekspertem, żeby zrozumieć, że otwarte palenisko, w którym gnieździ się mnóstwo niebezpiecznych związków chemicznych, jest szkodliwe dla środowiska.

I ludzi.

Oczywiście. To jest wręcz przestępstwo przeciwko życiu i zdrowiu ludzi. Bo spalanie śmieci bez instalacji eliminujących chociażby stężenie dioksyn i furanów powoduje, że zaczynamy oddychać powietrzem wymieszanym z rakotwórczymi i mutagennymi substancjami.

A ile ma Pan w domu kubłów na śmieci?

Trzy. A właściwie dwa kubły i jeden dodatkowy pojemnik – karton, koszyk lub zwykłą torbę, zależy, co akurat mam pod ręką.



Co w nich jest?

Jeden jest na frakcję suchą. Ładują w nim butelki, papier, plastik, puszki, kartoniki itd. W drugim są pozostałe śmieci. W trzecim pojemniku trzymam już posegregowane surowce – układam je warstwami, tak aby jak najmniej czasu spędzać przed kontenerami, do których wynoszę odpady.

Ale i tak wszystko ładuje w jednym, wspólnym zsypie osiedlowym.

Zależy od firmy wywożącej śmieci i systemu ich odbioru. Widziałem zakład z taką selekcyjną, na której pracownicy ręcznie sortowali odpady. Nawet jeśli widzi pan, że wszystko ładuje w jednym zsypie lub trafia do jednej śmieciarki, to już po wywiezieniu śmieci z osiedla zaczyna się ich rozdzielanie. Jeśli więc posegreguje pan śmieci w domu, to pracownicy zakładu mają ułatwione zadanie i maleją koszty ich przetwarzania.

Kto decyduje o tym, że śmieci są posegregowane?

Ciągnące się kilometrami wzdłuż wybrzeży Zatoki Gwinejskiej wysypiska śmieci w Akrze, stolicy Ghany, marzec 2018 r.

Zakład, który odbiera śmieci, i gmina, która określa ogólne warunki gospodarowania odpadami. Ostatecznie na samorządach spoczywa największa odpowiedzialność za recykling i utylizację odpadów.

A kto kontroluje te firmy z magazynowanymi odpadami?

Teoretycznie samorządy i Inspekcje Ochrony Środowiska. Gminy nie mają specjalistów, a inspekcje są niedoinwestowane i źle oprzyrządowane prawnie, żeby móc skutecznie sprawować kontrolę i egzekwować prawo. Jeżeli mamy do czynienia z zakładem, który nie chce ze śmieciami nic zrobić, tylko tymczasowo je przetrzymywać, wypełniając magazyn po brzegi – to inspektorzy niewiele mogą zrobić. Istniejące kary są zbyt niskie, aby odstraszyć potencjalnych przestępców.

Dlaczego pożary wybuchały w tym roku?

Śmieci było już tak dużo, że trzeba było zacząć coś z nimi zrobić. Ruszyły kontrole i coraz wyraźniej było widać, że mamy do czynienia z patologią systemu. Na domiar złego szerokim strumieniem płynęły do Polski odpady z Europy Zachodniej.

Te, które miały pojechać do Chin?

Do Chin albo do Afryki, do której oficjalnie nie można już eksportować elektrośmieci, choć w praktyce bywa różnie.

A to się nie nazywa przypadkiem „eksport towarów używanych”?

Czasem są to nieposegregowane odpady z dużą ilością kiepskiej jakości plastiku, czasem zwykłe śmieci rejestrowane jako towary, których w Europie nikt już nie używa, bo do niczego się nie nadają.

Po angielsku to się nazywa „planned obsolescence”.

Planowane postarzenie produktu to jeszcze inne zjawisko, które dopełnia obraz problemu, z jakim się mierzymy. Jest to zmyślna strategia producentów, która ma na celu takie projektowanie i produkowanie, żeby towary szybciej się zużywały.

Po co?

Żebyśmy nie przestawali kupować i, w konsekwencji, żebyśmy nieustannie wymieniali „zużyte towary” na nowe.

I co się dzieje z takim, założmy, zesputym telefonem, który trafia do Afryki?



→ Widziałem w Ghanie ogniska ze sprzętu RTV-AGD. Ludzie wyciągali z popiołu wszystko to, co można było sprzedać na rynku lokalnym.

Na Toxic City, największym wysypisku śmieci w Afryce Zachodniej, wydobywając surowce można zarobić dolara dziennie.

To tylko pokazuje, jak bardzo niesprawiedliwy jest świat, w którym ludzie, żeby zarobić, muszą narażać siebie i bliskich na utratę zdrowia. Początkowo rozmawiałem z nimi, starałem się tłumaczyć, edukować. Po kilku pobytach w slumsach odpuściłem. Bo kim w zasadzie jestem, żeby im mówić, co mają robić? Jak rozmawiać z ludźmi o niepaleniu śmieci, skoro nie mają z czego żyć, a góry odpadów przecież same nie znikną?

Dlaczego produkujemy tak dużo śmieci?

To chyba jeden z większych problemów cywilizacyjnych. Nauczyliśmy się żyć szybko i jednorazowo. Ile trwa życie jednorazowej torebki foliowej? 15 minut niesiemy ją ze sklepu do domu.

„Rozwinęła się globalizacja obojętności – pisze Franciszek w „Ewangelii gaudium”. – Niemal nie zdając sobie z tego sprawy, stajemy się niezdolni do współczucia wobec krzyku bóleści innych (...). Kultura dobrobytu nas znieczula i tracimy spokój, jeśli rynek oferuje coś, czego jeszcze nie kupiliśmy, podczas gdy zrujnowane życie tych wszystkich ludzi z powodu braku szans wydaje nam się zwykłym spektaklem, który nas wcale nie porusza”.

Jakieś 10 lat temu mówiłem o naszych dzieciach, o kolejnych pokoleniach, którym zostawimy zdewastowaną ziemię. Patrząc na dzisiejszy rozwój świata i skokowy wzrost produkcji, wiem, że już teraz zderzamy się z górą problemów, którą sami sobie usypaliśmy. Tu nie chodzi już tylko o lepszą lub gorszą przyszłość dla naszych dzieci.

Mówimy o realnych zagrożeniach dla nas samych – jeszcze za naszego życia możemy doświadczyć poważnych kryzysów ekologicznych, jeśli w porę im nie zaradzimy. Tym bardziej nie powinniśmy być obojętni i zapominać się w konsumpcji.

I co z tym zrobić?



MACIEJ ŁUCZNIEWSKI / REPORTER

ROBERT CYGLICKI (ur. 1978) jest dyrektorem Greenpeace Polska. Doradca i ekspert w dziedzinie ochrony środowiska i polityki energetycznej. W 2014 r. zainicjował akcję instalowania paneli fotowoltaicznych na budynkach szkół podstawowych.

Od 2006 r. prowadzi z żoną program Akcja dla Globalnego Południa, w ramach którego m.in. wybudowano szkołę w Ghanie. Mieszka w Szczecinie.

Świadomość, że syta Europa produkuje tony śmieci, które później podrzuca krajom słabiej rozwiniętym, budzi oczywiście gniew, a z drugiej strony chęć niesienia im pomocy. Ale jest jedna rzecz, której nauczyłem się w Afryce. Cokolwiek byśmy tam robili – budowali szkoły, sanitariaty, realizowali świetne projekty rozwojowe – to, niestety, świata w ten sposób nie zmienimy. W miejsce jednego zamkniętego wysypiska powstaną kolejne.

A co zmieni świat?

Jeśli chcemy wpłynąć na zmiany, w tym zmiany dotyczące modelu konsumpcji czy ilości produkowanych przez nas śmieci, musimy zrozumieć, w jaki sposób zmienia się współczesny świat. Najwięcej do powiedzenia w tym temacie mają oczywiście zwykli ludzie, ale to ostatecznie od decyzji politycznych i gospodarczych zależy, w jakim kierunku zmierzamy. Być może zabrzmie tu kontrowersyjnie, ale świat nie stanie się lepszy, jeśli skupimy się na takiej czy innej edukacji.

Nasze indywidualne decyzje, np. o tym, żeby segregować śmieci, nie mają znaczenia?

Mają duże znaczenie, ale nie możemy na nich poprzestać. Żyjemy w czasach

najlepiej wyedukowanych społeczeństw w historii ludzkości. Przecież nigdy wcześniej nie było tak dużej liczby ludzi z wyższym wykształceniem czy – najzwyczajniej w świecie – umiających czytać i pisać. Efekt jest taki, że najbardziej wyedukowane społeczeństwa w historii decydują o tym, żeby wywozić śmieci na inny kontynent – i w ten sposób rozwiązywać problem odpadów.

Albo spalając.

Tak, i wpuszczając w powietrze ogromne ilości niebezpiecznych toksyn.

Okazuje się więc, że edukowanie przyniosło w jakimś sensie porażkę. Jesteśmy najbardziej wyedukowanym społeczeństwem, które jednocześnie z roku na rok produkuje coraz większą ilość śmieci.

Ale gdybyśmy tak wszyscy przesiedli się na rowery...

Jeśli nie byłoby to częścią globalnych zmian, na niewiele by się zdało chociażby w walce z katastrofalnymi skutkami zmian klimatu, których ciągle możemy jeszcze uniknąć.

Jakiś czas temu dyskutowałem o diecie wegańskiej, którą ze wszech miar warto promować, bo nie tylko wiąże się z brakiem cierpienia zwierząt, ale też zmniejsza nasze emisje gazów cieplarnianych. Nie zmienia to jednak faktu, że przechodząc w Polsce na dietę wegańską bez zmian w systemie energetycznym, który produkuje olbrzymie ilości CO₂, nadal będziemy mieli większy ślad ekologiczny od tych, którzy jedzą mięso, ale za to żyją w kraju, w którym energia pochodzi ze źródeł odnawialnych. W ten sposób nie osiągniemy też niczego w skali globalnej, żeby móc powstrzymać zmiany klimatyczne.

A zatem znaczenie mają tylko działania w skali międzynarodowej.

Możemy się edukować i uświadamiać społecznie – i róbmy tak dalej. Możemy też inwestować środki finansowe w rozwój afrykańskich krajów – to też będzie cenne. Ale nie możemy na tym poprzestać.

Słucham więc rozwiązań.

Kluczowe wydaje się przeformułowanie naszej gospodarki na obieg zamknięty, tak aby nie obarczać swoimi problemami innych. A już na pewno nie powinniśmy przerzucać ich na kraje mniej rozwinięte,

które mają przed sobą dłuższą drogę do pokonania, aby osiągnąć to, co mieszkańcy Unii Europejskiej mają już w zasięgu ręki.

Sugeruje to także papież Franciszek: „Jeszcze nie udało się przyjąć zamkniętego modelu produkcji, który zapewniłby zasoby dla wszystkich i dla przyszłych pokoleń, a który wymaga maksymalnego ograniczenia użycia zasobów nieodnawialnych, pohamowania konsumpcji, maksymalizacji efektywności wykorzystania, ponownego wykorzystania i recyklingu”.

Circular Economy to gospodarka, w której zminimalizujemy zużycie surowców, a odpady z jednych procesów wykorzystamy jako surowiec dla innych. Spowodujemy w ten sposób, że śmieci nie będą płonęły i lądowały w Chinach. To się oczywiście wiąże z procesem zarządzania całym cyklem życia produktu.

To znaczy?

Jedno pytanie brzmi, co zrobić z górą śmieci, którą już wyprodukowaliśmy. Nie

Tu już nie chodzi o przyszłość naszych dzieci:

mówimy o realnych zagrożeniach ekologicznych

dla nas samych.

Nie możemy być obojętni i zapominać się w konsumpcji.

może być tak, że lekceważymy dyrektywy dotyczące segregacji i odzysku surowców. Tolerujemy fikcyjne przetwarzanie odpadów.

A drugie pytanie?

Dotyczy tego, co należy zrobić, żeby samych produktów, o których już na etapie tworzenia wiemy, że będą dodatkowym odpadem, było mniej. Prosty przykład:

czy rzeczywiście potrzebujemy foliowego opakowania na cukierki, z których każdy osobno ma też swoją folię?

Nie potrzebujemy.

No właśnie, wystarczy decyzja producenta lub decyzja tych, którzy mają władzę dla nas zarządzać państwem i organizacją polityczną, jaką jest UE. Niezbędne jest wsparcie instytucji kontrolnych, które będą z jednej strony weryfikowały proces produkcji, a z drugiej sprawdzały, co dzieje się dalej z odpadami i czy wyczerpaliśmy możliwości ich odzyskania.

A co z luką w prawie, która powstała w 2010 r.?

Natychmiast trzeba zmienić ustawę o odpadach i zlikwidować lukę dla tymczasowego magazynowania odpadów. Nie może być tak, że wydając pozwolenie na przetrzymywanie odpadów, starosta nie będzie wiedzieć, co się z tymi śmieciami stanie po trzech latach. Musimy odejść od gospodarki rabunkowej na rzecz gospodarki zamkniętej.

© Rozmawiał BŁAŻEJ STRZELCZYK

REKLAMA

IL DIVO

TIMELESS

Koncert z okazji
jubileuszu 1050-lecia Archidiecezji Poznańskiej
pierwszego biskupstwa w Polsce

22 czerwca 2018
Poznań, Ostrów Tumski

BILETY: eBilet.pl, EMPIK

| www.archpoznan.pl

PAWEŁ

Śpiewak: Wóz ognisty



KOLEJNA OPowieść o ELIASZU i WINNICY Nabota (1 Krl 21) pokazuje, jak straszna jest chciwość i jaką potęgą może być skrucha. Król chciał kupić sąsiadującą z jego domem winnicę. Właściciel odmówił oddania swojej ojcowizny. Achab smutny wrócił do

domu, co zobaczyła jego żona Jezabela. Wzięła sprawę w swoje ręce. Napisała list do przedniejszych osób w mieście, iżby dwie przewrotne osoby oskarżyły Nabota o to, że złorzeczył Bogu i królowi. Tak też się stało. Nabota wzięto za miasto i ukamienowano, a winnicę przejął król.

Wtedy do Eliasza Taszbitę dotarły słowa potępienia Pana. Prorok oznajmił królowi, że za to, jak postąpił z Nabotem, i za to, że chodził za bałwanami wedle zwyczajów amorejckich, będzie ukarany on i jego żona śmiercią, a krew ich będą lizali psy. Achab przeraził się: nałożył na siebie wór pokutny i pościł. Wtedy Bóg odjął karę od króla, a pozostawił ją z jego potomkami (dotknęła ich straszna śmierć, królową też zjadły psy). Sądząc z dalszych kronik królewskich, Achab umarł.

Moc proroka przepasanego skórzanym pasem na biodrach wydaje się niezmierna. Staje za nim Bóg i dlatego może pokonywać dziesiątki przeciwników. Eliaz tworzy też całą szkołę prorocką. Uczniowie chodzą za nim, aż docierają nad Jordan. Rozdziela się woda, gdy prorok uderza w nią swoim płaszczem. Po suchym przechodzi na drugi brzeg ze swoim uczniem Elizeuszem. Wtedy pojawia się wóz ognisty i konie ogniste. „I wstąpił Eliaz w wicherze do nieba”. Jest pierwszym z ludzi, który przekroczył granice śmiertelności. Lecąc, porzuca swój płaszcz, który opada na ramiona Elizeusza. Na tego ostatniego spada łaska: zostaje prorokiem i zwierzchnikiem szkoły prorockiej na Karmelu, gdzie chodzi lud i królowie szukając rad, pokarmu, ocalenia, zdrowia i zmartwychwstania umarłych dzieci.

Dużo takich historii znajduje się w Drugiej Księdze Królewskiej. Nowy mistrz zakonu prorockiego posiadał te same talenty, co jego nauczyciel. Stał się sławny i bez jego porad nie sposób było działać. Z czasem udało się spalić domy Baala i na ich miejscu ustawić wychodki. Kolejni władcy wywiązywali się ze swoich zobowiązań wobec JHWH i zbudowali Mu świątynię.

Eliasz, w którego imię wpisane są dwa imiona Boga, jest potężnym duchem. To największy bohater żydowskich legend: Dawid i Salomon nie przewyższają go w popularności. Potrafi być w każdym domu na ucztach pesachowych, pilnować wszędzie porządku obrzezania i wesela. Pomaga nocą studiować Torę, a uczonych prowadzi do tajemnic objawienia. Nauczał wielkich nauczycieli w sekretnej akademii niebiańskiej. Staje (jeśli trzeba) przed Bogiem, oskarżając Izrael o to, że zdradził przymierze. Prowadzi po śmierci dusze na właściwe im miejsca w raju albo w gehennie. Towarzyszy nam stale, ucząc wiary, prawa, miłosierdzia i sensu tego, co nazywamy skrucą. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Pięknym za nadobne



„DLATEGO ZE WSZYSTKICH SIŁ STARAMY SIĘ (Panu) podobać zarówno wtedy, gdy przebywamy blisko, jak i wtedy, gdy tułamy się z dala”. Spróbujmy te słowa Pawła Apostoła odnieść do nas, czyli popatrzeć na siebie oczami tych, którzy z jakiegoś powodu są

nam obcy czy wrody.

Zwykle napomnienia odnosimy do innych. To proboszcz jest przewrotnym faryzeuszem, sąsiadka jawno grzesznicą, wójt istnym Pilatem, a szef konkurencyjnej partii Herodem. Ci wszyscy dlatego, że nie zgadzają się z nami, tułają się po bezdrożach. My zaś, głęboko wierzący i praktykujący, my zawsze żyjemy w blasku prawdy. Dziwimy się przy tym, że ci odsądzeni od czci i wiary odpłacają nam pięknym za nadobne. Zadufani w sobie, oczarowani sobą i przysługującym nam tytułem dzieci Bożych, zapominamy, że przede wszystkim to my „tułamy się z dala” od Jezusa. Przecież wszyscy jesteśmy grzesznikami. Dlatego jeśli coś nas zachwyca, to właśnie Jezus. Nieustannie przecież przed Nim uciekamy, wyrrywamy się z Jego rąk, zapominamy o Nim, a nawet jeśli się do Niego garnimy, to dla interesu. Tymczasem Jezusowi chodzi o to, byśmy innych traktowali tak, jak On. Przejeli Jego sposób patrzenia na tych, którzy „z nami nie chodzą”. Skoro Jezus nas nie odrzuca, choć ma ku temu słuszne powody, to jakim prawem my odrzucamy innych, i to w Jego imię? Przecież po to dał nam się poznać, byśmy uwierzyli, że Bóg jest Ojcem, i razem z Jezusem budowali królestwo Boże, w którym „jest mieszkai wiele”. I nie nam rozsądzać, kto w nich zamieszka.

W tym roku przypada pięćdziesiąta rocznica Marca '68. To dobra okazja do przypomnienia, jak wtedy potraktowaliśmy Żydów, polskich obywateli. Zgrzeszyliśmy wtedy obojętnością, ale i nienawiścią do tych, których nam wskazano jako wrogów. Dzisiaj nie wystarczy już tylko prosić o przebaczenie, nie wystarczy zawstydenie. Chodzi o coś więcej. O wdzięczność Żydom, nie tylko za ich pracę i poświęcenie dla kraju, ale także za Jezusa Chrystusa. Taka postawa nie powinna dziwić – „zbawienie bowiem pochodzi od Żydów”, mówi Jezus.

A muzułmanie? Kiedy islam przeżywa dramatyczne czasy, jako powołani, aby zaprowadzać pokój, powinniśmy najpierw odkryć nasze z muzułmanami religijne, biblijne pokrewieństwo. Muzułmanie też są dziećmi Abrahama, a Jezus Chrystus, w Koranie Isa ibn Mariam, największym z proroków i Mesjaszem.

Przy tej okazji warto się zastanowić, jak w tym kontekście wygląda np. krytyka pod adresem niemieckiego episkopatu za zamiar wprowadzenia gościnności eucharystycznej dla współmałżonka niekatolika, czy potępienie papieża Franciszka za punkt 303 „Amoris laetitia”. „Jeśli to od was zależy, ze wszystkimi ludźmi zachowujcie pokój” – mówi Apostoł Paweł. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Za stary młodzieniec

To jest właśnie
Theos-Bóg:
badanie i bieg,
który wszystko widzi,
we wszystkim jest,
przez wszystko się
rozprzestrzenia.

MIKOŁAJ Z KUZY



Tyś najwyższym
schronieniem wszystkiego.
Tyś poznającym
i poznawanym.
Ostatecznym miejscem
zamieszkania.
Ty wszystko przenikasz
w Postaci bez kresu.

BHAGAVADGITA



Wybrał PIOTR SIKORA



LITURGIA UCZYNIŁA NAS niedawno świadkami spotkania Pana Jezusa z bogatym młodzieńcem (w opisie św. Marka – zob. Mk 10, 17-27). To

bardzo intrygująca Ewangelia – sam wielokrotnie przy różnych okazjach i na różne sposoby ją komentowałem. Tym razem otworzyła się przede mną jeszcze inaczej, a to z uwagi na poprzedzający ją kontekst.

Otóż bogaty młodzieniec pyta Jezusa: „Co mam czynić, aby odziedziczyć życie wieczne?”.

Kiedy odchodzi – rozczarowany Jezusową odpowiedzią („Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim; potem przyjdź i chodź za Mną”) – Pan puentuje (dosł.): „Jak trudno [jest] wejść do Królestwa Bożego tym, którzy posiadają pieniądze (...) Łatwiej jest wielbładowi przejść przez ucho igielne niż bogatemu wejść do Królestwa Bożego”.

Bezpośrednio przed tym wydarzeniem Marek opisuje inne: oto do Jezusa wprowadzane są dzieci; uczniowie jednak szorstko zabraniają im dostępu do Pana. Wtedy On napomina apostołów: „Nie zabraniajcie im; takich jest bowiem Królestwo Boże. Zaprawdę, powiadam wam: Kto nie przyjmie Królestwa Bożego jak dziecko, ten nie wejdzie do niego” (zob. Mk 10, 13-16).

Obie perykopy wiąże więc to samo pytanie: „kto i w jaki sposób może wejść do Królestwa Bożego?”. Bogaty młodzie-

niec mówi Jezusowi, że już wiele po temu uczynił: „od swej młodości” przestrzegał wszystkich wymienionych przez Mistrza przykazań Dekalogu. „Czego mi jeszcze brakuje?” – pyta w wersji św. Mateusza (Mt 19, 20).

Tymczasem z kontekstu wyraźnie wynika, że problemem w jego przypadku wcale nie jest to, czego jeszcze nie zyskał (nie wypracował, nie zrobił), lecz to, co stracił. Najwyraźniej przestał być dzieckiem. Kto zachowuje w sobie dziecięstwo – ten wchodzi do Królestwa Boga; kto jest bogaczem – nie przecisnąć się ze swoim wielbłądem garbem przez jego wąską bramę. Bogacz jest przeciwieństwem dziecka.

Najwyraźniej Królestwo nie jest na sprzedaż. Nie można Go kupić. Można za to Je dostać. Otrzymać za darmo. Upřednio. Z góry. Tak właśnie otrzymuje dziecko: dziecko nie zarabia, dziecko dostaje.

Tak jak otrzymuje się miłość. Ona zresztą jest „treścią” owego Królestwa. Miłości się nie kupuje. Miłość się dostaje. Przyjmuje. I odwzajemnia. Również za darmo...

Biedny bogaty młodzieniec. Jakże szybko się zestarzał w swoim stanie posiadania. Jakże szybko uwierzył, że w życiu trzeba twardo i mocno stąpać po ziemi. Jakże szybko przywiązał się do tych możliwości, jakie przed człowiekiem otwiera pieniądź.

Jakże szybko stracił nadzieję wobec Boga i ludzi – nadzieję, iż może od Nich za darmo otrzymać to, co najważniejsze. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (10 – 17 VI)

10. niedziela zwykła: Rdz 3, 9-15; Ps 130;

2 Kor 4, 13 – 5, 1; Mk 3, 20-35;

Poniedziałek: Dz 11, 21b-26; 13, 1-3; Ps 98;

Mt 10, 7-13;

Wtorek: 1 Krl 17, 7-16; Ps 4; Mt 5, 13-16;

Środa: 1 Krl 18, 20-39; Ps 16; Mt 5, 17-19;

Czwartek: 1 Krl 18, 41-46; Ps 65; Mt 5, 20-26;

Piątek: 1 Krl 19, 9a. 11-16; Ps 27; Mt 5, 27-32;

Sobota: 1 Krl 19, 21-2; Ps 16;

Mt 5, 33-37;

11. niedziela zwykła: Ez 17, 22-24; Ps 92;

2 Kor 5, 6-10; Mk 4, 26-34.

NIELUDZKA POLITYKA

Na proteście niepełnosprawnych wygrały oba polskie plemiona. Rząd pokazał twardość, opozycja dostała amunicję, by oskarżać rząd o bezwzględność. Przegrali śpiący na materacach, cierpiący i zdesperowani.

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ

ZAKOŃCZONY PRZED TYGODNIEM protest niepełnosprawnych i ich opiekunów w Sejmie to współczesna Polska w pigułce. Wszystko w nim widać jak na dłoni. Politykę, społeczeństwo, media. Rządzących i rządzonych. Pierwszoplanowych aktorów życia publicznego i tych, którzy działają w tle, ale pełnią ważne funkcje społeczne. Co więcej: wydarzenia w Sejmie wokół niepełnosprawnych i recepcja tego protestu to jak definicja Polski po prawie 30 latach niepodległości, w tym po ośmiu latach rządów PO i ostatnich dwóch i pół roku rewolucji, jaką wprowadził PiS. Trzeba się w tym lustrze przeglądać. Nawet jeśli zwierciadełko pokaże nam oblicze, jakiego nie chcemy oglądać.

To nie elektorat

Protest niepełnosprawnych i ich opiekunów ujawnił bowiem zaniedbania całego okresu III RP. Pokazał omijanie przez politykę (i publiczne pieniądze, które ona dzieli) tego, co słabe, bezradne, ale bardzo kosztowne w pomocy. Nikt tu nie jest bez winy, żadna partia nie może powiedzieć „to nie nasza sprawa, my z tym nieszcześnie nie mamy nic wspólnego”.

Nigdy nie było dobrego czasu, żeby załatwić tę kwestię. Albo byliśmy za biedni i na dorobku, albo – jak w czasach PO – mieliśmy procedurę nadmiernego deficytu, kontrolowaną przez UE, co służyło za równie dobry pretekst. Teraz rząd wprowadzie ogłasza Polskę krainą miodem i mlekiem płynącą i finansuje coraz to bardziej egzotyczne pomysły (żeby wspomnieć tylko Polską Fundację Narodową), ale poważnych pieniędzy w pomoc niepełnosprawnym zaangażować też nie chce. Polityka jest tam, gdzie siła głosów, a niepełnosprawni wraz z rodzinami to marginalny elektorat. Niby nic nowego, lecz z drugiej strony nikomu – nie tylko politykom, ale i większości społeczeństwa – to nie przeszkadzało. To nie był nasz problem, więc żadnego poważnego, społecznego parcia na inny podział środków nie było.

I tu się załamuje opowieść, że demokracje liberalne to te, które opiekują się mniejszościami i słabszymi nawet wbrew większości, i dlatego mają różne niezależne od władzy instytucje. Tak rozumiany ustrój →

Sejm, 25 maja 2018 r.





→ liberalno-demokratyczny nad Wisłą nie zawitał. Miarą tego ustroju, ośmielię się powiedzieć, nie jest sprawa niezależności Trybunału Konstytucyjnego, ale zdolność większości do opiekowania się mniejszością, i to mniejszością najsłabszych.

Nie jest to wyłącznie zarzut do własnego ogródka. Ten typ polityki, w którym po wygranych wyborach jest wyłącznie miejsce na cele, które wspierają rządzących, zgodnie budowała i prawica i lewica, i liberałowie.

Użyteczny protest

Protest niepełnosprawnych i ich opiekunów pokazał po raz kolejny, tyle że w bardziej dramatycznej formie niż poprzednio, bezradność wobec tego typu polityki. Polityki, w której zabezpieczenie własnego jest zasadniczym celem, i konfliktu między obozami o takim natężeniu, że inne sprawy naturalnie stają się nieistotne.

Jeśli opozycja i rządzący kierują się zasadą „nie bierzemy jeńców”, to niepełnosprawni podlegają tym samym kryteriom. Siła ich protestu polegała początkowo na apolityczności, którą wspólnie udało się rządzącym i opozycji złamać. Z narodowych rekolekcji postępowania większości wobec słabszych i pokrzywdzonych przez los dość szybko i sprawnie zrobiono najpierw „polityczny szantaż”, a potem „znieczulicę rządzących”, i wszystko pojechało według scenariusza ćwiczono od lat: kto za strajkującymi, ten z opozycji, kto za przerwaniem strajku, ten z partii rządzącej. Wizyty opozycyjnych celebrytów odbierały protestującym matkom wiarygodność tak samo jak hejt i pomówienia wylewające się z obozu władzy i mediów przez nią kontrolowanych.

A przecież istotą tego protestu były dwie sprawy najwyższej wagi. Pierwsza z nich to postawienie w centrum społecznej uwagi kwestii postawy państwa wobec najsłabszych, wobec problemów niezalążanych od dziesięcioleci. Druga była kwestia empatii. Bo niezależnie od możliwości spełnienia postulatów niepełnosprawnych wydawałoby się, że należy jak najszybciej doprowadzić do przerwania tego desperackiego strajku, i że protestujący wymagali pomocy i wsparcia.

Tymczasem wszystkie działania były obliczone na coś przeciwnego – złamać strajkujących i pokazać wobec nich siłę albo przeciwnie: umocnić ich w oporze. Niech siedzą tam, coraz bardziej szkodząc rządzącym. Żadnej propozycji mediacji, ponad-

Ustrój liberalno-demokratyczny nigdy nad Wisłę nie zawitał. Jego miarą nie jest niezależność Trybunału Konstytucyjnego, ale **zdolność większości do opiekowania się mniejszością**, i to mniejszością najsłabszych.

Potrzeby osób niepełnosprawnych

PROTESTUJĄCY W SEJMIE WYWALCZYLI podniesienie kwoty renty socjalnej do poziomu minimalnej renty ZUS-owskiej, czyli z 865,03 do 1029,80 zł brutto miesięcznie. Nowe przepisy mają wejść w życie 1 września tego roku, z wyrównaniem od 1 czerwca. Renta socjalna przysługuje pełnoletniej osobie, która jest całkowicie niezdolna do podjęcia pracy, i której niepełnosprawność powstała przed 18. rokiem życia.

NIEPEŁNOSPRAWNI I ICH OPIEKUNOWIE DOMAGALI SIĘ

RÓWNIEŻ wprowadzenia nowego świadczenia: 500-złotowego dodatku, tzw. rehabilitacyjnego. Tego postulatu rząd nie spełnił, argumentując, iż państwa nie stać na tak duży wydatek, i proponując w zamian pakiet usług oraz produktów pielęgnacyjno-zdrowotnych o wartości zbliżonej do kwoty 500 zł.

ŚRODOWISKO OSÓB

NIEPEŁNOSPRAWNYCH ZWRACAŁO UWAGĘ, że potrzeby tej grupy wykraczają daleko poza postulaty finansowe. Obejmują naprawę systemu służby zdrowia, pomocy społecznej, a także rewolucję w systemie wsparcia opiekunów osób niepełnosprawnych: od zwiększenia świadczeń (niektórzy opiekunowie nie mogą na nie liczyć), po wsparcie w codziennej opiece, takie jak np. możliwość urlopów „wytnieniowych”. © P W

partyjnego porozumienia, wspólnie podanej dłoni, by przerwać ten dramat.

Umywanie rąk

W obliczu takiego obrotu sprawy protestujące matki i ich dzieci byli bez szans. Ani trwanie nie było możliwe, ani sukces w negocjacjach z rządem. Na końcu obydwu plemiona wygrały: rząd pokazał twardość, opozycja dostała amunicję, by oskarżać władzę o bezwzględność. Tylko ludzi w tym nie było, tych śpiących na materacach, cierpiących i zdesperowanych. To nieludzka polityka. Uczestniczymy w niej wszyscy na co dzień, i właśnie na tym przykładzie mogliśmy oglądać jej efekty.

Za protestującymi nie ujął się żaden duży społeczny aktor: związki zawodowe, Kościół, ba: nawet lewica, tak sprawna w różnych akcjach na rzecz mniejszości seksualnych czy „kasjerek z hipermarketów”. Dominowały dwie postawy: życiowa obojętność lub „to nie nasza sprawa”. Nie było tłumów pod Sejmem, nie było spektakularnych akcji w mediach społecznościowych młodych i wrażliwych organizacji obywatelskich, tak sprawnie działających jeszcze jakiś czas temu w protestach przeciw polityce PiS-u.

Najbardziej boli stanowisko Kościoła. Przez wiele dni nikt w imieniu Episkopatu nie zaproponował mediacji, nie nawoływał wszystkich do wspólnego, ponadpolitycznego działania na rzecz zakończenia protestu i pomocy w realizacji postulatów niepełnosprawnych. Jeden z biskupów, nieodmiennie życziwy prawicy, już na początku uznał, że to sprawa polityczna, drugi się pofatygował na miejsce z odwiedzinami, by na końcu zapewnić, że poleci modlitwę za niepełnosprawnymi klasztorowi kontemplacyjnemu w Warszawie. Jakby na świecie nie było silniejszego wołania modlitewnego niż matki o zdrowie i życie swojego dziecka. Sto zakonów nie jest warte jednej takiej modlitwy. Pogratulować biskupowi empatii.

Na koniec był jeszcze Lech Wałęsa, jak obraz upadku naszych bohaterów, smutne świadectwo mieszaniny egotyizmu z bezradnością.

Jest różnica

Tak, to prawda: zachowanie rządzących w 2014 r. było co do istoty podobne. Wtedy też zrealizowano część postulatów, reszty nie. Ale są różnice, które pokazują, co się w Polce od tamtego czasu zmieniło. To brutalność nasza powszechna.

„Zachęcają do tego, by na proteście dało się ubić polityczny interes. To jest rodzaj szantażu moralnego” – mówił w 2014 r. Stefan Niesiołowski i była to najostrzejsza wtedy wypowiedź ze strony rządzącej większości. „Zwyrodnialcy wśród rodziców niepełnosprawnych” – komentował teraz Jacek Żalek, wiceprzewodniczący klubu PiS. Wtórowała mu Krystyna Pawłowicz, mówiąca: „w korytarzu głównym na parterze trudny do zniesienia smród”. „Straż Marszałkowska powinna wynieść protestujących i przekazać policji” – dodawał Stanisław Pięta. Nie wymieniam niezlicznych komentarzy prasy prawicowej, poniżających protestujących w insynuacjach i podważaniu ich intencji. Jest różnica?

W 2014 r., szukając pieniędzy na wsparcie niepełnosprawnych, rząd sięgnął po zysk Lasów Państwowych. W 2018 r. obłożył podatkiem najbogatszych – nie sięgnął do kasy państwa, ale do kieszeni obywateli.

I jeszcze jedno, być może najważniejsze: wtedy nikt nie zamykał Sejmu, nie odmawiał niepełnosprawnym wyjścia na spacer, nie blokował wind i dostępu do prysznicy, nie liczył, ile kosztują ich posiłki. Gdyby wtedy coś takiego się zdarzyło, rząd Tuska zostałby zmieciony ze sceny politycznej w miesiąc. Teraz represje wobec najsłabszych nie uruchomiły lawiny społecznego oburzenia.

Gdzie ludzie dobrej woli

I to się dzieje w kraju Jana Pawła II, gdzie stoi ponad 700 jego pomników, który w kazaniu o istocie solidarności przywołał frazę będącą istotą jego posłania: „jeden za drugiego ciężary noście”. Tu, w Polsce 2018 r. nie tylko nie ma mowy o noszeniu za kogoś (najsłabszego) ciężarów, tu przywala się ich ciężarami w majestacie władzy i prawa. I nie wywołuje to żadnej istotnej, zbiorowej reakcji. Czy można w takim klimacie rozmawiać o innych sprawach, kluczowych dla wspólnej przyszłości? To się już wydaje niemożliwe.

Polska przez te lata się zmieniła. Na gorze. Postępuje tajemniczy proces utraty poczucia tego, co nieprzekraczalne w polityce, w społecznych zachowaniach, nawet w życiu religijnym. Jeśli nie spróbujemy tego procesu powstrzymać, na końcu „zjemy się nawzajem”, jak ostrzegł św. Paweł.

Ktoś w końcu musi spróbować wyjść z tego klinczu „opozycji totalnej” i „dobrej zmiany po trupach”. Jeśli dalej potrwać, zniszczą najlepsze, co dostaliśmy po poprzednich pokoleniach i co wypracowaliśmy przez ostatnie trzy dekady. Piszę to z pełną świadomością własnego uwikłania, własnej obecności w polityce. Nie będę udawał niezaangażowanego obserwatora, swoje mam za uszami. Ale właśnie

dlatego, mając w tym udział, nie zgadzam się na trwanie tego, co złe, i obojętność wobec tego, co jeszcze gorsze. Jeśli nie uwierzimy, że „ludzi dobrej woli jest więcej”, jak śpiewał Niemen, nigdy nie wyrwiemy się z tego zaklętego kręgu. I jestem gotowy przyjąć każde szyderstwo, oskarżenia o naiwność lub zwykły hejt, byle znaleźć podobnie myślących i czujących.

Może w końcu się okaże, że nie jest nas tak mało. Wymaga to tylko odwagi niepodporządkowania się czarno-białej wizji Polski. Odwagi wyjścia poza szantaż złej polityki, która mieli najsłabszych, by potem zmielić wszystkich i wszystko. A na końcu państwo Polaków.

I to tyle o strajku niepełnosprawnych i ich opiekunów w Sejmie.

© BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ

Autor (ur. 1961) jest publicystą, przez wiele lat współpracującym z „TP”. W III RP pracownik UOP (1990–2002), gdzie trafił z wyboru Krzysztofa Kozłowskiego, i współzałożyciel Ośrodka Studiów Wschodnich. W latach 2013–14 szef MSW w rządzie Donalda Tuska. Kilka miesięcy po ujawnieniu nielegalnego nagrania jego rozmowy z Markiem Belką, której przedmiotem były zmiany w ustawie o NBP i spekulacje na temat przyszłości ministra finansów, nie znalazł się w gabinecie Ewy Kopacz.

„Gdy państwo śpi” – odpowiedź redakcji

JAK WYNIKA ZE SPROSTOWANIA opublikowanego przez nas w nr. 23/2018, resort kultury utrzymuje, iż we wrześniu 2017 r. nie wiedział o transferze portfela Fundacji Czarotoryskich do Liechtensteinu. Sens nadesłanego przez ministerstwo pisma sprowadza się do konstatacji, że w grudniu 2016 r. minister wypłacił Fundacji Czarotoryskich ponad 440 mln zł z naszych podatków, po czym dalsze losy tych pieniędzy przestały go obchodzić.

Dla uzasadnienia takiej postawy rzecznik ministerstwa nazywa pieniądze Fundacji Czarotoryskich „środkami prywatnymi”. Gdyby sprawa istotnie dotyczyła prywatnego majątku Czarotoryskich, pierwszy przyznałbym rację, że władzy nic do niego. Ale z faktu, iż jakieś pieniądze

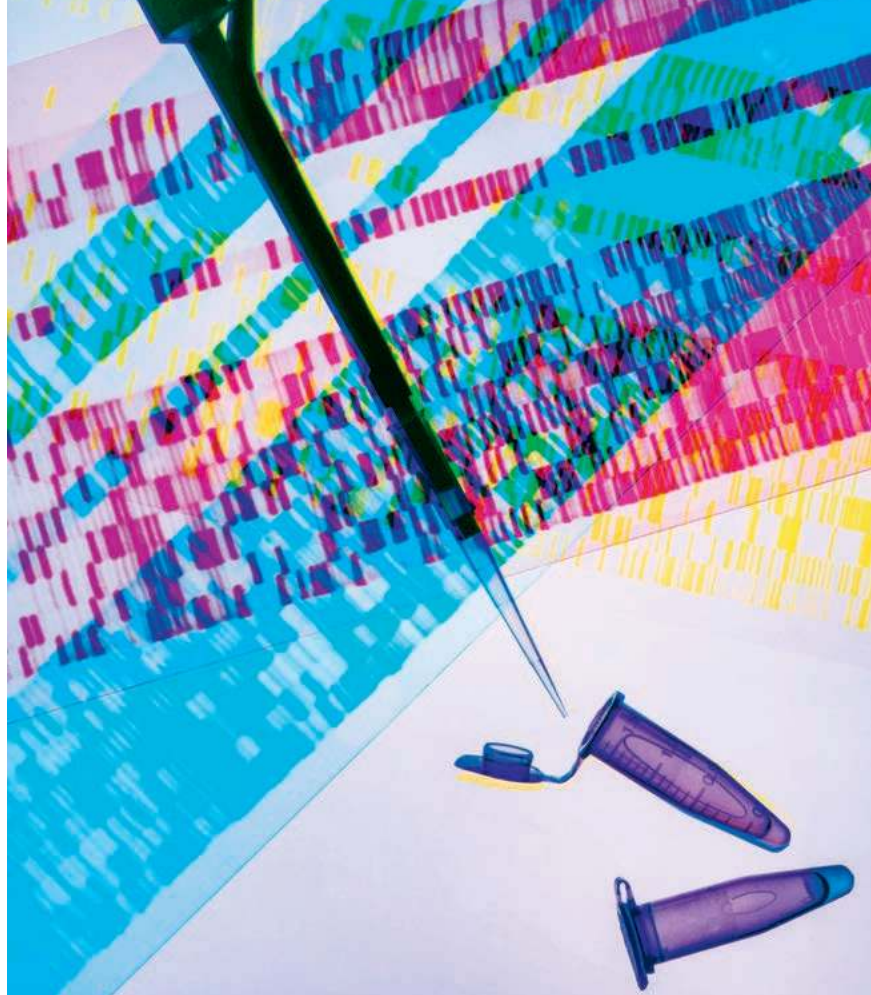
nie są środkami publicznymi, nie wynika wprost, że mowa o środkach prywatnych. Pieniądze fundacji w Polsce mogą służyć wyłącznie do realizacji celów społecznie użytecznych, nie są więc funduszami prywatnymi do wydania podług widzimisię władz statutowych. W Liechtensteinie, gdzie znajduje się w tej chwili większość pieniędzy Fundacji Czarotoryskich, fundacja charytatywna, jaką jest Le Jour Viendra, musi tymczasem wydatkować na takie cele minimum 50 proc. środków. Drugą połowę może już przeznaczyć na co zechce. Wynikałoby z tego, że dla Ministerstwa Kultury nie ma znaczenia, czy na cele statutowe Fundacji Czarotoryskich pójdzie 441 mln zł, czy jedynie połowa tej sumy.

Fundacja Czarotoryskich nie jest po prostu jedną z wielu takich organizacji w Polsce. To jedna z najważniejszych instytucji polskiej kultury, przez lata dofinansowywana przez Skarb Państwa. Od 29 grudnia 2016 r. jest również zarządcą pieniędzy

przekazanych jej z domeny publicznej w zamian za zrzeczenie się praw do kolekcji Czarotoryskich. Te 441 mln zł powinno trafić z powrotem do krwioobiegu kultury polskiej. Nie dlatego, że ubzdurał tak sobie redaktor Rabij z „Tygodnika Powszechnego”, lecz dlatego, że taką decyzję podjął w 1991 r. sam fundator Fundacji, Adam Czarotoryski.

Pierwszym celem statutowym Fundacji Czarotoryskich pozostaje opieka nad Muzeum Czarotoryskich. Mija tymczasem półtora roku od momentu, kiedy to polscy podatnicy (a nie minister Gliniński czy rząd PiS) odkupili kolekcję, a muzeum, nad którym bajecznie bogata Fundacja sprawuje rzekomo pieczę, pozostaje zamknięte, nie mogąc się doczekać końca remontu. Większość zbiorów tworzących kolekcję niszczy w magazynach, w stanie już dzisiaj nienadającym się do ekspozycji. Nawet podczas ostatniej Nocy Muzeów nie udało się ich pokazać szerzej Suwerenowi.

© MAREK RABIJ



ANDREW BROOKES / AFP / EAST NEWS

Genetyczne pokuszenie

MAŁGORZATA SOLECKA

Polska jest jednym z niewielu krajów Europy, który nie ma przepisów dotyczących badań genetycznych. Brak regulacji oznacza, że wszystko jest dozwolone.

OGRANICZ RYZYKO ZACHOROWANIA NA takie choroby jak nowotwory złośliwe, zawał serca czy zakrzepica przy pomocy profilaktycznych badań genetycznych – wystarczy wrzucić w Google odpowiednią frazę, a wyświetlają się dziesiątki reklam. Obietnic spełnienia najważniejszych z życzeń: Obyśmy tylko zdrowi byli.

Wszystko ma swoją cenę. Za 1,5 tys. zł zafundujemy sobie komplet badań określający ryzyko zachorowania na raka (zestaw dla kobiet i mężczyzn pod kątem kilku najczęściej występujących nowotworów). Około 300 zł kosztuje badanie pod kątem raka piersi i jajnika z uwzględnieniem mutacji jednego genu.

Dopłacając 100 zł, przebadamy sobie już dwa geny.

Drzewo poznania

Ale analizując DNA możemy – jak sugerują reklamy pracowni genetycznych – dowiedzieć się o sobie o wiele więcej: poznać genetyczne uwarunkowania otyłości (300 zł), ryzyko samoistnych poronień (ok. 400 zł), choroby Alzheimera (ok. 350 zł) czy nietolerancji pokarmowych (549 zł). Można również przebadać geny, by ustalić, czy grożą nam choroby układu krążenia – za kompleksowe wyniki zapłacimy ponad 3,5 tys. zł. Można przebadać siebie – i partnera, z którym planuje się mieć po-

tomstwo – pod kątem dziedzicznych chorób genetycznych: mukowiscydoza, pęcherzowe oddzielanie się naskórka (EB), rdzeniowy zanik mięśni (SMA).

Jednym słowem: drzewo poznania dobrego i złego. Z tą różnicą, że posadzić je i zrywać owoce może dosłownie każdy. I każdy może wodzić na pokuszenie.

No właśnie, czym dokładnie kusi? Część firm w swoim portfolio umieszcza zarówno „diagnostykę predyspozycji nowotworowych”, jak i „testy na zdradę” (bada się ślady genetyczne na garderobie, ustalając fakt niewierności partnera). Inne w szerokim pakiecie badań proponują ustalenie indywidualnej genodietety, „która zapewni pacjentowi dobry stan zdrowia, osiągnięcie optymalnej masy ciała czy uniknięcie rozwoju wielu groźnych chorób w przyszłości”. Koszt – niecałe 2 tys. zł. O genodietecie zrobiło się głośno dwa lata temu, przed turniejem we Francji, głównie dzięki biografom Roberta Lewandowskiego. Król strzelców Bundesligi i kapitan polskiej reprezentacji ujawnił, że jadłospis – jeden z filarów jego sportowej formy – oparty jest na wynikach badań genetycznych.

Dziki Zachód

Badania genetyczne to wciąż stosunkowo młoda dziedzina medycyny, ale w ośrodkach akademickich i szpitalach wysokospecjalistycznych w ciągu ostatnich dwóch dekad poczyniła ogromne postępy. I w momencie, gdy naukowcy dokonywali przyspieszenia, większość krajów europejskich wprowadziła mniej lub bardziej restrykcyjne regulacje dotyczące badań genetycznych. Nie tylko tych wykonywanych w laboratoriach uczelni medycznych. 2000 rok – Litwa, 2003 – Norwegia, 2004 – Szwajcaria i Włochy. Grupa państw, która materię badań genetycznych regulowała już wcześniej (Wielka Brytania, Francja, Austria), w pierwszej dekadzie XXI wieku szybko zdecydowała się na dostosowanie ich do postępu i możliwości nauki. Jednym z powodów była świadomość, że badania genetyczne to potencjalna żyła złota dla różnego rodzaju naciągaczy.

Polska jest jednym z niewielu krajów Starego Kontynentu, który nie ma takich przepisów. Mimo że od kilku lat eksperci monitują ministerstwa zdrowia i nauki o konieczności szybkiej zmiany tego stanu rzeczy. Z opublikowanego w maju raportu Najwyższej Izby Kontroli wynika, że brak regulacji rzuca głęboki cień na obszar ba-

dań genetycznych. Kontrolerzy NIK piszą wprost: w materii badań genetycznych stanowimy Dziś Zachód.

Brak regulacji oznacza, że wszystko jest dozwolone. Pracownię badań genetycznych może w tej chwili prowadzić wyskokospecjalistyczny szpital, ale również Jan Kowalski. „W obecnym stanie prawnym badania genetyczne wykonywane są przez laboratoria, w tym funkcjonujące w zakładach opieki zdrowotnej, niepublicznych zakładach opieki zdrowotnej oraz podmioty prywatne oferujące/wykonyjące badania poza systemem ochrony zdrowia” – czytamy w raporcie NIK.

Szlak do Chin

Działalność laboratorium medycznego (które również może wykonywać testy genetyczne) podlega przepisom regulującym działalność leczniczą, a podmiot, który prowadzi laboratorium, musi je wpisać do ewidencji prowadzonej przez Krajową Radę Diagnostów Laboratoryjnych. Podmioty prywatne mogą oferować dowolne testy genetyczne w dowolnym zakresie i dotyczące dowolnie wybranych chorób genetycznych tylko na zasadzie zgłoszenia działalności gospodarczej.

Efekt? Jeśli chcemy zrobić najprostsze badanie krwi, udajemy się do gabinetu poobrań, który materiał do badań przesyła do certyfikowanego laboratorium. Jeśli decydujemy się na badania genetyczne, możemy swój materiał genetyczny przekazać firmie, która nie podlega żadnej kontroli.

Co się dzieje z pobranym materiałem, z którego można pozyskać kompleksową wiedzę o naszym stanie zdrowia (jakże cenne informacje dla ubezpieczycieli, banków, pracodawców)? Tajemnicą poliszynela jest, że część firm (eksperci nazywają je niekiedy pracowniami garażowymi) wysyła próbki do chińskich laboratoriów. Bo firma – nazwijmy ją „Świetny Gen sp. z o.o.” – może zaoferować dowolne testy wyłącznie na zasadzie zgłoszenia działalności gospodarczej, bez konieczności posiadania własnego laboratorium, uzyskania opinii ekspertów genetyki medycznej, posiadania państwowego certyfikatu czy też poddawania się kontroli.

Państwo nie określiło, jak długo podmioty oferujące badania genetyczne mogą przechowywać materiał pobrany od klienta. Nie określiło, jak długo firma może przetwarzać dane osobowe, ani jakie zgody są konieczne do wykonywania badań. W efekcie jeden z podmiotów, które

NIK wzięła pod lupę, przechowywał materiał genetyczny sprzed blisko 40 lat. Ponieważ nie ma przepisów, nie można stwierdzić, czy wyniki badań genetycznych, zawierające ogromny zasób wiadomości nie tylko o osobie, która badaniu się poddała, ale również o jej bliskich, są bezpiecznie przechowywane.

Państwo nie postarało się nawet o to, by mieć wiedzę, ile dokładnie podmiotów wykonuje badania genetyczne. Nie ma centralnego rejestru laboratoriów i poradni genetycznych, nie ma dokładnych danych, ile badań rocznie jest wykonywanych – ale eksperci szacują, że co najmniej milion, rynek badań genetycznych jest zaś wart setki milionów złotych. W latach 2015-17 Narodowy Fundusz Zdrowia zapłacił za badania genetyczne ok. 270 mln zł (a NFZ finansuje tylko niewielką ich część).

Leczenie skrojone na miarę

Rynek badań genetycznych będzie się rozrósł. I powinien, bo w tej chwili nie ma wątpliwości: przyszłością medycyny jest leczenie spersonalizowane. Wiedza o genetycznych uwarunkowaniach niektórych chorób (ich lista ciągle się wydłuża) już w tej chwili umożliwia bardziej precyzyjne dopasowywanie leczenia – na przykład w raku piersi – do konkretnego pacjenta. Zamiast jednego leku dla milionów pacjentek, powstają leki przeznaczone dla wąskich grup chorych. Leczenie staje się z jednej strony droższe, z drugiej – bardziej efektywne. Niektóre nowotwory z punktu widzenia medycyny są już chorobami przewlekłymi, z którymi można żyć nawet kilkadziesiąt lat.

Ludzki organizm to złożona maszyna, dlatego leczenie różnych typów nowotworów powinno być precyzyjne i kompleksowe – powtarzają eksperci przy okazji każdej konferencji poświęconej leczeniu onkologicznemu. A takiego leczenia nie ma bez nowoczesnej diagnostyki, jej z kolei – bez badań genetycznych. Kilka dni po publikacji raportu NIK w bydgoskim Centrum Onkologii otwarto Innowacyjne Forum Medyczne, gdzie lekarze, farmaceuci i diagnosty mają planować dla pacjentów indywidualne terapie w oparciu o molekularny profil nowotworu.

Nowoczesna medycyna wymaga jednak dostosowanego do postępów nauki prawa. Eksperci mogą bez końca wymieniać obszary wymagające uregulowania lub przynajmniej refleksji. Choćby takiej, które

badania genetyczne można wykonać na zasadach komercyjnych (np. genodietę), a którym powinna towarzyszyć konsultacja medyczna – przed i po wykonanym badaniu. Bo o ile ustalenie diety w oparciu o profil genetyczny raczej nikomu nie zaszkodzi (poza odchudzeniem portfela), to pozostawienie pacjenta samego z wynikiem badania pod kątem zagrożenia chorobami nowotworowymi nie jest dobrym pomysłem. Co więcej, onkolodzy zgodnie twierdzą, że badania pod kątem dziedzicznych nowotworów powinni wykonywać wyłącznie pacjenci, u których prawdopodobieństwo zachorowania – na podstawie wywiadu rodzinnego – jest wysokie. Testy genetyczne nie są elementem szerokiej profilaktyki przeciwnowotworowej.

Podobnie jest zresztą z badaniami pod kątem chorób genetycznych na etapie planowania rodziny, które mają sens, gdy w bliskiej rodzinie wystąpiły takie choroby lub rodzicom już urodziło się chore dziecko (choroba genetyczna nie musi być dziedziczna, mutacje genów mogą pojawić się samoistnie).

Problem w tym, że z pacjentami (a także z profesjonalistami medycznymi) tak naprawdę o genach i ich tajemnicach nie ma kto rozmawiać. To jeszcze jeden smutny wniosek płynący z raportu NIK. Mamy około stu specjalistów genetyki klinicznej. Dostać się do genetyka „na NFZ” to zadanie z kategorii „trudne, bardzo trudne”, a na opisy wyników badań trzeba czekać tygodniami, bo brakuje specjalistów.

NIK stawia przed ministrami zdrowia i nauki jasne zadania: stworzenia systemu opieki genetycznej (jako części systemu opieki medycznej), z określonymi zasadami wykonywania badań, poradnictwa, ochrony danych oraz przechowywania i wykorzystania materiału. I skierowania do społeczeństwa działań edukacyjnych na temat badań genetycznych, ich zastosowania oraz bezpieczeństwa. ©

ANTYKWARIAT KWADRYGA

KUPI KSIĄŻKI,
STARE POCZTÓWKI,
MAPY, GRAFIKI.
DOJEŹDZAMY.
TEL. 22 622 11 54

Magistra na wynos poproszę

KRZYSZTOF STORY

Ania w tym semestrze napisze trzy prace: licencjacką, inżynierską, magisterską. Wszystkie zaakceptują promotorzy, niczego nie zgłosi system antyplagiatowy, klienci Ani odbiorą dyplomy.

WLIPCU 2014 R. ANIA UZYSKAŁA TYTUŁ magistra w Wyższej Szkole Bankowej w Gdańsku, kierunek logistyka i inżynieria transportu. Kolejną pracę magisterską zaczęła pisać dwa miesiące później.

– Zaczęło się z braku kasy – wspomina. – Jako studentka zarabiałam 1600 zł. Stwierdziłam, że pisanie prac będzie dobrym zajęciem dodatkowym. Nie wymaga wkładu własnego, jedynie czasu.

Ogłoszenie opublikowała w internecie. – Znalazła się pierwsza osoba. Napisałam, promotor zaakceptował, okazało się, że potrafię.

Od tego czasu napisała 10 prac dyplomowych, jeden esej, zrobiła kilka projektów i prezentacji. Gdy zapytać ją, dlaczego to robi, mówi wprost: – Uwielbiam podróże i sport, a to kosztuje. Zarabiam na cudzym lenistwie.

Chętnych jest niemało, Ania musi odrzucać zlecenia. Ogłoszenia o pomocy w stworzeniu pracy wiszą na większości wydziałów. Jeszcze więcej jest w sieci.

– Patrząc na podaż, widzimy, że skala biznesu jest ogromna – mówi dr hab. Małgorzata Lisowska-Magdżiarz z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Pisaniem prac zajmują się nie tylko pojedyncze osoby (często byli studenci). Powstały specjalne firmy, zatrudniające ekspertów z różnych dziedzin. Reklamują się otwarciem: „Nie masz czasu na pisanie? Pomożemy!”, „Z nami zostaniesz magistrem!”, „Wycena i zamówienie w 3 minuty”. Podczas prac nad tekstem robiłem spis takich stron. W ciągu godziny znalazłem 89 adresów.

Metafora rury

Często powtarzane zdanie brzmi: „Kiedyś dostać się na studia to było coś”. Kiedyś, czyli za komuny. Po 1989 r. w polskim sys-

temie szkolnictwa wyższego zaczęły się zmiany.

Fakt pierwszy: w 1990 r. działało w Polsce 12 uczelni niepublicznych. Studioowało na nich blisko 14 tys. osób. Edukacja prywatna w zasadzie nie istniała. Dziś 258 prywatnych szkół kształci ponad 314 tys. studentów (rok akademicki 2016/2017).

Fakt drugi: liczba studentów według danych GUS. Rok akademicki 1990/1991 – 390 tys. (mniej niż populacja Szczecina), rok 2008/2009 – 1 mln 928 tys. (więcej niż mieszkańców Warszawy). Od paru lat ta liczba stopniowo maleje z powodu niżu demograficznego. Obecnie w Polsce studiuje 1 mln 348 tys. osób.

Fakt trzeci: na jednego nauczyciela akademickiego przypada 14 studentów (na uczelniach niepublicznych – 28). To jeden z najwyższych wskaźników w Europie.

Dr Lisowska-Magdżiarz pracuje w Instytucie Dziennikarstwa, Mediów i Komunikacji Społecznej UJ: – Poszliśmy w Polsce w ilość – mówi. – Uznaliśmy, że studia należą się każdemu.

Magistrów i licencjatów produkujemy seryjnie. Uczelniom się to opłaca, bo pieniądze dostają „od studenta”. W 2016 r. dyplomy odebrało 364 tys. osób. Dr Beata Bielska (UMK w Toruniu) nasz system szkolnictwa wyższego porównuje do rury. Jeden koniec to początek studiów, drugi – upragniony dyplom. Polska rura jest solidna, nie da ci łatwo wypaść. Jeśli tylko chcesz, zostaniesz magistrem.

Papierek

Ola, studentka UJ: – Praca magisterska to taki duży papierek, który trzeba stworzyć, żeby dostać mniejszy, ale bardzo ważny. „Rura” chroni studenta także przy pracy dyplomowej. Magisterium przestaje być wyzwaniem, okazją do zbadania czegoś

nowego. Magisterium „trzeba mieć”. Dla trzech liter przed nazwiskiem.

Na tych, którzy pisać nie chcą, czeka rynek. Handluje się tu wykształceniem: jedni kupują, drudzy sprzedają. Karolina akurat sprzedaje. Ogłoszenie: „Praca magisterska pt. »Sponsoring: układ czy prostytucja w opinii studentów xyz«. Wstęp, cztery rozdziały, bibliografia, wykaz tabel. 117 stron. Napisana i obroniona w 2011 r. Oceniona na pięć”. Cena? 350 zł.

– Dlaczego tak tanio?

– Bo mi szkoda tego wysiłku. Miałam małe dziecko, jak ją pisałam. 350 to niewiele za nieprzespane noce, ale dobre i to.

– Pierwszy raz się ogłaszasz?

– Nie, sprzedawałam ją już trzy razy. Gdyby nie to, nikt by jej nie przeczytał. Leżałaby na strychu, aż by ją myszy zjadły.

Zawsze znajdzie się pajac

Rynek dzieli się na kilka segmentów. Karolina jest w najmniejszym – sprzedaje tylko własną pracę. Jeśli klientowi nie pasuje temat „gotowca”, musi zamówić nową.

Wiele ogłoszeń pochodzi od pojedynczych osób. To najczęściej absolwenci, tacy jak Ania z Gdańska. Piszą głównie ze swoich dziedzin, najczęściej rzadko i niechętnie podają swoje dane.

Ania, dziesięć prac dyplomowych: – Wolę pisać ze swojej działki. Miałam zlecenie na pracę z prawa medycznego, odmówiłam. Nie chcę się porywać z motyką na słońce, narażać kogoś na problemy.

Dawid, cztery magisterki, dwa licencjaty: – Pierwsza była dla znajomego. Pisałem z dziennikarstwa, socjologii, politologii. Sam z wykształcenia jestem dziennikarzem.

Ania: – Na początku było trudniej, nie miałam doświadczenia. Teraz mam sporo książek, więcej wiedzy i bardziej znam wymogi edytorskie. Wszystkie prace przechodzą, bo piszę je sama. Sporo osób do mnie wraca, poleca dalej.

Dawid: – Teraz będę pisał z bezpieczeństwa narodowego. Coś o przedwojennych organizacjach, sam nie wiem.

Ania: – Ludzie są różni. Niektórzy dopytują, interesują się. Inni kompletnie nie wiedzą, o czym jest praca, każą robić mi każdą pierdołę. Niektórzy wysłaliby mnie na obronę, gdyby tylko mogli.

Dawid: – Chciałem się zatrudnić w firmie piszącej prace, ale w umowie było więcej kar niż czegokolwiek innego. W internecie też nie jest łatwo. Rynek jest ze-



ADAM STĘPIEN / REPORTER

psuty, zawsze znajdzie się jakiś pajac, który napisze to 50 zł taniej.

Ania: – Biorę między 1300 a 1800 zł. Zależy od liczby stron i tematu. „Odrzewane kotlety” są tańsze, inżynierka jest droższa od licencjatu.

Ja się nie podpiszę

Firmy to największy segment rynku. W Polsce działa ich ponad sto. Największe zatrudniają specjalistów, od geodezji po socjologię. Mają strony internetowe, telefon kontaktowy. Nie przekazują dokumentów w ciemnych uliczkach.

Pracę dyplomową można zarówno kupić, jak i sprzedać zgodnie z prawem. Przepięstwo popełnia dopiero student, który taką pracę przedstawia jako swoją podczas obrony. Za wprowadzenie w błąd funkcjonariusza publicznego w myśl art. 273 kk grozi do 3 lat więzienia.

Sprzedawcę prac można teoretycznie oskarżyć o współudział. To nierealne, bo firmy już na stronach informują, że zakupionych prac nie należy przedstawiać jako swoich. Pracy pisanej na zamówienie nie wykryje też żaden system antyplagiatowy. W praktyce uczelnie nie mają dziś narzędzi do walki z takim procederem.

– Nawet jeśli mam podejrzenia, że student podpisuje się pod cudzą pracą, nie mogę nic zrobić – mówi Lisowska-Magdziarz. – Tego się nie da udowodnić, a ciężko na podstawie podejrzenia zwać policję. Dochodzenie i tak skończy się orzeczeniem o niskiej szkodliwości czynu.

Jako promotor mogę go jedynie wyprosić z seminarium, sugerować zmianę podejścia. I nic więcej.

– Jak temu zapobiegać?

– Pomaga systematyczna praca podczas seminariów. Jeśli promotor się w nią angażuje, trudno „sprzedać” mu gotowca. Ważny jest temat. Ja nie zgadzam się na tzw. „odgrzewane kotlety”. Praca ma być ciekawa. Mnie też się wtedy lepiej pracuje. Jeśli student chce pisać na tematy takie jak „Wizerunek kobiet w reklamie” albo „Rola mediów społecznościowych w kształtowaniu wizerunku polityka”, niech poszuka innego promotora. Takie prace można ściągnąć z internetu w 10 minut. Niektóre są brnione kilkanaście razy w semestrze na różnych uczelniach. Ja się pod tym nie podpiszę.

Według Lisowskiej-Magdziarz zjawisko jest powszechne: – Mamy system болоński, więc ludzie przedstawiają swój licencjat jako pracę magisterską. Inni nie piszą samodzielnie. Na każdym seminarium co najmniej jedna osoba chce oszukać system.

– Zjawisko popełniania plagiatów czy kupowania prac jest dobrze znane i monitorowane przez uczelnię – mówi Adrian Ochalik, rzecznik UJ. – Każda taka sprawa jest w uzasadnionych przypadkach przekazywana do postępowania sądowego.

Tysiące zadowolonych klientów

Ewa: – Na ostatnim roku studiów zaszłam w ciążę, źle się czułam. Na początku kwietnia miałam tylko jeden rozdział. Skorzy-

stałam z pomocy i w czerwcu się obroniłam. Nie czuję się gorzej wykształcona niż inni. Żeby mieć lepiej w życiu, trzeba sobie czasem trochę pomóc.

Paweł studiuje zaocznie bezpieczeństwo narodowe. Niedawno został kierownicą ciężarówki i nie ma czasu pisać sam. Cudzą pracę będzie bronił w lipcu na jednej ze świętokrzyskich uczelni.

– Na razie przeczytałem pierwszy rozdział, promotorowi się podoba – mówi.

– Tak wyglądają seminaria, pokazujesz początek, potem już nieważne. Za 90 stron zapłaciłem 1800 zł.

– Dużo ludzi tak robi?

– Na zaocznych co najmniej 25 proc., bo ludzie nie mają czasu. Wiesz, jak łatwo jest kupić pracę?

Sprawdzam.

„Dzień dobry. Muszę przygotować pracę magisterską z dziennikarstwa i potrzebuję pomocy. Nie mam czasu pisać jej sam. Temat: »Rola mediów społecznościowych w kształtowaniu wizerunku polityka«, ok. 50 stron” – takiego maila wysyłam do 15 firm.

Po dwóch godzinach mam 11 ofert, ustalamy szczegóły.

Pytanie pierwsze: Na kiedy praca będzie gotowa?

Wszystkie firmy zaakceptowały termin 25 czerwca. Pytania wysyłam 21 maja.

Pytanie drugie: Nie mam nawet planu pracy. Czy to problem?

„Plan pracy dostaje Pan gratis. Przygotujemy go w ciągu 3-4 dni do akceptacji przez promotora, a następnie przejdziemy do realizacji rozdziałów”.

Pytanie trzecie: Jaką mam gwarancję, że praca przejdzie system antyplagiatowy?

„W naszej firmie nie ma mowy o jakimkolwiek plagiacie – wszelkie opracowania przygotowujemy od podstaw. W razie wątpliwości oferujemy raport z programu plagiat.pl”.

Pytanie czwarte: Kto będzie pisał moją pracę? Czy ma odpowiednie wykształcenie?

„Każdy z nas ma ponad 11 lat doświadczenia w redagowaniu opracowań ze swojej specjalizacji. Mamy już ponad 4650 zadowolonych Klientów – dołącz do nich!”.

Wszystkie portale oferują przygotowanie planu, stały kontakt z redaktorem i bezpłatne poprawki. Niektóre proponują podpisanie umowy czy wystawienie rachunku.

Jeden chwali się certyfikatem „Wiarygodna Firma”.

→ Pytanie piąte: Ile to będzie kosztowało? 1000. 1400. 25 zł za stronę. 1800. 1300 plus ewentualna ankieta 200. 1500.

Dzwonię do tych od „Wiarygodnej Firmy”. Chcieli 1400.

– Dzień dobry. Pan w sprawie magisterki? Już tłumaczę, to bardzo proste jest. Wpłaca pan pieniążki ratami, a my odsyłamy kolejne rozdziały. 400 złotych za wstęp, potem dwa razy po 500. Tak, z dziennikarstwa mamy specjalistów, dużo piszemy. Najwięcej jest właśnie humanistycznych. Socjologia, pedagogika, prawo. A niby prawnicy tacy uczciwi. Plagiat? Staramy się, żeby poziom zbieżności był jak najniższy. Wszystkie źródła są opatrzone przypisami. Prosta ankieta wliczona w cenę. Pan się zastanowi, ale na prawdę warto.

W rejestrze KRS firma jest opisana jako „działalność wspomagająca edukację”.

Plagiat zwalczyć systemem, antyplagiat synonimem

Problem miały rozwiązać systemy komputerowe. Najczęściej spotykane to Antyplagiat i OSA (Otwarty System Antyplagiatowy). Korzystają z nich największe uczelnie.

– Od ośmiu lat korzystamy z systemu Antyplagiat – mówi dr hab. Stanisław Rybicki, dziekan Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Krakowskiej. – System porównuje czterowyrzowe i dwudziestowyrzowe fragmenty pracy, znajduje powtórzenia w internecie, archiwum prac, a także aktach prawnych. Przy ciągach czterowyrzowych dopuszczamy 50 proc. zbieżności, przy dłuższych – zaledwie 2 proc. Jeśli poziom jest przekroczony, promotor musi zareagować.

Mimo działania systemów, największe polskie uczelnie wykrywają zaledwie kilka plagiatów rocznie. Nieproporcjonalnie mało, patrząc na podaż pisanych na zamówienie prac.

Nic dziwnego.

Próbuję w internecie kupić gotową pracę licencjacką. Jako że moja była już wielokrotnie broniona (kosztuje 149 zł), dostaje w mailu cały poradnik, jak ominąć antyplagiat:

„Nie polecam oddawania prac żywcem jako własne. Najlepiej wypożyczyć trochę

książek i na bazie tej pracy stworzyć własną. W praktyce wystarczy po prostu przeczytać każdy akapit i napisać go własnymi słowami”.

Przykład zmiany: „W roku 1989 w Polsce, wraz z przemianą ustrojową, nastąpiły gwałtowne zmiany systemowe w gospodarce” na „W roku 1989, wraz z przemianami ustrojowymi w Polsce, dokonały się gwałtowne zmiany systemowe gospodarki”.

Zbieżność: 0 proc.

Popularnym sposobem na wykiwanie systemu jest wstawianie białych znaków zamiast spacji lub zamiana polskich liter na identycznie wyglądające znaki o innym kodzie. Istniejące antyplagiaty są kiepskiej jakości, a wciąż nie powstał Jednolity System Antyplagiatowy zapowiadany przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

Albo ilość, albo jakość

Pracy napisanej na zamówienie nie wykryje nawet najlepszy komputer. – Kluczem do rozwiązania problemu nie jest tworzenie wyrafinowanych narzędzi do wykrywania plagiatów, ale podnoszenie jakości i etyki studiowania – przyznaje Adrian Ochalik, rzecznik UJ.

Kończową weryfikacją pracy powinna być obrona. Jednak do oceny z obrony wlicza się także średnia ze studiów. Często wystarczy odpowiedzieć na jedno pytanie odnośnie pracy.

– W praktyce, jeśli ktoś nie wybiegnie z sali trzaskając drzwiami, zda – mówi pracownik krakowskiej AGH.

Dlatego „podnoszenie jakości” powinno się zacząć od seminariów dyplomowych, licencjackich, magisterskich: – Pracujemy nad dyplomem przez 1,5 roku. Jeśli to będzie rzetelna praca, także ze strony promotora, system antyplagiatowy staje się zbędny – dodaje.

Problem w tym, że seminaaria rzadko wiążą się z rzetelną pracą. – Przez cały rok mówiłam promotorce to samo innymi słowami. Była bardzo zadowolona. Pracę napisałam w ostatnim miesiącu – mówi Ula, absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego.

Promotor na polskiej uczelni często ma pod opieką kilkunastu, a czasem na-

wet kilkudziesięciu studentów. Uczelnia opłaca jedynie 30 godzin seminarium przez cały semestr. Czasu brakuje często nawet na przeczytanie prac.

– Z moimi seminarzystami spotykam się po godzinach, indywidualnie – opisuje Małgorzata Lisowska-Magdziarz. – Robię to, bo dobrze napisana praca mnie też sprawia satysfakcję. Szkoda, że system tego nie docenia. Jednocześnie wiem, że nie można od każdego oczekiwać poświęcania prywatnego czasu.

– Co można zrobić?

– Wprowadzić sankcje, które utrudnią handel pracami, stworzyć bazę plagiatorów. W erze „Ctrl C, Ctrl V” kupno pracy jest łatwiejsze niż kiedykolwiek, a my nie mamy żadnego wsparcia poza własnym etosem.

– Możecie kontrolować studentów podczas seminariów.

– Dostajemy po kilkunastu magistrantów i 30 zakontraktowanych godzin seminarium w semestrze – odpowiada mediodzawczyni z Krakowa. – Nie ma mowy o rzetelnej pracy, chyba że ktoś poświęca własny czas. Promotor powinien mieć więcej czasu na pracę z małą grupą studentów. To oczywiście wymaga pieniędzy. Być może trzeba by było zlikwidować licencjaty i skoncentrować pieniądze na seminariach magisterskich?

UW i UJ, dwie najlepsze uczelnie w Polsce, na tzw. liście szanghajskiej plasują się na miejscach 301-400.

– Niestety – mówi Lisowska-Magdziarz. – Jeśli chcemy mieć jakość, nie możemy iść w ilość.

Honor by mi nie pozwolił

Czy mają wyrzuty sumienia?

Ania, pisząca: – Nikogo do niczego nie zmuszam. Jeśli ktoś pisze sam, to ja mu gratuluję. Sama nigdy bym nie kupiła. Honor by mi nie pozwolił.

Paweł, kupujący: – Nie ma znaczenia, czy piszesz sam, czy kupujesz. Te prace i tak nie mają żadnej wartości.

Dawid, kupujący: – Ja mam mieć wyrzuty? Zaprojektowano system, w którym ja popijając piwo przy biurku załatwiam komuś wykształcenie. Przykro mi, ale wstydzić powinni się autorzy systemu.

© KRZYSZTOF STORY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

ANNA

Dziewit-Meller:

Lotnisko zawsze po drodze



BĄDŹMY SZCZERZY – NIEWIELE RZECZY CIESZY normalnego człowieka tak bardzo jak cudze niepowodzenie. Zwłaszcza gdy przydarzy się ono komuś, kto wcześniej zalał za skórę, a o to jakże łatwo w napiętej sytuacji, w której przychodzi nam żyć w Roku Pań-

skim 2018. Owo – owszem, niskie – poczucie satysfakcji z cudzej wtopy dosłownie zalało mnie całą, gdy przeczytałam, że oto poseł Stanisław Pięta ma poważne problemy wizerunkowe powodowane tym, iż jakoby wdał się w romans, a potem sprawa nieprzyjemnie się posypała, gdy kochanka przeszła w tryb „wykorzystana i zostawiona wściekła kobieta” i zaczęła robić dym.

Niezorientowanym przypomnę, że chodzi o kluczowego harcownika partii, człowieka od wysyłania w przestrzeń publiczną najbardziej zjadliwych, paskudnych i krwiożerczych szczurów, celem badania granic wytrzymałości systemu. Autora tak licznych bon motów, że miejsca w felietonie by nie starczyło, by choć najgłówniejszym z tych pereł oddać stosownie dużo naszej uwagi. Poseł Pięta – achillesowe ścięgno polskiej demokracji – po raz pierwszy w życiu nie wie, co powiedzieć. No i jak tu nie czuć pełnej zażenowania satysfakcji za każdym razem, gdy któryś z posłów PiS usiłuje wykręcić się od komentarza w sprawie swego pobożnego i prawnego kolegi, tego husarza Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, gladiatora w koloseum Dobrej Zmiany. Gdy piszę ten tekst, już drugą dobę czekamy na oświadczenie, które zamierza wydać w sprawie. Tkwią w napięciu!

Są tacy, co twierdzą, że to wszystko robota służb i że kompromaty obyczajowe są groźne dla obu stron sporu politycznego; są tacy, co piszą, że burza w szklance wody: dał się chłop uwieść, ale wrócił do żony, przeprosił, więc proszę się odczepić, ludzka rzecz. Ci sami również obwiniają media o niszczenie rodziny posła. Czasem lepiej nie mieć obrońców, doprawdy.

Niezawodni angielscy komicy Matt Lucas i David Walliams, tworzący znakomity serial komediowy „Mała Brytania”,

stworzyli postać polityka – w wersji angielskiej torysa, w wersji amerykańskiej członka Partii Republikańskiej – regularnie co odcinek występującego z *dementi* dotyczącym jakiegoś skandalu obyczajowego, który stał się jego udziałem. W każdym skeczu polityk ów wychodził do prasy w towarzystwie milczącej żony, której białe perły lśniły niczym lzy na tle różu jej garsonki, i odczytywał z kartki trzymanej w dłoni oświadczenie; np. wyjaśniał, jak to się stało, że został przyłapany na przygodnym seksie z chłopcami w publicznej toalecie. „W drodze do domu poczułem przemożną potrzebę skorzystania z toalety. Skręciłem więc na najbliższe lotnisko, gdzie udałem się do WC. Tam młody mężczyzna z Puerto Rico zaprosił mnie do swojej kabiny, by porozmawiać o polityce amerykańskiej partii konserwatywnej. Zmierzając w kierunku kabiny nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności poślizgnąłem się na mokrej podłodze i upadając przypadkiem ściągnąłem owemu człowiekowi spodnie”. I tak dalej, polecam, kto ciekaw, co się zdarzyło później.

Poseł Pięta dociskany przez „Fakt” mówił, że kierowała nim wyłącznie troska o tę panią, która po manifestacjach smoleńskich nie miała gdzie się podziać, gdy ze stolicy odjechały już wszystkie autobusy. „Jak człowiek prosi drugiego człowieka o pomoc, to przecież nie zostawia jej w nocy na dworcu” – odpowiedział na pytanie o wspólne noce spędzone w Nowym Domu Poselskim. Porzucona pani pokazała dziennikarzom tabloidu wiadomości od posła, w których pisał, że jeśli chciałaby starać się o robotę w jednej ze spółek Skarbu Państwa, to powinna ruszać do boju od razu, bo „kiedy będzie już jego narzeczoną czy żoną, to wtedy Prezes na to krzywo patrzy”. Krótko mówiąc: człowiek w drodze do domu czasem poczuje przemożną potrzebę skorzystania z toalety, dlatego kieruje się na najbliższe lotnisko.

Mam tymczasem wielką nadzieję, że o sprawie wiedzą już wszyscy rodzice osób niepełnosprawnych protestujący jeszcze chwilę temu w Sejmie. Ci sami, których Stanisław Pięta proponował z Sejmu wynieść siłą i przekazać policji. Że czytając jego paradne tłumaczenia o tym, że po prostu przesadził z troską i dobrocią wobec tajemniczej kobiety, która pucuje go teraz przed mediami, poprawiają sobie nastrój terapeutycznym głębokim chichotem. Śmiech to zdrowie!

Seks również, chyba że się jest tropicielem dewiacji, obsesyjnym poszukiwaczem zboczeń, psem myśliwskim na gejów, lesbijki i transseksualistów, których porównuje się do pedofilów, zoofilów i nekrofilów. Wtedy to wyłącznie wieczne potępienie, włosienica, pejcz do biczowania w poczuciu wielkiej, bardzo wielkiej winy i gra wstępna w spółki Skarbu Państwa. ©

TP

JUŻ ZA TYDZIEŃ W NUMERZE:

dodatek Droga do wolności

W najbliższym numerze „Tygodnika” znajdą Państwo specjalny dodatek poświęcony województwu śląskiemu, a w nim m.in. rozmowę z trzema artystkami związanymi ze Śląskiem: Anną Cieplak, Olgą Drendą oraz Irmą Koziną, a także esej Ryszarda Koziołka, w którym opowiada o zawitej relacji ze swoją matką ojczyzną.

Serdecznie zapraszamy do lektury!

JEZUS NAD RZYMEM

Czy Kościół
w Europie umiera?
Czy on również przypomina
„niepłodną babcię”,
jak nasz kontynent
nazwał papież Franciszek?
Poszukajmy odpowiedzi,
zaczynając od opowieści
o Włoszech.

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU



ULICE SĄ JESZCZE PUSTE. NA CAMPO de'Fiori pierwsi pojawiają się Bengalczycy. Zaczynają rozkładać stragany, znoszą skrzynki z towarem. Jest niedziela, tuż przed ósmą. Dzwony okolicznych kościołów zapowiadają poranne msze. U wejścia do Santa Maria in Campitelli czarnoskóry ksiądz w białej albie i zielonej stule zaprasza do środka. A na schodach do San Giovanni dei Fiorentini już stoją wierni. Czeka, aż zakonnica otworzy drzwi, „Buon-giorno” – witają się podaniem ręki, raptem kilka osób. Więcej nie będzie.

„Rzym to przedmieścia Watykanu” – mówi s. Mary w serialu „Młody papież”. Trudno o tym nie myśleć, pisząc o włoskim Kościele. Żyje w cieniu Watykanu, choć ma własne – lokalne, a nie powszechne – problemy. Nie wiemy nawet, ile ma lat. Dwa tysiące, licząc od św. Piotra? 1200 – od powstania Państwa Kościelnego, zajmującego całą środkową część półwyspu? A może 150 – bo tyle ma włoskie państwo?

Jest różnorodny. Nie chodzi tylko o prosty – ale kulturowo ważny – podział

na północ i południe, półwysep i wyspy, wielkie miasta i małe *paesini*. Tworzą go 224 diecezje (albo 226 – zależy, jak liczyć). Największa (Mediolan) ma 5 mln mieszkańców. W najmniejszej (opactwo Montevergine) jest 12 księży i 230 wiernych. Choć to akurat nie jest najlepszy (mimo że często przywoływany) przykład, bo opactwo zachowuje wprawdzie „odrębność terytorialną”, ale pod względem duszpasterskim zostało w 2005 r. włączone do diecezji Avellino. Jednak już sardyńską diecezję Ozieri tworzy tylko



Procesja z figurą św. Januarego, patrona Neapolu, maj 2018 r.

tondo. Tyle że o. Pio właśnie zaniemógł i nie był w stanie zejść do kościoła. Matka Boża pozdrowiła go z pokładu śmigłowca.

Po kilku dniach gruchnęła wieść, że słynny stygmatyk i cudotwórca sam został cudownie uzdrowiony. Fotografię helikoptera z figurą pokazały włoskie gazety. Był sierpień 1959 r. Federico Fellini kończył zdjęcia do „La dolce vita”.

Historia kapucyna z San Giovanni Rotondo wiele mówi o tutejszym Kościele. Jego siłą wciąż jest wiara prostych Włochów, którzy bliskości z Bogiem szukają nie w wyrafinowanych lekturach, ale w kontakcie z „bożymi ludźmi”. Na nich zawsze było zapotrzebowanie. W XX wieku Włochy obfitowały w stygmatyków, w 1997 r. żyło ich 21. Jeszcze więcej było osób, które rozmawiały z Matką Bożą i świętymi – największy wysyp objawień prywatnych to lata powojenne: ponad 60 przypadków w okresie 1947-54, więcej niż we wszystkich pozostałych krajach Europy razem wziętych.

Cuda, kult relikwii, procesje z figurami świętych – to widoczny rys włoskiego katolicyzmu, naznaczonego stygmatem ludowości, emocjonalności i powierzchowności.

Nie brak co prawda we włoskim Kościele księży i biskupów dużego formatu intelektualnego, którzy wyprzedzili swój czas i byli prekursorami soborowych reform, ale to nie oni porywali serca i dusze milionów. Dziś papież Franciszek wydobywa ich z cienia, odwiedzając miejsca, gdzie żyli i pracowali – w Molfecie (bp Tonino Bello, pacyfista), w Bozzolo (ks. Primo Mazzolari – partyzant, antyfaszysta), w Barbianie (ks. Lorenzo Milani – pedagog). Wszyscy oni – podobnie jak ojciec Pio – byli niewygodni dla hierarchii, ale to akurat Włochom nie przeszkadza. Autorytet nie wynika z urzędu. Trzeba na niego zapracować. Lekceważenie władzy – także kościelnej, która przez wieki była tożsama ze świecką – to kolejna charakterystyczna cecha tego narodu.

Słodkie życie

Najsłynniejszy film Felliniego zaczyna się lotem śmigłowca. Nad dachami rozbudowującego się Rzymu widać figurę Jezusa. ➔

30 parafii (52 tys. mieszkańców). Pracuje tu 39 księży.

Prymasem Włoch jest biskup Rzymu, czyli papież. Franciszek wyraźnie rozdziela te funkcje. Zmienia strukturę narodowościową kurii i kolegium kardynalskiego. Wśród 74 kardynałów, jakich mianował w ciągu pięciu lat (wliczając dopiero co ogłoszone nominacje), tylko 13 jest Włochami, a ledwie 6 członkami włoskiego episkopatu (pozostali pracują w kurii). Papież odszedł od zwyczaju „automatycznych” nominacji kardynalskich

dla biskupów najważniejszych diecezji. Mimo bliskości Stolicy Apostolskiej, Kościół włoski jest dziś jednym z wielu Kościołów lokalnych.

Cudowne lata

Helikopter z dużą, przeszkloną kabiną zawisł nad klasztorem tak, by schorowany zakonnik mógł z okna spojrzeć na przewożoną figurę. Peregrynacja Matki Bożej Fatimskiej miała się ograniczyć do największych miast, ale organizatorzy zrobili wyjątek dla maleńkiego San Giovanni Ro-

→ Przyczepiony linami do helikoptera Chrystus ma ostatnią szansę, by spojrzeć na Wieczne Miasto i pobłogosławić mu, zanim trafi do lamusowni w Watykanie. To jedna z wielu interpretacji słynnej sceny.

Z najnowszych badań religijności wynika, że zdecydowana większość Włochów (71 proc.) uznaje się za wierzących katolików, choć tylko 20,5 proc. określa się mianem praktykujących (uczestniczą we mszy przynajmniej raz w tygodniu). Wśród młodego pokolenia (18-29 lat) odsetek wierzących jest podobny, ale praktykujący stanowią już 13 proc., a liczba młodych deklarujących ateizm w ciągu ostatnich pięciu lat wzrosła z 23 do 28 proc.

Prof. Pierpaolo Donati, socjolog, kierownik katedry procesów kulturowych i komunikacyjnych Uniwersytetu w Bolonii, unika jednak terminu „kryzys religii”. – Wolę nazywać to marginalizacją wiary, dokonującą się w dłuższym procesie historycznym – mówi „Tygodnikowi”. – Wartości religijne wciąż są obecne w naszym społeczeństwie, tyle że pozbawione zostały transcendencji. Starsze osoby zostały wychowane w kulturze przesiąkniętej wartościami chrześcijańskimi, ale młodzi wyrastają w kulturze post-zsekularyzowanej, która nie jest przeciwna religii, bo często sama przybiera jej formę, ale jest homogeniczna, ujednolicona, nakierowana na wartości ogólnoludzkie. To sublimacja osobistych pragnień i problemów, która karmi się emocjami, a pozbawiona jest refleksyjności.

W badanej grupie młodych dużą część stanowią „katolicy ze względu na tradycję i wychowanie” (36,3 proc.). Wśród nich ponad 1/5 w ogóle nie wierzy w Boga (choć nie uważa się za ateistów), zasilając grono „praktykujących niewierzących”, liczne także wśród starszych. Prof. Donati szacuje, że tylko 10-15 proc. katolików bierze sobie do serca wskazówki papieża i biskupów w kwestiach etycznych. Niemal połowa Włochów (47,8 proc.) popiera małżeństwa jedнопłciowe. Eutanazję dopuszcza 60 proc., podobna liczba osób nie widzi nic złego w stosowaniu pigułki aborcyjnej RU-486 (61,3 proc.).

Bp Mariano Crociata, przewodniczący komisji ds. wychowania katolickiego, zgadza się z opinią, że formacja religijna Włochów pozostawia wiele do życzenia, prosi jednak, by nie popadać w pesymizm: – Widzę sporo oznak żywotności Kościoła: w parafiach, ruchach, wspólnotach. Są tam ludzie o naprawdę dużej dojrzałości

duchowej. Tyle że ich praca nie jest żadnym newsem dla mediów.

Twarz Kościoła

Siłą włoskiego Kościoła od lat jest wolontariat i działalność tysięcy małych grup, stowarzyszeń, wspólnot – poczynawszy od najniższego, parafialnego poziomu. Organizują wyjazdy dla dzieci (*camposcuola*), niedzielne obiady dla starszych i samotnych, zbiórki na cele charytatywne.

Do największych należą Akcja Katolicka (założona w 1867 r., dziś zrzeszająca ok. 400 tys. członków), ruch Focolari (120 tys.), Comunioni e Liberazione (100 tys.), wspólnota Sant'Egidio (40 tys.). Aktywne są też katolickie organizacje studenckie, skautowskie czy zawodowe. Dla bp. Crociata to najlepszy dowód, że włoski Kościół żyje i – zgodnie z tym, co mówi Franciszek – nie zajmuje się samym sobą, ale wychodzi na peryferie.

– Kościół ma twarz wykluczonych, bezrobotnych i dzieci imigrantów – mówią „Tygodnikowi” Francesca i Angelo z Latiny, w środkowych Włoszech. Ona kieruje młodzieżówką Akcji Katolickiej, on jest pracownikiem miejscowego Caritasu.

W 2015 r. ich organizacje uruchomiły projekt „Uchodźca w moim domu”. W całym kraju zgłosiło się do niego 170 rodzin, 150 parafii i 30 wspólnot zakonnych – w sumie przygotowano blisko 1000 miejsc. Założeniem było, by uchodźcy – pojedyncze osoby lub rodziny – mogli korzystać z gościny we włoskich domach przez pół roku. Koszt pobytu pokrywały parafie i sponsorzy. Okazał się sześciokrotnie niższy od kosztów pomocy udzielanej przez państwo. Dwa lata temu Caritas i wspólnota Sant'Egidio podpisały z rządem porozumienie o „korytarzach humanitarnych”. Do czerwca 2018 r. sprowadzono blisko 600 imigrantów z Erytrei, Somalii, Południowego Sudanu i Syrii.

– Nie jest łatwo przyjąć do domu obcą osobę – przyznaje Angelo. – Nie wszystkie próby kończyły się pomyślnie, choćby dlatego, że migranci rezygnowali z gościny i uciekali do innych krajów. Ale nawet krótki pobyt zostawiał ślad, zarówno w ich życiu, jak i w historii naszych rodzin.

Taka twarz Kościoła wciąż podoba się wielu Włochom. Ale prof. Donati chłodzi entuzjazm: – Ludzie doceniają społeczną rolę Kościoła, ale równocześnie odchodzą od praktyk.

Profesor jest twórcą „teorii relacji”, którą stosuje do opisu różnych zjawisk społecznych: – Wiara to osobiste spotkanie z Bogiem. Jeśli stawiamy głównie na działalność charytatywną, relacja ulega zmianie. Kościół staje się instytucją społeczną, organizacją pozarządową, a nie wspólnotą wiernych.

Stąd – według niego – „odklejanie się” życia od wiary, społeczeństwa od hierarchii. Rośnie też odsetek katolików, którym nie podoba się mocne zaangażowanie Kościoła na rzecz uchodźców. Podzieleni są sami księża. Pół roku temu proboszcz parafii Zola Predosa pod Bolonią podał się do dymisji, bo wierni mieli mu za złe, że przyjmuje uchodźców. Gdy biskup mianował go koordynatorem Światowego Dnia Ubogich, jego pomysł – poparty przez kurie – by każda parafia zaprosiła na obiad przynajmniej kilku uchodźców z bolońskiego ośrodka, został zbojkotowany przez większość proboszczów.

Gra o tron

„Cenzura zajęła film, a ja nie chciałem, by zniszczyli negatywy. Idąc za radą znajomego jezuity (...) poszedłem do słynnego kardynała w Genui, uważanego za jednego z papabili, prosząc, by obejrzał film. W maleńkiej sali, tuż obok portu, ustawiliśmy w samym środku fotel, kupiony dzień wcześniej w antykwaracie, niczym tron, z wielką, czerwoną poduszką ze złotymi frędzlami. Kardynał przyjechał w pół do pierwszej w nocy swoim czarnym mercedesem” – zapisał Federico Fellini. Opinia kard. Giuseppe Siriego była pozytywna. Gdy minister kultury dowiedział się o tym, odblokował dystrybucję, choć dąsał się na producenta: „Czy trzeba było fatygować samego kardynała?”. „Noce Cabirii” – bo o nich mowa – reprezentowały Włochy na festiwalu w Cannes w 1957 r. (Złota Palma dla Giulietty Masiny za tytułową rolę prostytutki) i dostały Oscara dla najlepszego filmu zagranicznego.

Kard. Siri był konserwatystą, ale znał się na kinie. Trzy lata później zachwycił się „Słodkim życiem”, uznanym przez Watykan za film skandaliczny i gorszący (na jezuitów, którzy organizowali projekcje i publikowali pochwalne recenzje, Święte Oficjum nałożyło kary). „Niekórzy atakują Felliniego, bo zobaczyli w filmie siebie i samych siebie się przestrzaszyli” – podsumował arcybiskup Genui.

Zmiana politycznych decyzji po interwencjach Kościoła ma tutaj długą tradycję.

cję. Cała powojenna historia, pięć dekad, to rządy Chrześcijańskiej Demokracji, a wpływ biskupów na polityków tej formacji był oczywisty. Chadeccy nie zawsze rządzą samodzielnie, często wchodzili w koalicję z lewicą, a nawet komunistami, ale i to spotykało się z aprobatą kościelnych gremiów.

Stabilny układ (chadecja reprezentuje interesy Kościoła w polityce, katolickie stowarzyszenia wykuwają kadry do zarządzania społeczeństwem, a biskupi zajmują się nauczaniem wiary i moralności) dawał episkopatowi kontrolę nad sytuacją społeczno-polityczną w kraju.

Po głośnym upadku Chrześcijańskiej Demokracji w 1994 r. (wskutek kompromitujących afer korupcyjnych) o głosy katolików zaczęły walczyć wszystkie partie, wykorzystując symbole i wartości religijne w kampaniach wyborczych. Kościół nie rezygnował jednak z politycznych aspiracji, głównie za sprawą długoletniego przewodniczącego episkopatu, kard. Camilla Ruiniego. Mocnym narzędziem walki stały się media – należące do episkopatu dziennik „Avvenire” i telewizja TV2000. W boju *stricte* politycznym zasłużyła się szczególnie gazeta, która nie skąpiła łamów choćby krytykom premiera Berlusconi. Z kolei media wspierające centroprawicowy rząd starały się przekonać opinię publiczną, że biskupi włoscy są „lewicowi” – ten pogląd do dziś podziela wielu Włochów.

W połowie lat 90. episkopat stworzył program pracy na kolejne lata, zwany „Projektem kulturowym”, gdzie wskazywał najważniejsze wartości, jakimi powinni kierować się katolicy, także w wyborach politycznych: obrona życia, promocja rodziny, prawo do wychowania dzieci zgodnie z przekonaniami rodziców. Ale nie tylko o etykę chodziło. Rozpoczęto batalię o obecność krzyża w przestrzeni publicznej, o utrzymanie religijnego charakteru dni świątecznych, o wprowadzenie do europejskiej konstytucji wartości chrześcijańskich. W „Projekt kulturowy” zaangażowano znaczne środki (także publiczne – we Włoszech Kościół jest drugim, po państwie, ich beneficjentem), ograniczając finansowanie lokalnej i codziennej działalności duszpasterskiej.

Wybór Franciszka był kolejnym wstrząsem. Priorytetem nowego pontyfikatu stała się służba wykluczonym, a nie obrona wartości chrześcijańskich. Religia ma być wyrazem wiary, a nie kultu-



PONTIFICIA UNIVERSITÀ DELLA SANTA CROCE

PROF. PIERPAOLO DONATI:

Wiara to osobiste spotkanie z Bogiem. Jeśli stawiamy głównie na działalność charytatywną, Kościół staje się organizacją pozarządową, a nie wspólnotą wiernych.

rowym spoiwem społeczeństwa. Nowe prezydium rady stałej episkopatu – kard. Bassetti, przewodniczący od 2017 r., i bp Galantino, sekretarz od 2014 r. – bardzo ostrożnie wypowiada się na tematy polityczne. Zresztą, nie ma łatwo. Marcowe wybory do parlamentu potwierdziły obawy, że większość Włochów popiera partie radykalne, populistyczne i nacjonalistyczne. Tymczasem zdanie Kościoła w gorących kwestiach, jak pomoc uchodźcom czy nadawanie obywatelstwa dzieciom imigrantów urodzonym we Włoszech (*ius soli*), pozostaje niezmiennie, a papież i biskupi są z tego powodu atakowani przez polityków.

– Mamy w pamięci czas konfrontacji między Kościołem a światem polityki, zwłaszcza zaś jego reprezentacją medialną – mówi nam bp Crociata, który był sekretarzem episkopatu w latach 2008-14. – Kościół jest instytucją o jasno określonej roli społecznej i musi starać się o poprawne stosunki z władzami. Episkopat czy poszczególni biskupi czasem interweniują w sprawach, które mają znaczenie kulturowe czy etyczne, ale starają się to robić bez wydawania uogólniających, negatywnych sądów. Mają do tego prawo, bo uczestniczą w przemianach społecznych kraju i kierują powierzoną im wspólnotą.

Pod koniec maja Franciszek, podczas obrad konferencji episkopatu, mówił o najważniejszych problemach włoskiego Kościoła. Diagnozę zawarł w trzech punktach: brak powołań, zły przykład życia i zbyt duża liczba diecezji. „Nie można głosić ubóstwa i żyć jak król” – przestrzegał biskupów. Próbował przełamać ich opór przed łączeniem małych diecezji w większe. I apelował, by dzielili się księżmi, którzy stają się w kraju deficytowym towarem.

Kapłański niż

„Na co umarł?” – pyta, spoglądając na leżącego w jadalni koleżę, jeden z kardynałów w serialu „Młody papież”. „Na to, na co umrze nasz Kościół. Starość” – odpowiada drugi.

Kościół włoski starzeje się tak szybko, że wkrótce te słowa mogą okazać się prawdą: średnia wieku kleru diecezjalnego wynosi 61 lat. Liczba zmarłych księży co roku trzykrotnie przewyższa liczbę nowo wyświęconych. Brak powołań to zresztą problem wszystkich krajów europejskich.

– Oczywiście pierwszą przyczyną spadku powołań jest kryzys demograficzny – mówi prof. Donati. – Kiedyś odsetek narodzeń był na tyle wysoki, że pozwalał zapewnić stały dopływ powołań kapłańskich i zakonnych. Od czterech dekad przeważają rodziny bez dzieci, 30 proc. osób w wieku reprodukcyjnym żyje samotnie. Społeczeństwo włoskie popelnia demograficzne samobójstwo. Ale to tylko jeden z czynników. Nie mniej ważne są głębokie i szybkie przemiany kulturowe, odchodzenie od wartości chrześcijańskich.

Już teraz blisko 1/3 włoskich parafii jest nieobsadzona. Wielu proboszczów prowadzi dwie lub trzy placówki, zdarzają się sytuacje ekstremalne: w diecezji Trento rekordzista obsługuje 19 parafii. Mimo dużo większego niż np. w Polsce zaangażowania świeckich w życie Kościoła (organizacja parafii, katechizacja dzieci i młodzieży, a nawet – jak w diecezji Bolzano – prowadzenie pogrzebów), nikt nie zastąpi kapłana w celebracji mszy czy udzielaniu sakramentów. Ratunkiem są księża z importu.

Jak podaje miesięcznik „Popoli e missione”: w 2016 r. pracowało we Włoszech 1690 księży obcokrajowców. Najwięcej z Afryki (45 proc. – przede wszystkim z Konga i Nigerii), Europy Wschodniej (27 proc. – Polska, Rumunia, Ukraina) oraz Azji (15 proc. – Indie, Sri Lanka).



→ – Są diecezje, w których nie ma w ogóle obcych księży, ale są i takie, gdzie obcokrajowcy stanowią niemal cały czynny kler – mówi bp Crociata. – Trzeba przyznać: tam, gdzie jest ich dużo, ryzykujemy utratę tożsamości i jednności działań duszpasterskich.

Przyjeżdżający z zagranicy księża są młodzi i dobrze wykształceni – często po studiach na którejś z rzymskich uczelni. Znają język, a ponadto, by objąć probostwo (co wiąże się z pełnieniem funkcji państwowej, np. podczas udzielania ślubu) muszą mieć włoskie obywatelstwo. Mimo to ich obecność rodzi problemy. Nie chodzi o rasizm czy ksenofobię, bo, poza nielicznymi incydentami, Włosi są dla nowych duszpasterzy gościnni. Jednak coraz częściej skarżą się na brak zrozumienia dla swej sytuacji życiowej, a relacje z kapłanem sprowadzają się do powierzchownej życzliwości.

Powrót do korzeni

– Sekularyzacja postępuje i nie da się jej zatrzymać w krótkim czasie, ja jednak wierzę, że jej konsekwencje wstrząsną sumieniami – podsumowuje prof. Donati. – Młodzi ludzie zażęsknią do religijnych korzeni. Wyrósł pokolenie zdolne odnaleźć prawdziwą wiarę. Badania dowodzą, że po okresie skrajnego wykluczenia, w tym wypadku religijnego, następuje proces odnowy. To oznacza powstanie i rozwój nowej wrażliwości religijnej. Mam nadzieję, że Kościół będzie potrafił z tego skorzystać.

„Od dziś nie ma nas w domu, choćby nie wiem kto pukał do naszych drzwi – mówi „młody papież” Pius XIII w telewizyjnym serialu. – Od dziś wszystko, co było szeroko otwarte, będzie zamknięte. Ewangelizacja? To już było. Ekumenizm? Stara śpiewka. Tolerancja? Już tu nie mieszka”.

Paulo Sorrentino to jeden z niewielu reżyserów, którzy nie boją się zmierzyć z proroczymi wizjami Felliniego. Nad Watykanem znów pojawia się biały helikopter, do którego na linach przyczepiona jest ogromna, drewniana skrzynia. Pius XIII sprowadza z Waszyngtonu tiarę, którą w 1963 r. Paweł VI przekazał na cele dobroczynne. Symbol tradycji, majestatu i władzy. © EDWARD AUGUSTYN

Współpraca: ADA SERRA

Wolontariusze Boga

PRZEMYSŁAW KOZŁOWSKI

Lęk przed obcymi wywołują słowa. Można go pokonać, gdy stanie się z uciekinierami twarzą w twarz – mówią ci, którzy bezinteresownie pomagają uchodźcom.

WNIEDAWNO OPUBLIKOWANEJ ADHORACJI o drogach do Boga we współczesnym świecie „Gaudete et exsultate” Franciszek wspomina o pomaganiu uchodźcom. Mówi, że to wcale nie jest temat marginalny. „Można rozumieć, że osoba mówiąca takie rzeczy to polityk troszczący się o swoje sukcesy, ale nie chrześcijanin, któremu wyłącznie przystoi postawić się w roli tego brata, który ryzykuje swe życie, aby zapewnić przyszłość swoim dzieciom. Czy możemy uznać, że tego właśnie chce od nas Jezus, kiedy mówi nam, że przyjmujemy Jego samego w każdym obcym?” – pyta papież.

Są ludzie, którzy właśnie z motywów religijnych pomagają imigrantom. Taka postawa jest ponadkonfesyjna.

Pan nas do tego wezwał

22-letni Dragan Stanojlovic przytula młodą żonę Daniełę. „Wszystko będzie dobrze” – uspokaja. Od kilku godzin siedzą w ciemnej piwnicy, są głodni i spragnieni. Ktoś podaje im paczkę herbatników, ktoś kawałek chleba. I wodę, bo tak sucho w ustach. Nad nimi drży ziemia. Jest rok 1999 i NATO bombarduje Belgrad w ramach operacji Allied Force, która ma zakończyć serbskie czystki etniczne w Kosowie.

Wiele nocy spędzili wtedy w schronie, gdzie każdy z każdym dzielił się tym, co miał. – To zrodziło we mnie ogromną potrzebę pomagania innym – wspomina po 18 latach Dragan. Zaczęli z Daniełą od małych Romów. – Jestem Romem i chcę pomagać biednym romskim dzieciom – tłumaczy.

W kościele, w którym Dragan jest pastorem (w prawosławnej Serbii protestanci to ledwie 1 proc. populacji), rozdawali ubrania i jedzenie, zaczęli organizować zimowe i letnie obozy. Z czasem do romskich dzieci dołączyli uchodźcze z Kosowa, muzułmańskie. – Na początku było

ciężko, ale w końcu rodzice nam zaufali i zaczęli oddawać swoje dzieci na nasze obozy.

W 2015 r., wraz z nastaniem kryzysu migracyjnego w Europie, w Belgradzie pojawili się uchodźcy z Bliskiego Wschodu i Azji, próbujący przedostać się szlakiem bałkańskim na Zachód. Dragan i Daniela mijali ich codziennie w parku i przy dworcu autobusowym, wokół którego zbierali się tysiącami. Codziennie zadawali sobie pytanie, jak mogą pomóc, skoro im samym się nie przelewa. I wtedy zadzwonił do Dragana przyjaciel, pastor z północnej Serbii. Powiedział, że ma sporą darowiznę na rzecz imigrantów, jakieś 2 tys. euro, ale nie wie, jak ją wykorzystać. Dla Stanojlovica było to jak telefon z nieba. – Bóg nas do tego wezwał – mówi poważnie.

Wkrótce dostali też wsparcie finansowe z Kościoła protestanckiego w Holandii. Zaczęli od codziennej porcji kanapek i gorącej zupy w zrujnowanych magazynach kolejowych za belgradzkim dworcem głównym, gdzie koczowało nielegalnie około tysiąca imigrantów, którzy utknęli po zamknięciu dla nich granic przez sąsiednie kraje. – To było wspaniałe uczucie móc dzielić się z nimi jedzeniem – opowiada pastor, pokazując zdjęcia.

To miejsce na fotografiach przypomina postapokaliptyczny świat jak z „Mad Maxa” – mroczne, spowite dymem z ognisk, w których płonie wszystko, co można znaleźć w okolicy, wewnątrz kryją się opatulone kocami ciemne postaci. Na jednym ze zdjęć ubrany zimowo Dragan trzyma kartony z pieczywem. Za nim szara, obdrapana, wilgotna ściana z napisem po angielsku: „Czy kiedykolwiek trzymałeś swojego zwierzęcia w takich warunkach?”.

Kupili więc 30 mioteł, by uchodźcy mogli wysprzątać zaśmiecone pomieszczenia. I płyty styropianu, aby nie spali na gołym





MICHAŁ OCZKOWSKI

Wśród nielegalnych imigrantów w zrujnowanych magazynach pokolejowych w Belgradzie, styczeń 2017 r.

betonie. Po pierwszej nocy usłyszał: „Hej, Dragan, dziękuję, nie spałem lepiej przez ostatnie sześć miesięcy”.

Nie poprzestali na zaspokajaniu potrzeb z dołu piramidy Masłowa. Lektury (w tym Ewangelia), zabawy i warsztaty dla dzieci, pokazy filmów. Raz „Jaś Fasola”, innym razem „Jezus z Nazaretu”. Przy Jezusie ktoś rzucił, by obejrzeć mecz Realu z Barcą. Dragan mówi, że nieliczni go poparli. Większość imigrantów to muzułmanie, chcieli oglądać film o jednym ze swoich proroków.

Po zburzeniu magazynów i przesiedleniu uchodźców do oficjalnych obozów wiosną 2017 r. Dragan i Daniela pomagają i tam. Daniela jest fryzjerką, więc organizują dla kobiet zawodowe kursy fryzjerstwa i wyrabiania biżuterii, by jak już dotrą do kraju docelowego, mogły podjąć pracę.

Pokażcie im miłość

Spędzał w magazynach całe dni, od rana do późnej nocy. Nazywali go „wielki tata” lub „wujek”. Dużo uczuć i emocji jest w jego opowieściach. Na zdjęciu strzelonym z lampą błyskową w ciemnym magazynie chłopiec wygląda jak jedno wielkie nieszczęście. Głowa opatulona szalikiem, wystraszona umorusana twarz, brudne dłonie, w których ściska dwie bułki i kubek herbaty. – To Aziz z Afganistanu. Był

sam od wielu miesięcy, bo ojciec siedział w bułgarskim więzieniu. Bardzo pokochałem tego chłopca – mówi.

Na następnym zdjęciu w ciepłym świetle wschodu lub zachodu słońca radosny Stanojlovic trzyma chłopca na rękach. Na jego czystej buzi uśmiech od ucha do ucha, w rękę para nowiutkich adidasów. – Za każdym razem, gdy przychodziłem, Aziz obejmował mnie i całował na powitanie, bawiliśmy się. Jednego razu przytulił mnie jak zwykle, a za chwilę uderzył. Nie wiedziałem, o co chodzi, tyle tylko, że coś jest nie tak – Draganowi drży głos. – Po tym zdarzeniu więcej go nie zobaczyłem. Wyjechał do Niemiec z ojcem, który wrócił z Bułgarii.

Serbia dla uchodźców to kraj tranzytowy: pojawiają się i znikają. Wielu przychodziło z prośbą: „Bracie, jutro chcę spróbować przekroczyć granicę [nielegalnie], czy możesz się za mnie pomodlić?”. Pakistańczyk Abdullah wielokrotnie próbował przedostać się do Rumunii i Bułgarii, ale zawsze go łapano i wracał do Belgradu pobity przez policję i pogryziony przez psy. Przed kolejną próbą zwrócił się do Dragana o pocierz w intencji udanej ucieczki. Małżeństwo modliło się nocą i więcej go nie spotkali.

Ahid z Afganistanu, z którym Dragan spędzał sporo czasu, razem jadali i roz-

mawiali, miał mniej szczęścia. Próbował przejść przez zamarzniętą Cisę na Węgry, ale lód się załamał. Utonął na oczach policjanta, którego ściągnęło wołanie o pomoc, ale nie starał się jej udzielić.

Ktoś zapytał Dragana, co by doradził przy pierwszym kontakcie z uchodźcami. – Pokażcie im miłość – odpowiedział. – Zaufajcie, a otworzą się. To jest to, co my robimy.

Twierdzi, że uczucie nie jest jednostronne. Gdy umarła jego mama, uchodźcy z magazynów pocieszały go i płakały razem z nim. – Nie dostałem takiego wsparcia i miłości od wiernych w swoim kościele.

Stanojlovic uważa, że bierną lub niechętną postawę społeczeństwa można zmienić tylko przez konfrontację twarzą w twarz, samym gadaniem niewiele się wskóra. Dlatego zabrał do obozu uchodźców nieprzekonanego do imigrantów dyrektora szkoły niedzielnej, w której pracuje. Po tej wizycie dyrektor zorganizował zbiórkę darów.

Wstydzi się za Serbię, bo bardzo mało ludzi pomaga uchodźcom. – Może się boją. Niestety nie mamy też zrozumienia i wsparcia wśród naszej romskiej społeczności. Romowie twierdzą, że są w gorszej sytuacji niż uchodźcy, ale to nieprawda – ubolewa. – Na szczęście przyjeżdża wielu wolontariuszy z innych krajów.

Wśród nich przyjaciel Dragana Michał Oczkowski. To z nim kupował uchodźcom styropian do spania i wyświetlał filmy.

Prosimy, posłuchajcie

Michał Oczkowski wierzy w siłę słowa. Jest ewangelikiem. Opowiada o swoich wyprawach pomocowych na spotkaniach w kościołach protestanckich Śląska i w muzeum w Wiśle, jego rodzinnym mieście, gdzie pracuje jako handlowiec.

– Zajmujemy się pomocą bezpośrednią, jeździmy w różne miejsca w Europie: do Bułgarii, Serbii, Grecji. Niestety nie możemy pracować z uchodźcami w Polsce, ponieważ nasz kraj ich nie przyjmuje – tłumaczy. – Często po spotkaniach ludzie podchodzą i mówią, że mieli całkiem inny punkt widzenia, a to, co zobaczyli i usłyszeli, sprawiło, że zmienili zdanie.

Jeżdżą do oficjalnych i nieformalnych obozów z przydatnym na miejscu sprzętem ze zbiórek w kościołach, jak garnki, by imigranci mogli sobie sami ugotować ryż czy herbatę. Wożą też buty. To dobro ➔

→ pierwszej potrzeby, podczas marszu przez Europę szybko się zdzierają. Michał nie zapomni dwóch mężczyzn, którzy na zmianę używali jedną parę starych adidasów. Ściągnął więc swoje i zobaczył lzy szczęścia. W czasie świątecznych wyjazdów wiozą setki prezentów, zapakowanych jak przez samego świętego Mikołaja. Na miejscu kupują jedzenie: ryż, olej, cukier, herbatę i mnóstwo bananów dla dzieciaków. – Wzruszające jest, gdy uchodźcy zapraszają nas na kolację przygotowaną z tego, co dopiero dostali. I choćby nie wiadomo jak byli głodni, nie zaczęną jeść, póki gość się nie poczęstuje.

Kupują też to, co akurat jest potrzebne, jak 1400 m² grubej folii plastikowej do zabezpieczenia przed wilgocią namiotów w Kalebii, wiosce na serbsko-węgierskim pograniczu, gdzie koczowało ponad 350 osób. Zresztą nie wszyscy mieli namioty, niektórzy tylko koc rozwieszony na kijach, a bardzo padało. Gdy po pół roku ekipa wróciła do obozu, część namiotów wciąż była pod ich folią.

Ale Oczkowski podkreśla, jak ważny oprócz pomocy materialnej jest czas poświęcony uchodźcom. Na zabawę z dziećmi, gry planszowe, wspólną modlitwę, na rozmowę. Słowa mają działanie terapeutyczne. Oni mają silną potrzebę, by opowiedzieć o swoich przeżyciach i uczuciach, by ich wysłuchano. I by ich historie dotarły do krajów, z których wolontariusze przyjeżdżają. Nie do polityków, którzy decydują o ich losie, ale do zwykłych ludzi, by postarali się ich zrozumieć.

Serce boli

Na to, że Oczkowski zajął się działalnością charytatywną (przez siedem lat pracował w organizacji misyjnej), wpłynęła trudna młodość. Nie lubi wracać do szczegółów sprzed dwudziestu paru lat, ale mówi, że miał poważne problemy z samym sobą. Czuł się niechciany i odrzucony. Pomogło mu wsparcie i modlitwa rodziców oraz szkoła biblijna. – Jezus zmienił moje życie, sprawił, że stało się szczęśliwe – wyznaje.

Ale z uchodźcami zetknął się trochę przez przypadek. Na przełomie 2013 i 2014 r. jego znajomi jechali na konferencję misyjną Mission-net do Offenburga w Niemczech, i na kilka dni przed wyjazdem powiedzieli, że mają jedno wolne miejsce w aucie. Po przyjeździe zastał mnóstwo stoisk misyjnych i trzy tysiące ludzi z całego świata. Jedne z warsztatów



Dragan Stanojlovic, Belgrad, styczeń 2017 r.

Uchodźcy zapraszają
na kolację przygotowaną
z tego, co dopiero dostali.

Choćby nie wiadomo
jak byli głodni,
nie zaczęną jeść, póki gość
się nie poczęstuje.

dotyczyły pracy z uchodźcami. Spośród wszystkich uczestników tylko trzydzieścioro mogło odwiedzić obóz dla uchodźców. Zrządzeniem losu lub Boga Michał się załapał. Dwie i pół godziny przegadał z młodym Pakistańczykiem. – Gdy usłyszałem jego historię, coś we mnie pękło. Poczułem, że to zadanie dla mnie od Boga: pomagać uchodźcom i zmieniać nastawienie do nich w naszym kraju.

Dwa lata jednak minęły, zanim znów spotkał uchodźców. Nie mógł w swoim regionie znaleźć organizacji, która by im pomagała. Dopiero jego ojciec wyszukał informację o spotkaniu w luteranśkim kościele z wolontariuszami z Czech. – To są bardzo różni ludzie, o różnej osobowości, z różnymi zawodami: prawnicy, nauczyciele, pastory, emeryci, studenci. Żeby się do nich przyłączyć, trzeba spełniać trzy warunki: ukończone osiemnasto lat, otwarte serce dla uchodźców, respektowanie wartości chrześcijańskich, gdyż w większości są ludźmi skupionymi

wokół różnych Kościołów protestanckich – opowiada.

Tydzień po spotkaniu wyruszył w drogę z polsko-czeską ekipą. Na początku mama nie była zbyt szczęśliwa, że nie będzie go na Wielkanoc. Natomiast jego 73-letni ojciec dołączył na jednym z kolejnych wyjazdów do grupy syna. Młodzi uchodźcy bardzo cenili jego obecność, tęsknili za swoimi rodzinami, więc stawał się dla nich na moment brakującym ojcem. – W ich kulturze jest wielki szacunek do starszych ludzi – tłumaczy Oczkowski.

Za pierwszym razem pojechali do obozu w greckiej wiosce Idomeni przy granicy z Macedonią. Tam przeszedł chrzest bojowy – na oczach wolontariuszy poroniła młoda Syryjka. – Serce boli, gdy patrzy się na ludzi żyjących w nieludzkich warunkach, śpiących przy minus piętnastu w pomieszczeniach bez ogrzewania, w których grasują szczury i wszy.

Spotkanie w Polsce

Dragan i Michał spotkali się niedawno znowu. Tym razem w Polsce. Pod koniec ubiegłego roku Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku zorganizowało dla pomagających uchodźcom wolontariuszy cykl warsztatów „Solidarity Here and Now”. 14 wolontariuszy z różnych krajów wymieniało doświadczenia, opinie, kontakty. Pogłębiało też wiedzę o samopiece, o tym, jak lepiej rozpoznawać potrzeby uchodźców i zmniejszać przepaści międzykulturowe.

Michał opowiada, że gdy zginął pod lodem poznany w Belgradzie Afgańczyk Ahid, który chciał przedostać się z Serbii na Węgry, podzielił się swoim bólem na Facebooku, gdzie relacjonuje wyprawy. Jakis znajomy napisał w komentarzu, by powiedział reszcie, aby nie przekraczali nielegalnie granic. I dodał, że inwazja tych „tak zwanych uchodźców” na Europę nie jest przypadkowa, ktoś ich do tego specjalnie pchnął. – Niektóre przyjaźnie, również z kręgów Kościoła, pękły po tym, jak zacząłem pomagać uchodźcom – kwituje Oczkowski.

Ale znieczulić na los imigrantów widzi nie tylko wśród religijnych osób w Polsce. W krajach, do których jeździ z pomocą, słyszał nie raz od wiernych w tamtejszych kościołach, że oni będą się za uchodźców modlić, ale na inną pomoc nie mogą liczyć. – To nie jest prawdziwe chrześcijaństwo.

© PRZEMYSŁAW KOZŁOWSKI

Świętość w zasięgu rozwodników

MAREK SŁOŃ

Z każdej, najbardziej małżeńsko „nieregularnej” sytuacji Bóg może wyprowadzić człowieka. Choć miejsce, do którego doprowadzi, może wyglądać inaczej, niż się spodziewamy.

OBSERWUJĄC SPÓR O INTERPRETACJĘ Adhortacji „Amoris laetitia”, odnoszę wrażenie, że dyskusja toczy się głównie obok jej treści. Wśród jej największych entuzjastów i krytyków panuje zadziwiająca zgodność. Papieskiemu dokumentowi przypisywane są tezy, których nie potrafię się tam dopatrzeć. Więcej – są one w mojej ocenie fundamentalnie sprzeczne z nauczaniem papieża Franciszka.

Nie jestem teologiem ani ekspertem w tej dziedzinie. Piszę, opierając się na własnym doświadczeniu trwającego już lata kryzysu małżeńskiego. Na tej drodze ważna dla mnie okazała się pomoc, którą otrzymałem we Wspólnocie Trudnych Małżeństw Sychar.

Dobrymi przykładami wspomnianego wyżej nieporozumienia jest z jednej strony List „Wątpliwości rodzin” (zawierający pytania kilkunastu polskich rodzin skierowane do papieża i biskupów), z drugiej zaś artykuł Artura Sporniaka „Rozwodnicy pod rygorem” („TP” nr 9/2018). Dla obu tekstów wspólne jest np. przekonanie, że dopuszczenie do sakramentu pojednania i Eucharystii jest równoznaczne ze zdjęciem winy grzechu cudzołóstwa, a rozeznanie odnosi się do ważności sakramentalnego związku. Prowadzi to do wniosku o zmianie rozumienia nierozdzielności małżeństwa, zmierzającej do ograniczenia tej normy. W moim odbiorze papieskie nauczanie idzie w przeciwnym kierunku.

Plany Boga

Istotne znaczenie dla jego zrozumienia ma kolejna adhortacja, „Gaudete et exultate”. Papież ukazuje w niej kontekst swoich poprzednich dokumentów, jako opisów różnych dróg do świętości (28). „Amoris laetitia” prowadzi do niej przez

duchowość małżeńską. Właśnie w budzącym największe kontrowersje rozdziale ósmym jest to wyrażone szczególnie wyraźnie. W przypadku różnych sytuacji zwanych „nieregularnymi” zadaniem Kościoła jest „dopomożenie im w osiągnięciu pełni planu Boga”. Do tego cytatu z relacji synodalnej papież dodał od siebie fundamentalną uwagę: „co jest zawsze możliwe z mocą Ducha Świętego” (297).

Warto porównać te słowa z zapisami zawartymi w adhortacji „Familiaris consortio”. Św. Jan Paweł II pisał, że „różne motywy, takie jak brak wzajemnego zrozumienia, nieumiejętność otwarcia się na relacje międzyosobowe i inne, mogą w przykry sposób doprowadzić ważnie zawarte małżeństwo do rozłamu; często

nie do naprawienia” (83). Z tej konstatacji wynikały zalecenia kierowane pod adresem osób żyjących w nowych związkach, w tym zaniechanie współżycia. Papież pisał o obowiązku rozstania, czasem jego zdaniem niemożliwego do zrealizowania, ale już nie o powrocie do sakramentalnego małżonka.

Franciszek zdaje się nie widzieć rozłamów nie do naprawienia. Wie, że droga do pełni planu Boga względem połączonych przez Niego małżonków może być długa i przebiegać w różny sposób. Jednak z mocą Ducha Świętego, obecnego w sakramencie małżeństwa, jest ona zawsze otwarta. Z każdej, najbardziej „nieregularnej” sytuacji Bóg może wyprowadzić człowieka. Potrzeba Mu tylko zgody grzesznika, jego stanięcia w prawdzie i woli nawrócenia, wejścia na ścieżkę, która prowadzi do świętości. Ważne jest nie to, skąd ów człowiek startuje – to może być otchłań grzechu i głęboko zdeformowane sumienie – lecz to, dokąd chce dojść, i wysiłek podejmowany na każdym kroku.

Cała adhortacja o radości miłości ukazuje ów cel, pełnię planu Boga wobec sakramentalnych małżonków, świętość na drodze duchowości małżeńskiej. To droga dla wszystkich, którzy zawarli ten sakrament. Dla tych, którzy właśnie zaczynają życie razem i cieszą się każdym dniem. Dla tych, którzy przeżywszy wspólnie wielkość życia, osiągnęli znacznie głębszą →



TONI ANZENBERGER / FORUM

→ więź. Dla tych, którzy przechodzą przez dramat kryzysu małżeńskiego, szczególnie w jego najostrejszej fazie, gdy przynajmniej jedno z nich zawiera nowy związek i z nim łączy swoją przyszłość. Dla tych wreszcie, którzy po tych bolesnych doświadczeniach z powrotem są razem i budują swoją więź od nowa.

Papież Franciszek niesie im wszystkim przesłanie nadziei. Nawet wtedy, gdy mąż i żona nie wyobrażają sobie już życia razem i nie potrafią wzbudzić w sobie nawet chęci naprawy relacji, wciąż mogą sięgnąć do żywego charyzmatu sakramentu i działającego w nim Ducha Świętego. Z tego ognia może od nowa rozpaść się ich wzajemna miłość, która będzie ich dalej prowadzić ku Bogu. To dlatego każde sakramentalne małżeństwo jest do uratowania, nawet po rozwodzie i gdy obie strony mają dzieci w nowych związkach.

Komunia dla rozwiedzionych

To czerpanie z mocy sakramentu komunii osób dokonuje się przede wszystkim przez przyjmowanie Jego Ciała i Krwi. Na drodze od grzechu ku świętości jest on najcenniejszą, często niezbędną pomocą. Jednocześnie tylko kroczenie na tej drodze uprawnia wiernych do przyjmowania Eucharystii. Wszyscy zgrzeszyliśmy i jesteśmy pozbawieni chwały Bożej, nie jesteśmy godni, aby On do nas przyszedł. Przystępujemy do Jego stołu, aby nasza dusza została uzdrowiona. Dla osób żyjących stale sakramentami i Słowem Bożym ta postawa wydaje się i zwykle jest oczywista. W przypadku osób uwikłanych w sytuację tzw. nieregularne, np. rozwodników w nowych związkach, konieczne jest stałe rozeznawanie sumienia przez nich samych i duszpasterza.

Decyzja o zaniechaniu przez te osoby współżycia może być zarówno cennym znakiem ich świadomości grzechu i woli wychodzenia z niego, jak też ważnym krokiem na tej drodze. Wszystkie te elementy mogą się jednak objawić także w inny sposób. Co ważniejsze: decyzja o życiu jak brat z siostrą i jej realizacja nie mogą być traktowane jako punkt dojścia, realizacja pełni planu Boga w ich powołaniu małżeńskim. Papież nie wskazuje, co powinno być kolejnym etapem, przyznaje, że nie ma tu prostych odpowiedzi, ale zarazem zobowiązuje wiernych i duszpasterzy do ich poszukiwania.

Wskazuje jednak kilka ważnych kierunków. Pierwszym jest prawda, czyli wyma-

gania Ewangelii. Eucharystia to stół Słowa i stół Chleba, nierozdzielnie ze sobą połączone. Przyjęcie Jezusa musi obejmować obie postaci Jego obecności. Nie przez przypadek bezpośrednio przed komunią wyrażamy wiarę w moc Jego Słowa: ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja. A On mówi o małżeństwie w sposób jednoznaczny: łączą się ze sobą tak ściśle, że stanowią jedno ciało; co Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela. Pytanie o akceptację Pisma Świętego i nauczania Kościoła to podstawa rozeznania.

Dlatego powinno ono obejmować postawę wiernego najpierw wobec Boga, wobec samego siebie i wobec sakramentalnego małżonka, dopiero potem wobec jego ślubnych dzieci i tych z drugiego związku, wobec pozostałej rodziny i dopiero na koniec wobec partnera czy partnerki w nowym związku. Adhortacja „Amoris laetitia” zawiera szereg szczegółowych pytań, które są pomocne w rachunku sumienia tych osób: „w jaki sposób zachowywały się wobec swoich dzieci, gdy związek małżeński przeżywał kryzys; czy były próby pojednania; jak wygląda sytuacja opuszczonego małżonka; jakie konsekwencje ma nowa relacja dla pozostałej rodziny” (300). Wytyczne biskupów argentyńskich (pkt 8) zalecają odnieść pytanie o zachowanie w trakcie kryzysu nie tylko do dzieci, lecz również do współmałżonka. Co ważniejsze, sugerują w tym miejscu wyjście poza własną ocenę samego penitenta: „Jeśli są nieprawości bez zadośćuczynienia, dopuszczenie do sakramentów byłoby szczególnie gorszące”. Osoba, która żyjąc w nowym związku chce przystąpić do sakramentów, ma stanąć w prawdzie o sobie jako mężu lub żonie, a duszpasterz powinien jej w tym pomóc znając faktyczną sytuację. Nie można mówić o wypełnianiu planu Bożego bez otwarcia się na pojednanie z sakramentalnym współmałżonkiem i na podjęcie na nowo życia małżeńskiego.

Moc sakramentu

Papież podkreśla, że nie chodzi o jednorazowy akt, ale stały proces rozeznania. Ma on być dynamiczny i odnosić się do dynamiki postawy wiernego. Jego przedmiotem jest wzrost człowieka w wierze, w wierności, w poznawaniu Słowa, w uczynkach miłości. Ten sam stan, który w jednej chwili jest pięknym darem Boga, po pewnym czasie może stać się przejawem zatwardziałości serca. Rozeznanie tej

postawy – przez samego wiernego i przez jego duszpasterza – także powinno być coraz głębsze i pełniejsze. Oznacza to jednocześnie, że dopuszczenie do sakramentów osób żyjących w nowych związkach zawsze powinno być czasowe, a nie bezterminowe.

Ciekawie rysuje się relacja między duszpasterzem a wiernym. Jest ona opisana przede wszystkim jako towarzyszenie i rozeznawanie. Nie jest natomiast sprecyzowane, kto komu towarzyszy; jest to raczej relacja obustronna. Głos sumienia ma wybrzmieć mocno, ale zarazem powinno być ono kształtowane w toku pracy duszpasterskiej i to nie sam penitent dokonuje ostatecznego rozeznania. Wyłania się z tego obraz ścisłej współpracy. Kapłan towarzyszy wiernemu w kształtowaniu sumienia i rozeznawaniu powołania małżeńskiego, a tenże wierny towarzyszy kapłanowi w rozeznaniu relacji między Ewangelią a konkretną sytuacją, czyli w realizacji jego powołania kapłańskiego. Papież wzywa obie strony do wspólnego wysiłku i do wzajemnej pomocy.

Adhortacja „Amoris laetitia” jest moim zdaniem nawet nie tyle głosem w obronie nierozdzielności małżeństwa, co pochwałą jego mocy. Potwierdza prawdę, że człowiek nie powinien i nie jest w stanie zniszczyć więzi, którą umocnił Duch Święty. Kieruje jednak naszą uwagę gdzie indziej. Charyzmat tego sakramentu to nie pęta czy pułapka na słabego człowieka, lecz żywe źródło mocy, Jego miłości. Gdy zawiedzie wszystko, co ludzkie, Bóg nadal zaprasza i uzdalnia oboje małżonków nie tylko do odbudowy relacji, lecz do jej stałego rozwoju, aż po osiągnięcie pełni Jego planu względem nich.

Na drodze realizacji swojego charyzmatu – każde sakramentalne małżeństwo jest do uratowania – daje ona piękne świadectwo wiernej miłości mimo wszystko. Choć nie wiem, czy kiedykolwiek, przynajmniej po tej stronie życia, znów będę razem z moją żoną, to słowa papieża uświadamiają mi wielką Bożą obietnicę i dają nadzieję. Nie tylko na to, że zawsze będziemy mogli odbudować i rozwinąć nasze relacje. Także wtedy, gdy zostanę sam, wzrastając w miłości do Niego i do mojej małżonki, mam otwartą drogę do pełnej realizacji mojego powołania i radości płynącej z charyzmatu tego sakramentu.

© MAREK SŁOŃ

Autor jest profesorem Instytutu Historii PAN.

SZYMON

Hołownia: *Hodowla pytań*



SZCZERZE (TO NIE ZŁOŚLIWOŚĆ) WSPÓŁCZUJĘ tym, którzy pozwalają, by przez życie wiodły ich ideologie. Przecież nie ma na świecie lepszego drogowskazu niż człowiek.

W ubożuchnym tak, że betlejemska stajnia była przy nim całkiem porządnym hotelem, domu opieki w jednym z miasteczek chińskiej prowincji Fujian, na ledwo trzymającym się w całości łóżku, siedzi malutki staruszek. W oczach Europejczyka – archetyp azjatyckiego wieśniaka: prosta kurtka, spokojny uśmiech, w którym jest więcej trwałości i mocy niż w stu komputerach i dwustu karabinach – przetrzymał i przetrzyma chyba wszystko. Ma ponad 90 lat. Przez całe życie mieszkał w wiosce, w górach. Uprawał ziemię, miał rodzinę, ale wszyscy umarli przed nim.

Pamięta wojny generałów z czasów pocesarskiej republiki, przeżył szaleństwa epoki Mao: Wielki Skok Naprzód, Rewolucję Kulturalną, wreszcie – nowe Chiny, w których stan świata widać dziś w pigułce: spektakularny rozwój gospodarczy, rozwiązując sporo dotychczasowych problemów, tworzy nowe, których – wbrew obiegowemu dogmatowi – nie rozwiążą jednak żadne władze, jakiegokolwiek by były (w USA, najbardziej rozwiniętym państwie w historii ludzkości, rozwarstwienia przybierają rozmiary katastrofy, a blisko 20 proc. ludności żyje za mniej niż połowę średniego krajowego dochodu). Świat uratować może tylko przenosząca się z człowieka na człowieka (ale już zawsze globalna, świadoma, że i z Chińczykami, i z Kongijczykami, i ze Szwajcarami mamy ten sam kran, tę samą spizarnię i ten sam zapas powietrza) zwykła solidarność tych, którzy mają, z tymi, którzy nie mają. Oddolna pandemia solidarności.

Starszy pan (jest katolikiem, jego chrzcielne imię to Vincent) pyta, cały czas z uśmiechem: „Kiedy Bóg zabierze mnie wreszcie do domu?”. „Czekam i czekam. Ale widać do nieba musi być naprawdę długa kolejka, skoro po mnie jeszcze nikt nie przyszedł”. Za wszystko dziękuje, życzy szczęścia na drogę, sam prosi o błogosławieństwo. Twarz, na której widać już światło z okien owego domu, do którego z każdym rankiem ma bliżej. Rozmawiamy. Słysząc, że przeżył życie bez przemocy, również wobec czasu (który my stale „nadganiamy”, „wykorzystujemy”, „zabijamy”), a nawet śmierci. To jasne, że w jego przypadku niczego nie zmieniłaby komfortowa rezydencja czy milion dolarów. To sprawy kompletnie nieistotne. A jeśli nieistotne dziś dla niego, nie można już stwierdzić, że istotne dla człowieka w ogóle. A więc sens nie jest synonimem ambicji, sukcesu czy komfortu.

Truizm, frazesy à la Paulo Coelho? Więc dlaczego tak konsekwentnie nie idzie nam wcielanie ich w życie?

Zawsze będę pamiętał młodą kobietę, która na początku mojej pracy w Afryce przyniosła do sierocińca w Kasisi swoje miesięczne dziecko. Chce je oddać, zostawić. We mnie, jeszcze wtedy bardzo nieopierzonym, włącza się aktywista: wyrodna matka,

jak to zostawić?! Trzeba ją przekonać, zapewnić warunki, coś zrobić. Co można zrobić, gdy dziewczyna ma przed sobą miesiąc życia? Zarabiała jako prostytutka, jest w ostatnim stadium AIDS, wpadła z klientem, nie zabiła jednak maleństwa u jakiegoś znachora, urodziła, a ponieważ nie mogła już „pracować”, żyła z nim na jakimś przystanku. Po miesiącu poddała się i przysłała do nas. Chciała jeszcze pójść i pożegnać się z rodziną. Początkowo zbulwersowany, nabierałem pokory widząc, jak prowadzące nasz dom siostry spokojnie z nią rozmawiają, wzywają policjanta do spisania oficjalnego protokołu, zegnają się z matką dając jej pieniądze i jedzenie, niosą na badania dziecko, szykują mu łóżeczko.

Mały szybko został adoptowany, pewnie ma gdzieś szczęśliwe życie. Gdybym go spotkał, nie dałbym mu złego słowa powiedzieć na jego mamę. Przeciwnie. O wszystkich tych mamach, które powierzają nam dzieci, które specjalnie jadą ze wsi, by zostawić je w stołecznej galerii handlowej (bo nie wiedzą, gdzie indziej by mogły, a wiedzą, że tu jest dużo ludzi, ktoś zaraz dzieckiem się zajmie), o tych, które u nas zostawiają dzieci w Oknach Życia, myślę dziś, że to prawdziwe bohaterki. W chwili najcięższej próby dały swoim pociechom tyle, ile w danej chwili mogły. Dały szansę. Kłaniam im się w pas, bo dostatecznie dużo już o tym świecie wiem, by słyszeć, jak wołają z ziemi te dzieci, których jedynym świadkiem istnienia był opróżniający szambo publicznej toalety. Te – które jak u Tołstoja w XIX w. – odkłada się (czasem uprzednio ochrzcizwszy) po prostu, bo nie ma pokarmu, bo nie ma jedzenia, bo rodzina już nie daje rady. A gdy maluszek płacze z głodu, knebluje się go szmatką z alkoholem czy innym narkotykiem.

Dzieci przypalane żelazkami, trute, sprzedawane, tysiące dzieci, których grobem stało się Morze Śródziemne, które koczują teraz w obozach, trzymane za drutami jak dzikie zwierzęta. Nie sam Bóg, to one nas będą sądzić, to o tym mówi Pismo, gdy zapowiada, że święci wraz z Panem będą sądzili pokolenia. I co ja im powiem? Że przecież „bliższa ciału koszula”? „Pomagajmy roztopnie”? „Lepiej pomagaj na miejscu”? Że „czyniłem sobie ziemię poddaną”? Albo „bądźcie przebiegli jak lisy”?

Szczególnym bluźnierstwem, teologiczną perwersją, by nie rzecz mocniej – zboczeniem, wydaje mi się używanie dziś słów samego Boga, troskliwego Stwórcy całej Ziemi, do tego, by pogłębiać jej rany. Ja osobiście najmniej po mojej śmierci boję się właśnie Jego. To siebie boję się najbardziej. Mój czyściciel będzie jednym wielkim własnym moralnym kacem, przypominającą ślizganie się po szkle próbą znalezienia odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie zrobiłem tego, co mogłem zrobić, gdy jeszcze mogłem? Dlaczego mając usta pełne wielkich słów i zbierając się do wykonania w przyszłości wielkich, systemowych gestów, nie dostrzegłem, że to najbardziej perfidna pokusa, że świat zmienia nie „wszystko jutro”, ale „trochę dzisiaj”?

Odpowiedź prosta. Bo jak tysiące przede mną i miliony po mnie szykowałem się do walnego boju z mistrzem wykrzykników („Zgwałć!”, „Zabij!”, „Zdefrauduj!”), nie dostrzegając, że szatan to przecież cesarz pytań („Czy na pewno?”, „Czy dzisiaj?”, „Co to zmieni?”, „A nie lepiej ostrożniej?”), skutecznie tłumiących ludzki instynkt (poczytajcie Fransa de Waala) dobra. Nie wiem, czy to oświecenie, czy coś wcześniej nauczyło nas, że rozmnażanie i hodowla pytań – którymi nikt jeszcze się nie najadł, nikogo nie ocaliły od śmierci – jest szczególnym powołaniem człowieka, dowodem jego wyjątkowości.

Sądzeni będziemy z odpowiedzi.

©

FRANCUSKI ŻYD–TUŁACZ

Czy Francja może istnieć bez Żydów? Dziś to pytanie dziwi mniej niż jeszcze przed kilku laty. Exodus do Izraela jest faktem, nawet jeśli rozczarowani aliją nierzadko wracają nad Sekwanę.

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

ZA KONTUAREM KRÓLUJE SIWY SAMY, Żwawy 60-latek. Uwija się, obsługuje klientów, ucina pogawędki z bywalcami, żartuje. Wreszcie przy barze robi się puściej. Przerwa na papierosa.

– Dziennikarz z Polski? Słyszę, że tam u was źle się dzieje w polityce. Ale my nie jesteśmy głupi. Wiemy, że nie wszyscy Polacy są tacy jak ich rząd – powiada Samy.

Rozmawiamy w koszerным barze Machou Machou, w XIX Dzielnicy Paryża. Można tu dostać izraelski chlebek wypiekany na miejscu, a także falafel, humus czy inne bliskowschodnie smakołyki.

Samy urodził się w Izraelu i spędził tam młodość, odbył też służbę wojskową. Po tem wyjechał do Francji, gdzie mieszka od 36 lat.

Bar jest rodzinną firmą: Samy prowadzi go od wielu lat razem z żoną, a teraz przejmują go dorosłe dzieci.

– Jak to powiedzieć? Osobiście nie mam problemu z antysemityzmem – opowiada, zaciągając się papierosem. – Przychodzą do mnie wszyscy: Francuzi, Żydzi, turyści, Arabowie... Wszystko u mnie świeże, robimy chlebek na miejscu – zachwala mi modchem.

Po chwili jednak wtrąca: – Moi żydowscy znajomi boją się. Tu w pobliżu ciągle włączają się grupki nastolatków, którzy biorą za cel młodych Żydów w jarmułkach. Ciągłe słyszeć o napaściach.

Tu jesteśmy u siebie

Bar Samy'ego w XIX Dzielnicy mieści się blisko malowniczego parku de Buttes Chaumont. To ulubiony cel wypraw dla francuskich rodzin z dziećmi i amatorów joggingu. Jednak, według lokalnej prasy, miejsce to nie jest bezpieczne dla Francuzów pochodzenia żydowskiego.

Nathalie, brunetka w średnim wieku, przychodzi do Machou Machou od dawna. Dziś jest razem z Patrickiem, swoim życiowym partnerem. – Dobry ten humus, prawda? A nie mówiłam? – pyta retorycznie. Na kolanach ma pieśka, szpica. Na talerzu leży pita z mięsnym nadzieniem. Od czasu do czasu Nathalie wydłubuje z pity kawałek mięsa i karmi pupila.

– Nie jestem religijna, do synagogi prawie nie chodzę, ale przestrzegam koszernych przepisów – zaznacza kobieta. – Tu, w tej dzielnicy, czujemy się dobrze, mieszkamy obok. Jesteśmy po prostu u siebie. Ale w innych dzielnicach Paryża jest coraz gorzej – dodaje.

Tuż obok baru przebiega Rue Petit, ulica pełna żydowskich sklepów. Na małej przestrzeni mieszczą się dwa koszerne supermarkety, są sklepy z pamiątkami, synagoga i szkoła dla uczniów wyznania mojżeszowego. Na tej ulicy widać wielu paryżan w jarmułkach, przechadzających się z całymi rodzinami.

Jesteśmy w minidzielnicy żydowskiej – jednej z kilku takich w Paryżu, obok najstarszej Le Marais czy okolic placu Leona Bluma w XI Dzielnicy.

To moje dzieci

Nathalie: – Naszego syna napadła kiedyś w pobliżu grupka nastolatków. Czarnych – ścisza głos, rozglądając się jakby z obawą. – Choć syn nigdy nie chodzi w jarmułce, to zresztą tutaj bardzo ryzykowne.

– Boimy się... O, proszę – kobieta pokazuje w swojej komórce aplikację z mapą Paryża, na której są zlokalizowane dwie ludzkie postaci. – To moje dzieci. Cały czas je podglądam w internecie. Martwię się o nie bez przerwy, choć syn już dorósł, dwudziestka na karku. Taka ze mnie żydowska matka, nadopiekuńcza – uśmiecha się.

Patrick, partner Nathalie: – Są tacy, co przeprowadzają się do Izraela, liczą na lepsze życie. Ale potem wracają, bo trudno im znaleźć tam pracę, przestawić się na inny sposób życia. Np. opieka medyczna: we Francji mamy ją nawet wtedy, gdy tracimy pracę, przysługuje nam ubezpieczenie medyczne i przyzwoity zasiłek. W Izraelu trudno na to liczyć.

W pobliskim sklepiku z judaikami można kupić książeczki do modlitw dla dzieci, dzieła religijne po hebrajsku i francusku, świeczniki chanukowe i jarmułki –



Rodzina żydowskich emigrantów z Francji. Tel Awiw, lotnisko imienia Ben Guriona, 10 lipca 2017 r.

do wyboru, do koloru. Długobrody sprzedawca, Michael, chętnie wdaje się w rozmowę. Tym bardziej że w to wiosenne niedzielne popołudnie w sklepie jest pusto.

– Niektórych z moich dawnych klientów już nie widuję – przyznaje. – Przeprowadzili się do Izraela. Część z nich wraca do Francji, to prawda. Zniechęca ich do życia w Izraelu inna mentalność, bardziej konserwatywna. No i obcy język, niełatwo się nauczyć hebrajskiego.

Czy on sam zamierza wyjechać? Michael się waha: – Może pewnego dnia, kto wie?

Na koniec rzuca: – Nie, w naszej dzielnicy nie czujemy się zbyt bezpiecznie. Choć trzeba przyznać, że paryska policja szybko reaguje na antysemickie wybruki.

Była łatwym celem

Jeśli przyjrzeć się tylko dostępnym oficjalnym statystykom, publikowanym co roku przez francuskie MSW, to w ostatnich dwóch latach łączna liczba czynów o charakterze antysemickim (w tym gróźb

fizycznych pod adresem Żydów) zmalała o ponad połowę. W 2016 r. było ich 335 (gdy w 2015 r. – aż 800), zaś w 2017 r. jeszcze mniej: 311.

Jednak ta statystyka nie pokazuje innej tendencji: narastania skrajnego antysemityzmu, z atakami fizycznymi i zabójstwami włącznie. A tu widać wzrost: w 2017 r. zanotowano 97 takich czynów, podczas gdy rok wcześniej 77 (według tego samego źródła).

Największym echem odbił się w ostatnich latach atak islamskiego ekstremisty dżihadysty Mohameda Meraha w 2012 r. na szkołę żydowską w Tuluzie. Zginęło troje żydowskich dzieci i jeden z rodziców. Później, w styczniu 2015 r., niemal jednocześnie z zamachem na redakcję satyrycznego pisma „Charlie Hebdo”, islamski ekstremista zaatakował koszerne paryski supermarket Hyper Cacher; cztery osoby zginęły. Sklep działał jak dawniej – o tamtym dramacie przypomina tablica.

Natomiast w ostatnich miesiącach doszło w Paryżu do bestialskich zabójstw na star-

szych kobietach żydowskiego pochodzenia: Sarah Halimi (kwiecień 2017 r.) i Mireille Knoll (marzec 2018 r.). W obu przypadkach poszlaki wskazują na ich antysemickie podłoże, choć dotąd śledztwo nie wyjaśniło do końca motywacji sprawców.

Zwłaszcza ten drugi mord zbulwersował Francuzów z uwagi na wyjątkowe okrucieństwo napastników i bezsilność ofiary. 85-letnia Mireille Knoll ocalała z Holocaustu, ale nie przeżyła napaści dwóch młodych kryminalistów. Zginęła od kilkunastu ciosów nożem. Była łatwym celem, chorowała na parkinsona. Jej mieszkanie podpalono. Wiele wskazuje, że sprawcy – wśród nich znajomy staruszki (syn jej sąsiadki) – chcieli obrabować mieszkanie. Zeznali, że spodziewali się, iż „jak wszyscy Żydzi” emerytka ukrywa duży majątek.

Żarciki w szkole

Obserwatorzy wskazują na jeszcze jedną tendencję. Określają ją mianem „prywatyzacji” agresji wobec Żydów – i to właśnie nią tłumaczą, dlaczego statystyki pokazują →

→ rzekomy spadek czynów antysemitycznych. Wedle takiej interpretacji liczba aktów agresji wobec żydowskich instytucji – jak synagogi czy sklepy – spada, gdyż są coraz lepiej chronione. W związku z tym agresja przenosi się do sfery prywatnej.

W każdym razie trudno zaprzeczyć, że strach francuskich Żydów przed falą antysemitycznej agresji jest realny. Choć nie wszyscy podzielają ten punkt widzenia. Zwłaszcza jeśli oddalimy się od „gorących” przedmieść Paryża i innych miast.

Yaël Gronner, socjolożka, od lat żyje w małej miejscowości pod Tulonem na południu kraju. Urodziła się w Izraelu (jej rodzina od strony ojca pochodzi z Polski, od strony matki z Maroka). Angażuje się w dialog między żydami, chrześcijanami i muzułmanami. Wraz ze swoją znajomą, teolożką muzułmańską, spotyka się z uczniami, by opowiadać im o możliwym współżyciu wyznawców judaizmu i islamu.

– Ani ja, ani moi żydowscy przyjaciele nie zaznaliśmy we Francji antysemityzmu. Może poza jednym – przypomina sobie Yaël. – Moje córki, które dziś mają 16 i 13 lat, niechętnie przyznają się do żydowskich korzeni w swojej publicznej szkole. Choć zachęcałam je, by mówiły, skąd pochodzą. Skąd ten opór? Chyba stąd, że kiedy wspomniały kiedyś o swoim pochodzeniu, spotkały się z przykrymi żartami.

Tu, na południu kraju, w sąsiadujących ze sobą aglomeracjach Marsylii, Aix-en-Provence i Tulonu żyją – obok licznych Francuzów pochodzących z krajów muzułmańskiego Maghrebu – niewielkie społeczności żydowskie.

– Mam wrażenie – Yaël zaznacza, że to jej osobiste odczucie – że we Francji nie ma głębokiego antysemityzmu. Choć muszę powiedzieć, że nie przebywam w środowisku religijnych Żydów. Natomiast jest drażliwa kwestia palestyńsko-izraelska. I to ona ciąży na naszym codziennym życiu – uważa kobieta.

Nowy antysemityzm

„Francja chora na konflikt izraelsko-palestyński” – to tytuł książki politologa Pascala Boniface’a (znanego też z ostrej krytyki Izraela za politykę na terenach okupowanych). Wyrażenie to oddaje powszechny nad Sekwaną pogląd, że konflikt bliskowschodni przeniósł się już na dobre do Europy. Tymczasem we Francji żyją obok siebie najliczniejsze w Europie skupiska Żydów i muzułmanów.

Według danych Żydowskiej Agencji na rzecz Izraela, w latach 2013-2016 wyemigrowało

ponad 23 tys. Francuzów pochodzenia żydowskiego.

Na łamach prasy francuskiej coraz częściej pojawia się zwrot „nowy antysemityzm”. „Manifest przeciw nowemu antysemityzmowi” – to apel, wystosowany pod koniec kwietnia w najpopularniejszym stołecznym dzienniku „Le Parisien”. Podpisało go 250 osobistości, w tym artyści, intelektualiści, przedstawiciele różnych religii, politycy od lewa do prawa (od eks-prezydenta Sarkozy’ego po eks-merytalny socjalisty Bertranda Delanoë).

Apel wskazuje głównego winowajcę „nowego antysemityzmu”: radykalny islam. Francja „stała się sceną morderczego antysemityzmu” – piszą autorzy. Ich zdaniem odpowiedzialni za niego są „islamiści”, którzy zastraszyli większość francuskich muzułmanów. „Czekamy, aż islam we Francji wskaże drogę” walki z antysemityzmem – głosi manifest. Wzywa też, aby wersety Koranu „nawołujące do mordowania i karania Żydów, chrześcijan i niewiernych zostały uznane za przestarzałe przez autorytety teologiczne, tak jak to się stało z niespójnościami Biblii i antysemityzmem katolickim uchylonym przez Sobór Watykański II”.

Apel wspomina też o wewnętrznej migracji Żydów francuskich, szacując (choć bez podania źródeł), że w ostatnich latach ok. 50 tys. osób żydowskiego pochodzenia musiało wyprowadzić się z przedmieść Paryża z obawy przed antysemityzmem.

Islamizacja kwestii palestyńskiej

W słowach nie przebiera także Pierre-André Taguieff, politolog i historyk idei. Na łamach lewicowego tygodnika „L’Obs” twierdzi, że w XXI wieku Francja „weszła w nową erę judeofobii” i że „nie chodzi o odnowę starego antysemityzmu politycznego, łączącego nacjonalistów i katolików, lecz o narodziny nowej konfiguracji antyżydowskiej, wywodzącej się z islamizacji kwestii palestyńskiej”.

Politolog wskazuje, że morderstwa na Francuzach żydowskiego pochodzenia – mające antysemityczny charakter – popeł-

nialią głównie młodzi muzułmanie, często byli lub obecni kryminaliści, powołujący się na islam w jego najbardziej radykalnej wersji.

Obok tej zasadniczej dyskusji – na temat źródeł obecnej wrogości wobec Żydów – toczy się we Francji żywa polemika na temat używania pojęć „antysemityzm” i „antysyjonizm”. Pascal Boniface twierdzi w swojej książce, że duża część mediów i organizacje proizraelskie, takie jak CRIF (Rada Instytucji Żydowskich we Francji), używają często hasła walki z antysemityzmem, aby uderzyć w tych, którzy krytykują represje rządu izraelskiego wobec Palestyńczyków.

Z kolei Taguieff wskazuje, że sam termin „antysyjonizm” jest dwuznaczny: może oznaczać zarówno całkowicie uprawnioną krytykę poczynań rządu izraelskiego, jak też „diabolizowanie samego Izraela, a zatem odmawianie mu racji bytu”. Nie można stawiać znaku równości między tymi dwoma zjawiskami, nie można ich ze sobą mieszać – zaznacza Taguieff. Tymczasem takie właśnie pomieszanie we francuskiej debacie zdarza się nierzadko.

Głośny exodus, ciche powroty

Mniejszość żydowska we Francji szacowana jest dziś na blisko 500 tys. osób – z wyraźną tendencją malejącą. Bo od kiedy wzrosło zagrożenie terroryzmem islamskim oraz „sprywatyzowana” agresja, społeczność żydowska nad Sekwaną zaczęła się kurczyć.

Po atakach na „Charlie Hebdo” i market Hyper Cacher premier Izraela Benjamin Netanjahu wzywał francuskich Żydów, aby masowo emigrowali do Izraela. Rząd izraelski przyjął też plan pomocy finansowej dla nowych przybyszy – dziś przyjeżdżających tam przede wszystkim z Francji, Belgii i Ukrainy. Obiecywano nie tylko darmowy bilet lotniczy i darmowy kurs hebrajskiego, ale też gotówkę „na start” w prezencie od państwa.

W odpowiedzi na apel izraelskiego premiera ówczesny premier Francji Manuel Valls replikował: „Miejsce Francuzów żydowskiego pochodzenia jest we Francji”. I dodał: „Francja bez Żydów nie byłaby Francją”.

Dzisiaj w podobnym duchu przemawia prezydent Emmanuel Macron. W marcu tego roku zapewniał przedstawicieli CRIF, że kraj „nie zrezygnuje nigdy z Żydów Francji”. Powtarzane przez władze dekla-

racje mogą świadczyć, że Paryż nie lekceważy groźby exodusu.

A jest się czego obawiać. Według danych Żydowskiej Agencji na rzecz Izraela w latach 2013-2016 aliję – czyli emigrację do Izraela – wybrało ponad 23 tys. Francuzów żydowskiego pochodzenia (dla porównania: po rozpętaniu przez komunistyczne władze PRL nagonki antysemickiej w 1968 r. z Polski wyjechało od 13 do 20 tys. polskich Żydów).

Szczytowa jak dotąd fala żydowskiej emigracji z Francji przypadła na rok 2015, osiągając liczbę blisko 8 tys. Rok później spadła: zanotowano wtedy 5 tys. emigrantów do Izraela.

Wiadomo, że pewna część emigrantów wraca do Francji. Jak liczna to grupa? Według dziennika „Le Monde” może to być od 15 do 30 proc. wyjeżdżających. O precyzję trudno – twierdzi cytowana przez gazetę Żydowska Agencja na rzecz Izraela. Bo o ile nowi Izraelczycy rejestrują się w Agencji, aby uzyskać pakiet pomocowy, to ci, którzy opuszczają Izrael, robią to na własną rękę, bez „wymeldowania”.

Samy pakuje walizki

Yaël Gronner nie ma w rodzinie osób, które wyjechałyby na stałe do Izraela – poza jedną kuzynką, która jednak po wieloletnim pobycie w Izraelu wróciła do Francji.

Sama Yaël opuściła Izrael, gdy była młoda, podążając za swoją miłością – Francuzem.

– W Izraelu są moje korzenie, kocham ten kraj – mówi socjolożka. – Ale nie wiem, czy kiedykolwiek tam wrócę. A jeśli, to na pewno nieprędko. Moje córki są jeszcze dziećmi. Od kiedy przyjechałam do Francji i założyłam rodzinę, powiedziałam sobie: pragnę tu osiąść. Nie chcę żyć z myślą o ciągłej wędrowności, która była losem Żydów przez wieki. A co będzie potem, to się okaże.

Natomiast Samy z baru Machou Machou jest gotów spakować walizki. Wkrótce przejdzie na emeryturę i zamierza wtedy razem z żoną wyjechać do Izraela.

– Moje dzieci urodziły się we Francji i nie chcą jechać do Izraela. Może do tego dorosną z czasem? – zastanawia się. – Zostawiam im mój interes. Jak byłem młody, to były dobre czasy, Żydzi mogli żyć wszędzie, gdzie chcieli. Dziś, moim zdaniem, jest dla nich miejsce tylko w Izraelu.

© SZYMON ŁUCYK

Bezdomność, która boli mniej

AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU I BAZYLEI

Prawo człowieka do dachu nad głową może pojawić się w konstytucji jednego ze szwajcarskich kantonów – jeśli obywatele zdecydują tak w referendum.

HANS MA 64 LATA I ZMĘCZONE SPOJERZENIE. Od dwóch lat, raz w tygodniu, dzieli się swoją historią z tymi, którzy przyszli jej posłuchać. Uważa, że nie jest wyjątkowy – choć nie posiada nic, żyjąc w jednym z najbogatszych krajów świata.

O swoim życiu mówi tak, jakby nie było. Śmierć ojca, alkohol, rozstanie, więcej alkoholu, szpital, w końcu ulica. Dzisiaj oprowadza tzw. socjalne wycieczki, pokazując taki Zurych, o jakim nie przeczytamy w turystycznych przewodnikach.

Pfuusbusy z Zurychu

Ostatnie, co wyobrażamy sobie myśląc o Szwajcarii – kraju z największym na świecie odsetkiem milionerów – to bezdomność. I rzeczywistość: oficjalnie nie istnieje. Próżno szukać statystyk na ten temat. Ale z różnych szacunków wynika, że w całym kraju bez dachu nad głową żyje stale ok. 2 tys. osób. W ośmiomilionowym społeczeństwie to tyle co nic. Dlatego, zdaniem wielu, nie warto nawet o tym mówić.

– W Szwajcarii bezdomności trzeba wypatrywać. Jest ucywilizowana. To część sprawnie działającej społecznej maszyny. Ale istnieje, i z roku na rok widzimy jej coraz więcej – mówi Walter von Arburg ze stowarzyszenia „Sozialwerke Pfarrer Sieber” (jego legendarny założyciel, ksiądz ewangelicki Ernst Sieber, zmarł w maju tego roku).

Ta organizacja z Zurychu pomaga rocznie pięciu tysiącom ludzi, którzy sami nie dają sobie rady: biednym, chorym, z uzależnieniami, bezdomnym.

Ci ostatni zaczynają być problemem dla miasta dopiero zimą. Kiedy temperatury spadają poniżej zera, na zuryjskich

ulicach stają pfuusbusy (od *pfuusä*, spać). Znajdują w nich nocleg ci, którzy muszą się gdzieś podziać, jeśli nie chcą zamarać.

Ostatnia zima była rekordowa: od połowy listopada do połowy kwietnia pfuusbus był miejscem do spania dla 294 osób, które spędziły w nim łącznie 5517 nocy. To o jedną trzecią więcej niż rok wcześniej.

Monika Christen, która prowadzi pfuusbus w Zurychu, przyznaje, że tak źle nie było jeszcze nigdy: – W pierwszych 15 dniach od otwarcia o nocleg prosiło 40 osób. To najwięcej, odkąd pamiętam.

Bunkry dla potrzebujących

Ze szczytkowych danych, zbieranych przez organizacje pomocowe działające w największych szwajcarskich miastach, wynika, że w ostatnich latach liczba osób bez stałego miejsca zamieszkania wzrosła.

W Genewie, gdzie bezdomnych widać najwięcej, podczas srogich zim władze miasta zdecydowały o otwarciu bunkrów przeciwołamowych i przekształceniu ich w tymczasowe schronienie (takich bunkrów jest w kraju 300 tys. – neutralna Szwajcaria wyjątkowo skrupulatnie przygotowywała się na III wojnę światową).

To bezdomność jawna. A ilu jest takich, którzy stracili mieszkanie, ale nie zgłosili się nigdzie po pomoc, nie poszli też na ulicę? Mieszkają w tymczasowych lokalach albo kątem u rodziny czy znajomych. Ich policzyć nie sposób.

Zdaniem prof. Matthiasa Drillinga z Wyższej Szkoły Pracy Społecznej w Bazylei, który zajmuje się wykluczeniem społecznym, nikomu w Szwajcarii nie zależy na dokładnym policzeniu ➔

→ bezdomnych. – Gdyby liczba okazała się alarmująca, zmusiłoby to państwo do działania. Zagroziłoby też wizerunkowi Szwajcarii jako krajowi dobrobytu, gdzie nikt nie zostanie pozostawiony sam sobie. Jeśli skala problemu nie jest znana, nie trzeba go rozwiązywać – mówi Drilling.

Szwajcaria, dobre miejsce

Systematyczny wzrost liczby bezdomnych w kraju, który przoduje w światowych rankingach bogactwa i szczęśliwości, może być trudny do zrozumienia.

– Wokół bezdomności narosło wiele mitów. Jednym z największych jest ten, że to wyłącznie problem materialny. Lata doświadczeń w pracy z ludźmi bezdomnymi pokazują, że tak nie jest – tłumaczy Walter von Arburg.

W Szwajcarii bezdomność to głównie problem społeczny: efekt zaniku sieci kontaktów, braku wsparcia od rodziny, przyjaciół, znajomych. Często na ulicy lądują ludzie wykształceni, którzy w momencie, kiedy stracili pracę lub najbliższych, zostali z niczym. – Samotność, brak alternatywy, uzależnienia, choroby psychiczne – Walter von Arburg wymienia najczęstsze przyczyny marginalizacji społecznej.

W 2014 r. lekarze z Oddziału Psychiatrii Polikliniki Zuryskiej przebadali kobiety i mężczyzn – mieszkańców czterech ośrodków miejskich dla bezdomnych. Wyniki: 96 proc. badanych miało problemy psychiczne. Jeśli wyłączymy tych z problemami z uzależnieniem od alkoholu i narkotyków, to będzie 61 proc. (problemy inne niż uzależnienia).

Nie tylko bieda zmusza człowieka do spania na ulicy. – Wielu z naszych bezdomnych otrzymuje pieniądze z pomocy społecznej. Problem w tym, że nie potrafią nimi odpowiednio zarządzać – mówi Walter von Arburg.

Są też tacy, którzy wsparcia od państwa nie chcą. – Trzeba pójść do urzędu, wziąć numerki, umówić się na termin, wypełnić papiery, opowiedzieć urzędnikowi o często wstydliwych sprawach. Ludzie mają z tym problem – przyznaje Hans, bezdomny z Zurychu.

Zna on wielu, którzy wolą spać na ulicy niż prosić o pomoc państwo: – Może to zabrzmieć śmiesznie, ale tu mają wszystko, czego im trzeba. Jest się gdzie umyć, gdzie zjeść, nikt ich nie przeganiania. Szwajcaria to dobre miejsce do bycia bezdomnym.

Podobnie widzą to urzędnicy. „W mieście Zurych nikt przymusowo nie musi

pozostawać bez dachu nad głową” – brzmi komunikat miejskiego Departamentu Spraw Socjalnych. Oferuje on lokale zastępcze osobom, które straciły mieszkanie. Jeśli ktoś nie ma ochoty na wypełnianie formularzy – to już jego sprawa.

Jak na ironię, wielu zuryskich bezdomnych śpi pod drzwiami Wydziału Budownictwa Urzędu Miasta. Mogą tu przebywać do 7 rano i potem od 18 wieczorem. Taką mają umowę z urzędnikami. Po drugiej stronie ulicy jest komenda policji – niektórzy przekierowują tam swoją korespondencję. – U policji najbezpieczniej – śmieje się Hans.

Teatr Dziwaków

Służby miejskie problem rozumieją i w zimne noce nie wyrzucają bezdomnych nocujących w publicznych toaletach czy opuszczonych budynkach. Organizowane są specjalne patrole, które ratują tych, którym grozi zamarznięcie.

Jednak największe wsparcie szwajcarscy wykluczeni otrzymują od organizacji pozarządowych i kościelnych. W centrum miasta działa przytułek dla bezdomnych mężczyzn prowadzony przez Towarzystwo Ewangelickie. Niedaleko jest kawiarnia Yucca – otwarta nawet w święta – gdzie można napić się ciepłej herbaty, zjeść pełny obiad za kilka franków, porozmawiać z psychologiem albo po prostu pograć w karty ze znajomymi.

Tych, którzy chcą się zaangażować artystycznie, zaprasza teatr Schräge Vögel (w wolnym przekładzie: Teatr Dziwaków). W Zurychu działa tylko jedna jadłodajnia miejska, ale obiady serwują tam nie urzędnicy, lecz wolontariusze – pracownicy pobliskich banków.

Także Hans wyszedł na prostą dzięki ludziom z organizacji pozarządowej (o nazwie Surprise). Dzięki niej pracuje jako przewodnik miejski, sprzedaje gazety i jakoś wiąże koniec z końcem. Nie ma wiele, ale mu to nie przeszkadza. Najważniejsze, że nie mieszka już na ulicy.

Mało kto na swoim

– Być wykluczonym z bogatego społeczeństwa paradoksalnie boli mniej. Bo to społeczeństwo stać, aby wykluczonym pomóc – uważa Walter von Arburg.

Jeśli spojrzymy na średnią wartość majątku na głowę, Szwajcaria faktycznie jawi się jako najbogatszy kraj świata. Ale jeśli idzie o podział tego majątku, wygląda to już inaczej: najbogatszy jeden procent oby-

wateli posiada ponad 40 proc. całego prywatnego majątku. Jednocześnie coraz więcej mieszkańców jest biednych lub zagrożonych ubóstwem.

Jeśli wziąć pod uwagę tylko wymiar finansowy, w Szwajcarii za biedną uznaje się osobę, której dochód nie przekracza 2247 franków miesięcznie (to równowartość 8 tys. zł, ale warto pamiętać, że ceny są tu znacznie wyższe niż w Polsce). W przypadku rodziny 2+2 granica ubóstwa to domowy budżet poniżej 4 tys. franków. Szacuje się, że tak żyje ponad pół miliona ludzi. Gdyby nie transfery socjalne, byłoby ich dwa razy więcej.

Spanie pod mostem „z wyboru” i miejskie legendy o milionerach, którzy stracili wszystko i skończyli na ulicy, dobrze się czytają w lokalnych mediach. Ale zdecydowana większość tutejszych bezdomnych swojej sytuacji nie wybrała.

Tymczasem sytuacja mieszkaniowa w miastach jest coraz większym problemem. Szwajcaria jest krajem, gdzie nie mieszka się na swoim. Ponad 60 proc. społeczeństwa wynajmuje mieszkanie, często przez całe życie. To wymaga silnej regulacji rynku, zarządzanego przez wyspecjalizowane w wynajmie agencje, które dyktują warunki.

Popyt na mieszkania jest wielki, ale np. w Zurychu i okolicy nawet osobie średnio zarabiającej niełatwo jest zdobyć lokum. Wynajmujący dba, by czynsz nie przekraczał 30 proc. wynagrodzenia i wymaga wyłożenia z góry kilkumiesięcznej kaucji.

Jeśli na rynku pojawi się atrakcyjna oferta, chętni ustawiają się w kolejce do castingu. Wybierane są rodzinny. Obco-krajowcy odpadają w przedbiegach. Bez stałego dochodu, z historią korzystania z pomocy społecznej, z grupą inwalidzką – tacy też są właściwie bez szans.

Prawo do dachu

W Bazylei, trzecim co do wielkości mieście Szwajcarii, odsetek wynajmujących wynosi 83 proc. i jest najwyższy w kraju. Największe są też problemy.

– Od kilku lat obserwujemy masowy wzrost liczby ludzi mających problemy z mieszkaniem – mówi Michel Steiner, przewodniczący stowarzyszenia Schwarzer Peter (Czarny Piotruś), które pomaga wykluczonym.

Tutaj też, podobnie jak w innych miastach, nie prowadzi się rejestru osób bez stałego miejsca zamieszkania. Ale Schwarzer Peter daje bezdomnym możliwość po-



SOZIALWERKE PFARRER SIEBER / FB

Pastor Sieber, założyciel stowarzyszenia Sozialwerke, w pfuusbusie z bezdomnymi. Zurych, 2012 r.

siadania adresu i tym samym ma rozeznanie, ile osób go straciło. – W 2010 r. mieliśmy 213 meldunków, w 2016 r. aż 847. Średnio człowiek wymeldowuje się od nas po siedmiu miesiącach – przytacza statystyki Steiner. W kwietniu 2016 r. liczba trwale bezdomnych po raz pierwszy przekroczyła 400 osób.

W Bazylei budownictwo socjalne (tj. finansowane przez władze kantonu czy miasta) właściwie nie istnieje. – Miasto przyznaje wprawdzie, że jest problem mieszkaniowy, ale się od niego konsekwentnie dystansuje. Zapewnia ok. 60 miejsc noclegowych w pokojach wieloosobowych i mieszkania dla rodzin z dziećmi. Władze kantonu uważają, że budownictwo socjalne należy do zadań spółdzielni i działających na tym polu organizacji pozarządowych. Resztę ma regulować wolny rynek – mówi Steiner.

W bogatej Szwajcarii temat budownictwa socjalnego w ogóle budzi wiele emocji. Ludzie boją się gettoizacji: powstawania dzielnic biedy. Bieda rozproszona jest niewidoczna. Skupiona w jednym miejscu – staje się problemem. Dlatego nikt nie jest zainteresowany budowaniem tanich mieszkań, zwłaszcza że popyt na drogie wciąż jest duży.

Steiner uważa, iż czas skończyć z podejściem, że „jak kogoś nie stać, by mieszkać w mieście, to niech się wyprowadzi”. Dla

tego działacze Schwarzer Peter postanowili wziąć sprawę w swoje ręce – i razem z kilkoma organizacjami partnerskimi zawiązali koalicję na rzecz prawa człowieka do dachu nad głową (niem. *Recht auf Wohnen*).

– Chcemy, by w konstytucji kantonu Bazylea prawo do mieszkania, odpowiadającego potrzebom i nieprzekraczającego finansowych możliwości jednostki, zostało wpisane do podstawowych praw człowieka – mówi Steiner.

Za i przeciw

O tym, czy tak się stanie, Szwajcarzy zdecydują w referendum.

Równocześnie w Bazylei głosowane będą trzy inne inicjatywy, mające polepszyć ochronę osób żyjących w wynajętych mieszkaniach. – To potężny pakiet. Jeśli przejdzie, może poprawić sytuację wielu ludzi. Liczymy na „4 x tak” – mówi Steiner.

Innego zdania jest Związek Przedsiębiorców Miasta Bazylei. Sprzeciwia się wszystkim czterem projektom, a pomysł wpisania prawa do mieszkania do konstytucji nazywa „szkodliwym społecznie”. – Skutkiem tego byłaby masowa rozbudowa mieszkalnictwa socjalnego. Władze kantonu wbiłyby nóż w plecy spółdzielniom mieszkaniowym, których zadaniem jest oferowanie atrakcyjnych cenowo lokali. W 2017 r. taką pomoc otrzymało 2228

dzin. Nie potrzebujemy w mieście eksperymentów wysokiego ryzyka – mówi Gino Mazzotti, prezes Spółdzielni Landhof.

Steiner ripostuje, że spółdzielnie, które dostają wsparcie publiczne, nie do końca wypełniają swą powinność: – Są zbyt konserwatywne, nie szukają nowych rozwiązań dla potrzebujących. Jest dość metrów kwadratowych do zagospodarowania w tym mieście, nie trzeba budować nowych. Głównym problemem nie jest zbyt mała dostępność przestrzeni w ogóle, lecz przestrzeni uznanej za mieszkalną – twierdzi aktywista Schwarzer Peter.

Michel Steiner uważa, że czasem starczyłoby dobudować dodatkowe piętro do istniejących budynków lub zainteresować się pofabrycznymi pustostanami. I że władze miasta powinny narzucić spółdzielniom kwoty oraz rozliczać je z projektów odpowiadających potrzebom społecznym. Przydałoby się też wytyczyć jasną granicę między budownictwem prywatnym, nakierowanym na zysk, a miejskim, które dziś właściwie niczym się od tego pierwszego nie różni.

– Nie może być tak, że mieszkania kantonalne wynajmowane są po cenach rynkowych i mało kogo na nie stać – zaznacza Steiner.

Jak budować, jak żyć

Idąc krok dalej, Michel Steiner sugeruje, że może już czas, by w ogóle zmienić podejście do przestrzeni mieszkaniowej: – Przekształcają się relacje społeczne, modele pracy, styl życia. A mieszkania wciąż buduje się tak, jak w latach 60. XX wieku, według ilościowego podejścia do organizacji przestrzeni. Tymczasem dziś dla wielu ludzi dom to więcej niż cztery ściany zamknięte na klucz.

Nowoczesne rozwiązania urbanistyczne idą w kierunku otwierania przestrzeni i udostępniania jej większej liczbie osób – tak, aby korzystanie z niej nie wpływało negatywnie na jakość życia.

– Przykładowo, każdy ma wyznaczoną przestrzeń prywatną. Ale część aktywności, jak gotowanie, pranie czy zabawy dzieci odbywają się w pomieszczeniach wspólnych, co jest rozwiązaniem bardziej całościowym – snuje swoją wizję Steiner. – Chciałbym, żebyśmy zaczęli też bardziej otwarcie myśleć o organizacji naszych miast – dodaje.

Referendum w Bazylei odbędzie się w najbliższą niedzielę, 10 czerwca.

© AGNIESZKA KAMIŃSKA



BARRY CRONIN / AFP / EAST NEWS

Mural z twarzą Savity Halappanavar, która była ikoną kampanii na rzecz liberalizacji prawa do aborcji. Dublin, 26 maja 2018 r.

Cicha rewolucja

PATRYCJA BUKALSKA

Referendum w sprawie aborcji pokazuje, jak w Irlandii zmieniły się nastroje społeczne.

DWA DNI PO TYM, JAK W REPUBLICIE Irlandii zwolennicy liberalizacji prawa aborcyjnego świętowali swoje zwycięstwo w referendum – 66 proc. głosujących opowiedziało się za usunięciem zakazu przerywania ciąży z konstytucji – przed ratuszem w Belfaście, stolicy sąsiedniej Irlandii Północnej, zgromadziło się kilkaset osób.

Apelowały do brytyjskiej premier The resy May, aby zmieniła prawo: na takie, które wkrótce ma obowiązywać w Republice Irlandii. Bo choć w Wielkiej Brytanii aborcja jest legalna od końca lat 60. XX w., to Belfast – mimo że jest częścią Zjednoczonego Królestwa – pozostaje wyjątkiem. Teoretycznie za nielegalne przerwanie ciąży kobietom może grozić dożywocie.

Inne społeczeństwo

Zakaz aborcji wpisano do konstytucji Irlandii po referendum w 1983 r. Ściślej rzecz biorąc, zapytano wtedy obywateli, czy godzą się na zapis o zrównaniu praw kobiety i nienarodzonego dziecka. Wówczas głosowało za tym ponad 66 proc.

– niemal dokładnie tyle, ile teraz opowiedziało się za usunięciem tego zapisu. Pokazuje to, jak zmieniło się społeczeństwo.

Referendum z 1983 r. interpretowano jako kolejny dowód na konserwatyzm Irlandii – kraju zdecydowanie katolickiego, w którym nie można było się rozwieść, a homoseksualizm był przestępstwem. Nie wydawało się, że coś może się zmienić.

Tymczasem zmiana społeczna nastąpiła, a jako główny jej katalizator wskazuje się serię skandali w Kościele katolickim, związanych z licznymi przypadkami molestowania dzieci przez duchownych i tuszowaniem tego przez władze kościelne. Takie podejście – zakładające, że można ratować autorytet Kościoła kosztem ofiar – okazało się zgubne: doprowadziło do upadku autorytetu Kościoła.

W ostatnich latach widać było, jak zmienia się Irlandia. W 2015 r. większość obywateli opowiedziała się w referendum za legalizacją małżeństw jednopłciowych. Potem premierem został Leo Varadkar, nieukrywający swego homoseksualizmu. Teraz przyszło referendum w sprawie przerywania ciąży, które dotąd było dopuszczalne jedynie w przypadku zagrożenia życia matki, a i to dopiero od 2013 r. (nie było możliwe w razie gwałtu, kazirodztwa i ciężkiego uszkodzenia płodu).

Savita na plakatach

Kampania przed głosowaniem budziła emocje – i nie mogło być inaczej, skoro decydowano o sprawie tak fundamentalnej. Zaangażowanie aktywistów z obu stron było wyjątkowe: pukano do drzwi, ulica za ulicą, prowadzono intensywne dyskusje.

Zwolennicy liberalizacji przypominali zwłaszcza historię Savity Halappanavar, która w 2012 r. trafiła do szpitala z powodu trwającego już poronienia. Choć nie było szans na utrzymanie ciąży, zwlekano z aborcją, co doprowadziło do sepsy. Savita zmarła, a jej śmierć była wstrząsem, bo wymykała się argumentom zwolenników utrzymania obecnych przepisów. Savita nie planowała aborcji, przeciwnie – chciała zostać matką. Zmarła, bo odmówiono jej pomocy. Lekarze bali się podjąć decyzję wobec niejasnej sytuacji prawnej (przepis o zagrożeniu życia matki wprowadzono właśnie po jej śmierci). Teraz twarz Savity pojawiła się na plakatach zwolenników liberalizacji.

Wynik tego referendum nie zmieni Irlandii – jest on raczej sygnałem zmiany, która już się dokonała. Choć zaskoczeniem może być tak duża przewaga zwolenników liberalizacji, a także ich umocowanie we wszystkich grupach społecznych (bez względu na pochodzenie, płeć czy miejsce zamieszkania). Tylko osoby powyżej 65. roku życia głosowały w większości za utrzymaniem zakazu. „To kulminacja cichej rewolucji, która toczyła się w Irlandii od 20 lat” – powiedział premier Varadkar.

Smutny dzień

Biskupów tak wyraźny wynik zaskoczył. Irlandia „zniszczyła” prawo do życia nienarodzonych – mówił prymas, abp Eamon Martin, podkreślając, że „odbieranie życia niewinnemu człowiekowi zawsze jest złem”. Zaskoczenia nie krył abp Diarmuid Martin z Dublina. Dzień po głosowaniu mówił w kazaniu, że referendum będzie postrzegane przez wielu jako dowód, iż Kościół w Irlandii powinien odgrywać w społeczeństwie tylko marginalną rolę. Tymczasem musi on głosić Ewangelię „i w dobrych, i w złych czasach” oraz „angażować się na rzecz życia nie tylko w słowach i manifestach, lecz także w czynach”.

Także Watykan przyjął ze smutkiem wynik referendum. „Trudno tu mówić o jakimś zwycięstwie i trudno coś świętować” – powiedział przewodniczący Papieskiej Akademii Życia, abp Vincenzo Paglia. Dodał, że ewolucja Irlandii powinna skłonić Kościół do bardziej intensywnego wspierania kobiet, aby nie podejmowały tak dramatycznych decyzji.

Pod koniec sierpnia do kraju przyjedzie papież Franciszek – ma wziąć udział w Światowym Spotkaniu Rodzin w Croke Park pod Dublinem.

Podzielony Belfast

Wynik referendum to także zachęta dla zwolenników liberalizacji z Irlandii Północnej. Trudno jednak przewidzieć, czy problemy władz regionalnych i perspektywa brexitu przyspieszą dyskusję czy ją zablokują.

Dotąd Irlandki z północnej części Zielonej Wyspy, które chciały dokonać aborcji, jechały do Anglii. Szacuje się, że od 1970 r. taką podróż odbyło 60 tys. kobiet (Irlandia Północna ma prawie 2 mln mieszkańców). Teraz premier Varadkar dopuszcza możliwość, że po tym, jak w Republice zmieni się prawo (ma to nastąpić do końca roku: aborcja będzie dozwolona do 12. tygodnia ciąży), kobiety z Belfastu będą mogły dokonać jej w Irlandii.

Obowiązujące dziś w Irlandii Północnej przepisy dopuszczają ją tylko w razie zagrożenia życia matki lub trwałego uszczerbku na jej zdrowiu i psychicze (np. ryzyko samobójstwa). Zakaz umocowany jest w ustawie z 1861 r., a skutki prawne dla kobiety są najsurowsze w Europie: teoretycznie możliwe jest nawet dożywotnie więzienie.

Premier May nie będzie interweniować w tej sprawie – uważa, że muszą o niej decydować władze regionalne. Tymczasem sytuacja polityczna w Belfastie i Londynie jest skomplikowana. Zgodnie z tzw. Porozumieniem Wielkopiątkowym z 1998 r., które zakończyło konflikt w Irlandii Północnej, władzę w regionie muszą sprawować wspólnie republikanie i unioniści. Ale od półtora roku partia unionistów DUP i republikańska Sinn Féin nie mogą się porozumieć, rządzi więc *de facto* Londyn. Theresa May jest jednak zależna od unionistów: od ostatnich wyborów konserwatyści nie mają większości i rząd opiera się na poparciu DUP. A choć w sprawie brexitu unioniści uważają, iż Belfast powinien mieć takie same regulacje jak reszta Zjednoczonego Królestwa, w kwestii aborcji sprzeciwiają się zmianom.

Trwa więc polityczny pat. Jakby mało było problemów wokół brexitu – zakaz aborcji staje się tu kolejnym tematem spornym. ©P

Rożawa: między rewolucją a tradycją

PAWEŁ PIENIAŻEK Z KOBANE (PÓŁNOCNA SYRIA)

Młodzi ludzie z syryjskiego Kurdystanu powoli rozstają się z zasadami, które określały dotąd rodzina, religia i reżim. W cieniu wojny dokonuje się przemiana kulturowa.

W POŁOWIE MAJA ZACZAŁ SIĘ RAMADAN, święty miesiąc dla muzułmanów. Przez 29 dni poszczą od wschodu do zachodu słońca. W tym czasie nie mogą wziąć do ust nawet kropli wody. Ramadan to także czas intensywnych modlitw.

Do meczetu w Kobane po południu schodzą się wierni, robi się tłoczono. Po modlitwach imam Azad Sufin mówi, że meczet trzeba powiększyć, bo ludzie ledwie się mieszczą. – Dużo czasu zajęło mi, żeby mieszkańcy Kobane znowu zaufali islamowi – tłumaczy 66-letni imam.

W 2014 r. ekstremiści z tzw. Państwa Islamskiego zaatakowali Kobane (w pisowni kurdyjskiej: Kobanê) – miasto w północnej Syrii, przy granicy z Turcją. Mieszkańcy musieli uciekać do Turcji. Po takich przeżyciach trudno było kogoś przekonać, że islam to coś innego niż – jak słyszał często imam – „obcinanie głów”.

– Po powrocie z Turcji modliliśmy się w pięć-sześć osób, a teraz meczet jest pełny – zauważa duchowny. Rzeczywiście, świątynia jest zapełniona. Jest wielu starszych mężczyzn, a także w wieku średnim i ich dzieci. Wielkimi nieobecnymi są za to nasto- i dwudziestolatkowie: młodzi coraz rzadziej zwracają się w stronę religii.

Podzielony naród

W Kobane mieszka dziś ok. 200 tys. ludzi (dane miejscowych władz), czyli połowa przedwojennej populacji. To jedno z kluczowych miast tzw. Rożawy, czyli po kurdyjsku „Zachodu”.

Rożawa to jeden z czterech obszarów na Bliskim Wschodzie, zamieszkanym w większości przez Kurdów. Pozostałe trzy znajdują się w Turcji (północ), Iranie (wschód) i Iraku (południe). W tych czterech państwach mieszka łącznie ok. 30 mln Kurdów.

Sto lat temu, po rozpadzie Imperium Osmańskiego, Bliski Wschód był organizowany na nowo. Rozrysoywali go nie jego mieszkańcy, lecz światowe mocarstwa. Kurdowie swego państwa nie otrzymali. Rozdzielono ich i już nigdy nie udało im się połączyć. Wykształcili różne tradycje i obyczaje, a także różne pomysły na to, jak ma wyglądać Kurdystan.

Iraccy Kurdowie postawili na niepodległość i tradycję. Ponieśli tego ogromną cenę. Tylko pod koniec lat 80. XX w. z rozkazu irackiego dyktatora Saddama Husajna zginęło nawet do 180 tys. Kurdów. Jego armia wykorzystywała przeciw nim również broń chemiczną – gazy bojowe.

Kurdyjski opór i coraz większa izolacja Husajna pomogły im zdobyć autonomię, którą przez lata rozwijali. Byli o krok od niepodległości 25 września 2017 r., gdy masowo zagłosowali na „tak” w referendum niepodległościowym.

Ale Irak szybko rozwiał ich nadzieje. Już w październiku iracka armia i szyckie milicje zajęły terytoria, o które toczyły się spory między autonomicznym irackim Kurdystanem i rządem w Bagdadzie. Jednym z takich miejsc był bogaty w złoża ropy Kirkuk, bez którego trudno im zbudować stabilne państwo. O niepodległości na razie musieli więc zapomnieć.

Ideowe ewolucje PKK

Tureccy Kurdowie też najpierw stawiali na niepodległość. Powstała w 1978 r. Robotnicza Partia Kurdystanu (znana pod akronimem PKK) wyrosła na nurcie antykolonialnym i czerpała garściami z marksizmu-leninizmu. Jej działacze inspirowali się Mao, bo widzieli analogie między Turcją i Chinami. Według nich w obu podobnie splatały się kapitalizm, feudalizm i imperializm.

→ Od 1984 r. PKK walczy z Turcją. Przez lata jej głównym postulatem było stworzenie własnego państwa; nie stroniła od przemocy i brutalnych metod. Przez Turcję, USA i Unię Europejską jest uznawana za organizację terrorystyczną. W trwającym wciąż konflikcie między PKK a Turcją zginęło 40 tys. ludzi. Jej 70-letni dziś lider Abdullah Öcalan, którego podstępem złapano, gdy ukrywał się w Kenii, od 19 lat siedzi w tureckim więzieniu.

W połowie lat 90. XX w. PKK zmieniła ideologię na demokratyczny konfederalizm. Odrzucono ideę państwa, uznając, że tylko zaognia i tak skomplikowaną sytuację na Bliskim Wschodzie. Zamiast tego region miałby być zbudowany z luźno powiązanych wspólnot, które otrzymałyby władzę przejętą po zdecentralizowanych państwach. Wszystko miało się opierać na demokracji, ekologii i feminizmie (Öcalan uważa kobiety za awangardę rewolucji). PKK, choć nie uważa się za przeciwnika religii, raczej popiera ateizm.

Wykorzystana szansa

Syryjski Kurdystan, od dawna blisko związany z tureckim, też poszedł drogą Öcalana. Cekał tylko na właściwy moment.

Nastąpił on w 2011 r., gdy na fali Arabskiej Wiosny w marcu wybuchła w Syrii rewolucja. Już kilka miesięcy później zamieniła się w wojnę – najpierw domową, a potem z udziałem zewnętrznych aktorów – która trwa do dziś. Pochłonęła ona przynajmniej 400 tys. śmiertelnych ofiar, a niemal 12 mln ludzi (połowę ludności Syrii) zmusiła do opuszczenia domów.

Gdy zbrojna rebelia wstrząsała krajem, prezydent Baszar al-Asad zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie kontrolować go w całości. Przerzucił wojska ze wschodu i północy kraju, by bronić głównie jego zachodniej części, w tym kluczowych metropolii jak Damaszek czy Homs. Dlatego rząd zawarł porozumienie z Kurdami: oddał im kontrolę nad częścią terytoriów w północnej Syrii, a w zamian mieli nie dołączać do rebelii.

Kurdowie na to przystali i zaczęli rządzić po swojemu. Odrzucenie zasad, które wcześniej narzucał im syryjski rząd, stało się ważną częścią budowy ich tożsamości.

Koniec arabizacji

Zilan ma dopiero 21 lat. Pracuje w centrum kultury w Kobane, gdzie organizuje pokazy filmowe. Raz w tygodniu prowadzi audycję w miejscowym radiu, poświę-

coną również kulturze. Zilan dużo czyta. Żartuje, że chyba jako jedyna w Kobane korzysta z bibliotek.

Uczyła się w szkole prowadzonej przez syryjskie państwo, ale nie mogła jej dokończyć, bo wybuchła wojna. Jej pierwszym językiem w mowie jest kurdyjski, a dokładnie miejscowy dialekt, który różni się od literackiego języka. W piśmie częściej sięga po arabski, bo wyniosła go ze szkoły.

Rządząca Syrią od lat 60. XX w. partia Baas, z której wywodzi się klan Asadów (przed obecnym prezydentem rządził jego ojciec Hafiz, w latach 1971–2000), realizowała idee arabskiego nacjonalizmu. Nie przewidywał on miejsca na różnorodność.

Kurdowie byli traktowani jak obywatele drugiej kategorii; mieli nawet problem z otrzymaniem dokumentu tożsamości. Władze źle postrzegały nadawanie kurdyjskich imion dzieciom. Nie mogli legalnie uczyć się własnej historii i kultury. Zmuszano ich do posługiwania się arabskim, a kurdyjski był językiem ulicy.

Dlatego w Kobane (oficjalna arabska nazwa, której nikt tu nie używa, to Ayn al-Arab) i innych miastach Rożawy trudno spotkać kogoś, kto dobrze posługuje się pisanym kurdyjskim. Zwykle to przedstawiciele władzy i szeroko pojętej kultury. Oraz dzieci, które poszły do szkół po tym, jak zniknął reżim lub chwilę wcześniej. Programy szkolne są teraz realizowane w kurdyjskim, arabski jest językiem obcym.

Wojna trwa ósmy rok – i także Zilan, która niedawno skończyła miejscową akademię filmową, zajęcia miała prowadzone już w języku kurdyjskim.

Jak dżihadyci niechcący wsparli ateistów

Na często zadawane w trakcie ramadanu pytanie, czy pości, Zilan tylko się uśmiecha. Ani jej to w głowie. Jak wielu młodych Kurdów, nie wierzy w Boga. – Wszyscy moi znajomi są ateistami. Jedna koleżanka przez rok wierzyła, ale jej przeszło – mówi Zilan.

Choć akurat wśród młodych można spotkać trochę osób, które zdecydowały się na ramadanowy post. Głównie dlatego, że starsi to robią, więc i tak trzeba czekać na posiłek do wieczora. Tak właśnie Zilan jednego dnia pościła, bo kucharka w pracy jest osobą religijną, więc nie gotowała. Inny powód jest bardziej prozaiczny: chcą schudnąć, a post jest ku temu okazją. Na taki pomysł wpadła jej siostra, ale po jednym dniu machnęła ręką.



Zilan twierdzi, że laicyzacja kurdyjskiego społeczeństwa zaczęła się jeszcze przed wojną. To też była forma sprzeciwu wobec władzy w Damaszku, która zmuszała do noszenia tradycyjnych strojów arabskich i muzułmańskich. Islam był traktowany jako część polityki arabizacji. Zilan uważa, że islam został narzucony Kurdowi i to nie jest ich religia.

Poważnym ciosem dla religii było nadejście tzw. Państwa Islamskiego. W styczniu 2014 r. ekstremiści zajęli syryjską Rakkę, a w czerwcu Mosul – drugie największe miasto Iraku. Tam ogłosili powstanie kalifatu, państwa bożego. Szybko zajęli terytorium wielkości Wielkiej Brytanii. Także Kurdowie stali się ich celem – wśród ludności arabskiej często mówi się o Kurdach jako o „niewiernych” właśnie dlatego, że ich stosunek do religii jest luźny.

Bitwa o Kobane

Do jednej z najbardziej dramatycznych (i symbolicznych) bitew w Syrii doszło w Kobane, w latach 2014–15. Ekstremiści islamscy zaciskali pierścień wokół miasta. Klęska zdawała się nieunikniona. 2 października 2014 r. – Zilan dobrze pamięta datę – cała jej rodzina uciekła z miasta.

Jednak Kurdowie dokonali niemożliwego: w heroicznej obronie utrzymali Kobane, a potem odparli ekstremistów – i koniec końców mieli decydujący udział w upadku tzw. Państwa Islamskiego.



PAWEŁ PIENIAŻEK

Kurdyjskie policjantki na demonstracji w Kobane, wiosna 2018 r.

nie jest członkiem rodziny (nawet do sklepu, nie mówiąc o kawiarni). Albo: na ulicy kobieta nie powinna mówić głośno i dużo, uśmiewać się, żuć gumy, palić papierosów. – Ale takie zasady z moją siostrą bez skrupułów łamiemy – mówi Zilan.

Wciąż dominuje model *macho*. Mężczyzna, co słyszałem wielokrotnie, może przechwalać się niezliczoną liczbą kobiet, z którymi się spotyka. Ale one muszą być cnotliwe i wierne. Złe natomiast jest postrzegane, jeśli on wykonuje „kobiecie zajęcia”, np. gotowanie czy sprząatanie. – Mój tata lubi gotować i robi to dobrze, ale nikomu nie można o tym powiedzieć poza domem, bo byłby wstyd – mówi Zilan. – Kobieta powinna pracować w domu, a mężczyzna poza nim. Co znaczy tyle, że nic nie będzie robił przez większość czasu.

Na to Zilan z siostrą też się nie godzą. Zmuszają braci do sprzątania i gotowania.

Sport także dla kobiet

Rewolucja Rożawy w niektórych aspektach gna, a w innych kroczy powoli. Kobiety coraz częściej zasilają służby mundurowe i administrację. Na listach wyborczych są kwoty płciowe (50 proc.; są też kwoty dla mniejszości etnicznych i religijnych), a kluczowe stanowiska są współpiastowane przez kobietę i mężczyznę.

Dziś nawet żeńska piłka nożna nie jest wielkim zaskoczeniem. W Kobane są dwie drużyny piłkarskie dla nastolatków. Jedna ma ponad dwa lata. Druga dziewięć miesięcy, a jej trenerką jest 20-letnia nauczycielka wychowania fizycznego Dêlvîn Ahmed. Treningi odbywają się dwa razy w tygodniu, na miejskim boisku.

– Na początku mężczyźni przychodzili oglądać nasze treningi, żeby sobie pożartować. Z czasem zaczęli brać nas na poważnie – mówi Dêlvîn Ahmed.

Nauczycielka zachęca kobiety, by uprawiały sport i dbały o siebie. One też sobie zaczynają z tego zdawać sprawę, bo coraz chętniej odwiedzają miejscowe siłownię.

Owszem, zdarzają się jeszcze rodzice, którzy nie są chętni, aby córka grała w „chłopczy” sport. Ale Dêlvîn Ahmed odwiedza ich i rozmawia. Zwykle udaje się ich przekonać.

Pewnie dla kolejnego pokolenia uprawianie sportu przez kobiety już nie będzie kwestią wartą debatowania.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Skuteczna obrona Kobane – podczas której zginęło ponad dwa tysiące Kurdów, a miasto zostało zrujnowane – nie byłaby możliwa bez amerykańskich nalotów na dżihadystów, bez dostaw zachodniej broni, a także bez otwarcia granicy przez Turcję (po naciskach USA). Ale kluczowe były determinacja i heroizm walczących. Dlatego dziś obłężenie Kobane to fundament współczesnej tożsamości syryjskich Kurdów. Nic dziwnego, że islam zaczął kojarzyć się ze wszystkim, co najgorsze.

– Z moich obserwacji wynika, że do nadejścia Daeshu jakaś jedna czwarta mieszkańców miasta była ateistami. Po Daeshu ich liczba skoczyła do połowy, a teraz 80-90 procent – ocenia Zilan. Dziewczyna używa arabskiego akronimu Daesh na określenie Państwa Islamskiego – taki akronim stosowany jest przez jego przeciwników.

Kategorie hańby

Dziś w tak dużym mieście są raptem trzy meczety. Ale mimo laicyzacji, mieszkańcy są bardzo tradycjonalistyczni. Widać to, gdy mowa o emancypacji kobiet, która jest jednym z kluczowych postulatów idei demokratycznego konfederalizmu. Ucieleśnieniem tej idei są Kobiety Jednostki Ochrony, znane jako YPJ. To milicja złożona z samych kobiet, organizacja „siostrzana” wobec Powstających Jednostek Ochrony (YPG), które są główną kurdyjską grupą zbrojną w Syrii.

O walczących Kurdijkach świat zaczął mówić podczas bitwy o Kobane, gdy stały czoło ekstremistom. Stąd Rożawę zaczęto utożsamiać z bliskowschodnią rewolucją feministyczną. Często na wzrost. W zbrojnych milicjach też zachowało się wiele tradycjonalizmu. – Kobieta wciąż łatwo może okryć się hańbą – twierdzi Zilan.

Dziewczyna tłumaczy, że zmieniły się kategorie hańby. I tak, gdyby 20 lat temu kobieta wyszła na ulicę w dżinsach, zostałaby pobita, a dla męża byłby to wstyd. Dziś dżinsy nikogo nie drażnią. Ale wciąż funkcjonuje wiele zasad, których kobieta powinna przestrzegać. Za pojęciem „hańby” kryje się mnóstwo rzeczy, których nie wolno. Nie dlatego, że zabrania tego prawo – tak mówią normy społeczne. Wtedy, mówi Zilan, sąsiedzi będą plotkować tak długo, że nigdy nie znajdzie męża.

Tymczasem małżeństwo to wciąż jedyna dopuszczalna forma związku. Pary mieszkające bez ślubu? Zilan wraz z siostrą wydają z siebie przeciągłe „och”, które jest wyrazem żartobliwej dezaprobaty. Tu coś takiego byłoby nie do pomyślenia. – To znaczy: facetowi nic by się nie stało, nawet uznano by pewnie, że jest super, bo mężczyznom wszystko wolno. Ale dla kobiety mogłoby się to źle skończyć – mówi Zilan.

Co jeszcze może spowodować, że kobieta zostanie źle odebrana przez wspólnotę? Chodzenie obok mężczyzny, który

NAJWIĘKSZA I NAJWAŻNIEJSZA

Magistrała węglowa to zapomniany projekt
infrastrukturalny Polski międzywojennej.
Dla odrodzonego w 1918 r. kraju miał znaczenie strategiczne.

JAN SZKUDLIŃSKI

BYŁ 1 MARCA 1933 R., KRÓTKO PO JEDE-
nastej, gdy na niewielką stację kolejową
Karsznice w Łódzkiem wjechał specjal-
ny pociąg z Warszawy. Jak donosiła „Gaze-
ta Gdańska”: 14 wagonów ciągnęły dwie
lokomotywy. Na wagonach powiewały
flagi biało-czerwone i trójkolorowe barwy
Francji. Orkiestra grała na przemian „Ma-
zurka Dąbrowskiego” i „Marsylianek”.

Z pociągu wysiedli minister komuni-
kacji Michał Butkiewicz i francuski hra-
bia Pierre de Cossé Brissac, wiceprezes
koncernu Schneider. Powitała ich dziew-
czynka, wręczając kwiaty. Wraz ze świtą
panowie udali się na uroczystą mszę,
którą odprawiono w nowej parowozowni.
Podczas nabożeństwa głos zabrał biskup

łódzki Wincenty Tymieniecki. Dziennika-
rze szczegółowo wymienili plejadę dostoj-
ników: „były minister skarbu Matuszew-
ski, wiceminister przemysłu i handlu Do-
leżał, wiceminister Nakoniecznikoff-Klu-
kowski, wojewoda łódzki Hauke Nowak,
wojewoda pomorski Kirtiklis, generałowie
Osiński i Kwaśniewski i liczne grono ofice-
rów, sekretarz generalny Crédit Lyonnais
pan Merergerie, naczelny dyrektor Bank
des Pays du Nord pan Demeris” – słowem,
grono ważnych osób. Wydarzeniu przyglą-
dał się „tłum ludności z okolicznych miej-
scowości i delegacja organizacyj”.

Po mszy wszyscy udali się na pobliski
tor kolejowy, gdzie jeden z urzędników
„przemówił do pana ministra, upraszając

o przecięcie wstęgi, co symbolizuje otwar-
cie ruchu na nowej linii”.

W cieniu Gdyni

Dlaczego gazeta znad morza poświęciła
tyle uwagi wydarzeniu w centralnej Pol-
sce, kilkaset kilometrów od Wybrzeża?
Czemu wśród gości był wojewoda pomor-
ski?

Każdy port jest uzależniony od sieci ko-
munikacyjnej, która umożliwia dowóz
i wywóz towarów przeładowywanych
na statki. Dawniej porty morskie powsta-
wały przy ujściach rzek, którymi trans-
portowano duże ładunki. Natomiast od
XIX wieku – przed upowszechnieniem
autostrad i transportu samochodowego



Budowa linii kolejowej Bydgoszcz–Gdynia, wiadukt na odcinku Żukowo–Osowa, 11 października 1928 r.

połączenia kolejowe zbudowane przez pruskich zaborców (zresztą dla zaspokajania zupełnie innych potrzeb transportowych). Tymczasem nowe państwo musiało posiadać możliwość przewożenia towarów z głębi kraju i wywożenia ich drogą morską.

Początkowo głównym portem eksportowym miał być Gdańsk, ale okazało się to ryzykowne – stosunki polsko-niemieckie były fatalne. Stąd decyzja o budowie portu w Gdyni, połączonego z krajem linią kolejową biegnącą przez Gdańsk, ale będącą pod polską kontrolą.

gorzej przedstawiała się sytuacja na południu. Głównym towarem, który należało przewieźć do portów, był węgiel wydobywany w górnośląskich kopalniach. Przebieg granicy polsko-niemieckiej przeciął najdogodniejsze połączenie: przez Kluczbork. Transport węgla wymagał więc albo uciążliwego korzystania z połączeń przez Niemcy, albo długich objazdów przez Kutno i Toruń (liniami nieprzystosowanymi do ciężkiego ruchu towarowego). Potrzeba zbudowania nowej linii kolejowej stawała się palącą.

Kryzys nadszedł w 1925 r., wraz z wybuchem polsko-niemieckiej wojny celnej. Doszło do niej natychmiast po wygaśnięciu tzw. klauzuli najwyższego uprzywilejowania, narzuconej Niemcom w traktacie wersalskim po I wojnie światowej.

Klauzula zmuszała Niemcy do nieocelowego zakupu określonych ilości polskiego węgla. Po jej wygaśnięciu Berlin przedłożył stronie polskiej szereg roszczeń, a ich odrzucenie przez Warszawę stało się pretekstem do nałożenia podwyższonych celi na towary polskie i zakazu wwozu niektórych produktów. Różnica potencjałów gospodarczych obu krajów sprawiała, że Rzeczpospolita od początku tę wojnę przegrywała.

Łopatami i wozami

Aby zaradzić sytuacji, rząd zbudował interwencyjnie kilkadziesiąt kilometrów linii kolejowej ze stacji Kalety na Śląsku do stacji Podzamcze w południowej Wielkopolsce. Biegła wzdłuż granicy polsko-niemieckiej i omijała „występ” koło Kluczborka. Dzięki temu węgiel mógł trafiać do Gdańska i Gdyni z pominięciem terytorium Niemiec.

Jednak istniejące linie nadal nie mogły zaspokoić rosnących potrzeb transportowych. Zdecydowano więc o budowie zupełnie nowej linii: ze stacji Herby Nowe, przez Zduńską Wolę, Inowrocław, Bydgoszcz i Kościerzynę. Miała biec wyłącznie przez terytorium Polski, a więc uniezależniała polski transport od Berlina i Wolnego Miasta Gdańska.

Nowa linia, nazwana magistralą węglową, miała skrócić i uprościć transport górnośląskiego „czarnego złota” na Wybrzeże, gdzie ładowano go na statki i dostarczano spragnionym węgla gospodarcom państw skandynawskich i bałtyckich.

Budowę powierzono polskim inżynierom pod kierownictwem Józefa Nowkuńskiego – zdolnego wykonawcy wspomnianej linii z Kalet do Podzamcza, wykształconego jeszcze w carskiej Rosji. Finansowanie projektu miały zapewnić dochody Polskich Kolei Państwowych, które w warunkach koniunktury drugiej połowy lat 20. miały stałą nadwyżkę. Realizować miały go polskie firmy, wyłonione w drodze przetargów.

Dziś budowa drogi czy linii kolejowej kojarzy się z widokiem ciężkiego sprzętu. W międzywojennej Polsce takich maszyn było niewiele – pod dostatkiem było za to ludzi spragnionych pracy. Stąd przy budowie magistrali zatrudnionych było w okresach największego nasilenia do 9 tys. robotników, ale zaledwie 10 mechanicznych koparek. Transport zapewniały głównie układane tymczasowo kolejki wąskotorowe – i wozy konne, wynajmowane od okolicznych rolników.

W ten sposób zbudowano największą i najważniejszą linię kolejową, jaka powstała w międzywojennej Polsce.

Francuz zapełnia lukę

Na większości odcinków magistrali kładziono tylko jeden tor, choć infrastrukturę – przepusty, wiadukty, mosty i nasypy – budowano tak, aby położenie drugiego toru było możliwe w przyszłości. Dwa tory wykonano w newralgicznych odcinkach, jak kręty i stromy odcinek od Osowy do Gdyni. Poza torami konieczne było zbudowanie licznych obiektów: stacji rozrządowych, lokomotywni, domków dróżników, dworców i budynków dla kolejarzy.

Inwestycja była kosztowna. Wydatki pokrywano z zysków PKP, co rodziło ryzyko wstrzymania prac w razie załamania koniunktury. Taka sytuacja nadeszła szybko: już w drugim roku realizacji ➔

– rolę arterii komunikacyjnych dla portów morskich pełniły linie kolejowe.

Budowa portu w Gdyni pozostaje – obok Centralnego Okręgu Przemysłowego – najbardziej znaną z inwestycji dokonanych przez II Rzeczpospolitą. Na wyobraźnię działa fakt, że port i miasto powstały niemal „na surowym korzeniu” – dotychczas była tam rybacka wioska. W cieniu Gdyni pozostaje natomiast inna ogromna inwestycja – przeprowadzona przez państwo polskie z wysiłkiem tym większym, że w czasie katastrofalnego kryzysu światowego, który mocno uderzył w II RP.

Mowa o liczącej 479 km magistrali węglowej Śląsk-Porty. Jej malowniczy końcowy odcinek wielu kojarzy się z wakacjami: biegnie z Kościerzyny do Gdyni, przez Żukowo i Osowę (stanowiąc dziś część Pomorskiej Kolei Metropolitalnej).

Węgiel na eksport

Dlaczego zbudowano magistralę? Odpowiedzi należy szukać w ukształtowaniu polskiej granicy po 1918 r. Przecięła ona

KRZYSZTOF KAMIŃSKI / MUZEUM MIASTA GDYNI

Fot. M. N. 1928

→ Magistrali konsekwencje wielkiego kryzysu doprowadziły do wyhamowania prac, zanim magistrala mogła zostać uruchomiona. Ukończone w większości odcinki z Bydgoszczy do Gdyni oraz z Herbów Nowych do Zduńskiej Woli rozdzielała „luka” między tym ostatnim miastem a Inowrocławiem, gdzie zaawansowanie prac było niewielkie.

Ponieważ w warunkach kryzysu potrzeba sprawnego wywozu węgla przez Gdynię stała się jeszcze bardziej paląca, rząd zaczął szukać zagranicznego inwestora, gotowego pokryć koszty dokończenia budowy.

Wybór padł na konsorcjum francuskiego banku des Pays du Nord oraz firmy Schneider-Creusot. W 1931 r. podpisano z nim umowę o charakterze partnerstwa publiczno-prywatnego. Powstałe tak Polsko-Francuskie Towarzystwo Kolejowe miało dokończyć budowę, a w zamian uzyskać koncesję na użytkowanie magistrali i korzystanie z uzyskanych dochodów przez okres 45 lat.

Decydujący wpływ polski

O znaczeniu tej inwestycji dla Gdyni może świadczyć fakt, że na łamach lokalnej prasy pilnie relacjonowano przebieg negocjacji z Francuzami, zamieszczając najbardziej błahe komunikaty rządowe opisujące ich przebieg i dementując plotki.

I tak, 11 lutego 1931 r. „Dziennik Gdyni” zapewniał: „W kołach poinformowanych zaprzeczają stanowczo pogłoskom o rzekomych wygórowanych warunkach kosztów pożyczki ze strony konsorcjum francuskiego”, a „zarówno lokomotywy, jak i wagony oraz materiał techniczny, niezbędny do budowy i uruchomienia linii, wyprodukowany będzie w kraju”. Także „decydujący wpływ polski zarówno co do kapitału, jak i administracji będzie zachowany. Naczelnym dyrektorem eksploatacji tej linii będzie mianowany Polak”.

Źródła gdyńskich dziennikarzy nie myliły się: w umowie zastrzeżono, że prace mają prowadzić polskie firmy zatrudniające polskich robotników, co miało znaczenie dla łagodzenia skutków kryzysu.

Zainteresowanie budową nie słabło. „Gazeta Gdańska” z 26 kwietnia 1932 r. opisywała ze szczegółami planowaną rozbudowę węzła kolejowego w Inowrocławiu „w związku z krzyżowaniem się w tym punkcie obecnie istniejącej linii kolejowej z nową linią Górny Śląsk – Gdy-

W styczniu 1938 r. magistralą przewieziono do Gdyni

442 tys. ton węgla

i 250 tys. ton

innych towarów.

nia”. Potem ta sama gazeta obszernie relacjonowała uroczystość otwarcia.

A ta nastąpiła szybko: 1 marca 1933 r. Odtąd transporty polskiego węgla z kopalni śląskich jechały do Gdyni nieprzerwanie – przez Tarnowskie Góry, Herby Nowe, Zduńską Wolę, Inowrocław, Bydgoszcz i Kościerzynę. Jeszcze po otwarciu kończono liczne budynki i urządzenia. Większość prac ukończono przed wybuchem II wojny światowej.

Inaczej wyglądała kwestia eksploatacji. Francusko-Polskie Towarzystwo Kolejowe zalegało z podatkami. Eksploatację linii prowadziły zatem Polskie Koleje Państwowe, aż do uiszczenia należności. Towarzystwo przejęło eksploatację linii dopiero w styczniu 1938 r.

Z pierwszorzędných kopalń

Początkowo magistralą poruszało się 7, a po kilku latach – wraz z rozbudową infrastruktury – 11 pociągów z węglem na dobę (tory zbudowano z zachowaniem niewielkich spadków, a zakręty wytyczano szerokimi łukami, by możliwe było zestawianie długich i ciężkich składów).

W styczniu 1938 r. magistralą przewieziono do Gdyni 442 tys. ton węgla i 250 tys. ton innych towarów. Węgiel eksportowano drogą morską, część zużywano też na miejscu. Jak wynika z zamieszczanych w „Dzienniku Gdyńskim” ze stycznia 1936 r. anonsów, działające w mieście składy węgla reklamowały swój towar jako pochodzący „z pierwszorzędných kopalń górnośląskich i dąbrowskich” (skład Wł. Łebka przy ul. Świętojańskiej 12) czy po prostu jako „węgiel górnośląski” (skład przy rynku Warzywnym). Skład przy ul. 3 Maja, oferujący dostawę do domu, o pochodzeniu opału mówił przez nazwę firmy, która brzmiała: „Górny Śląsk”.

Powszechna przed wojną bieda sprawiała, że na gdyńskich odcinkach magistrali dochodziło do kradzieży węgla. W 1937 r. Zbigniew Uniłowski tak pisał na łamach „Wiadomości Literackich”:

„Widzę na ścieżce poniżej nasypu kilkunastu mężczyzn na rowerach. Głowy mają zadarte w kierunku wagonów z pobielonymi wapnem kopcami węgla. Uwija się po nich człowiek, który zrzuca bryły węgla, i rowerzyści chwytają je nieomal w locie, chowają pod ramię i zawracają z łupem”.

Magistrala służyła też do przewozu ładunków w przeciwną stronę. Do portu w Gdyni przywożono szeroki asortyment towarów. Np. uruchomiona w 1929 r. Łuszczarnia Ryżu eksportowała znaczną część produkcji, głównie do Czechosłowacji. W styczniu 1938 r. z Gdyni w głąb kraju przewieziono magistralą 87 tys. ton towarów.

„Śmiały” na magistrali

Niemiecki atak na Polskę przerwał eksploatację i prace wykończeniowe na magistrali węglowej. Ale nie oznaczał kresu jej dziejów.

Magistrala odegrała niepoślednią rolę w jednej z najsłynniejszych bitew kampanii 1939 r.: jej torami poruszał się pociąg pancerny „Śmiały”, wspierający Wołyńską Brygadę Kawalerii, gdy jej działka przeciwpancerne odpierały pod Mokłą natarcie 4. Dywizji Pancerniej. Słynny przepust dla szosy z Mokrej do Miedźna, gdzie 1 września zatrzymano niemieckie czołgi, był jednym z 296 takich obiektów inżynierskich zbudowanych dla magistrali.

Po 1945 r. straciła ona znaczenie jako główna arteria wywozu śląskiego węgla. Granice się zmieniły, Gdynia przestała być jedynym polskim portem. Natężenie przewozów towarowych na magistrali spadło. Ale pełniła – i pełni nadal – ważną rolę w ruchu pasażerskim.

Piszący te słowa wspomina niejedną wyjazd z plecakiem z dworca w Gdyni przez Kościerzynę w stronę Chojnic – niezwykle malowniczą trasą, wijącą się wśród kaszubskich lasów i jezior.

© JAN SZKUDLIŃSKI

Autor jest kierownikiem Działu Historycznego Muzeum Miasta Gdyni.

Korzystałem z: G. Kotlarz, H. Dąbrowski, E. Wieczorek „Magistrala węglowa”, F. Sokół „Żyłem Gdynią”, M. Widernik „Magistrala węglowa Śląsk-Gdynia i jej znaczenie w okresie międzywojennym” oraz gazet: „Dziennik Gdyński”, „Gazeta Gdańska”, „Wiadomości Literackie”.

WOJCIECH

Bonowicz: Kłopoty tłumacza



NO WIĘC TAK: OBSZERNE FRAGMENTY MOJEGO felietonu, opublikowanego przed dwoma laty w „Tygodniku”, znalazły się na tegorocznej maturze z języka polskiego. Felieton nosił tytuł „Profesja stulecia” i opowiadał o pomyśle, jaki wówczas miałem, mianowicie – żeby stworzyć Biuro Tłumaczeń w Języku Polskim, które zajmowałoby się tłumaczeniem jednemu Polakowi, co myśli drugi Polak. Nikt nie chce mi wierzyć, kiedy zapewniam, że o niczym nie wiedziałem: matura jest tworzona w najbardziej tajnej z tajnych komisji, która nie informuje autorów, że zamierza skorzystać z ich dzieł. I słusznie, bo przecież nietrudno założyć, że nawet gdybym przekazał taką informację tylko dwóm zaufanym osobom, po chwili wiedzieliby już całe miasto, a po kilku godzinach – cały kraj. Niedawno podczas Festiwalu Kopernika podszedłem do profesora Lasoty, wybitnego astrofizyka, i poprosiłem, żeby pozdrowił swoją żonę Agnieszkę. „Czy w Krakowie to jest wiedza powszechna, że my jesteśmy małżeństwem?”, spytał zaskoczony. „Panie profesorze”, odpowiedziałem, „jeśli w Krakowie wiedzą o czymś dwie osoby, można uznać, że albo jest to wiedza powszechna, albo niebawem będzie”.

Tak się składa, że w tym roku zdawało maturę najmłodsze z moich dzieci – córka Małgosia. Przez kilka tygodni omawialiśmy wspólnie kolejne epoki i autorów, przypominaliśmy sobie treść lektur, oglądaliśmy i komentowaliśmy ich ekranizacje. Jak tylko Małgosia wyszła z sali, zadzwoniła rozbawiona: „Powtórzyliśmy tytuł autorów, ale nie powtórzyliśmy Bonowicza”. Tekst mojego felietonu znalazł się, jak się okazało, w części obowiązkowej, i trzeba było odpowiedzieć na 11 pytań o jego

treść. Zagadywano mnie przez następne dni wielokrotnie, czy na wszystkie pytania umiałbym odpowiedzieć prawidłowo. No cóż, nie wiem, jakie odpowiedzi przewiduje tzw. klucz, ale podobno pytania nie były podchwytliwe, a sam tekst się uczniom podobał. Najczęstszy komentarz, jaki słyszałem, brzmiał jednak: „Zostałeś klasykiem – wstawili cię między Prusa i Bryllę”. Jako człowiek miłujący prawdę odpowiadałem skromnie: „O, przepraszam, Prus i Bryllę byli do wyboru. Ja byłem obowiązkowy”.

Tak więc stało się: władza metodami administracyjnymi zmusiła 240 tysięcy młodych osób, żeby uważnie przeczytały mój tekst. Do tej pory nie wiem, jak się z tym czuję i jak powinienem się czuć. Zapewne po kilku dniach większość zapomniała o mnie i wybaczyła mi, że stałem się częścią tego, bądź co bądź, przemocowego wydarzenia. Jeżeli mimo to kilkaset młodych kobiet i mężczyzn pomyślało o mnie z wdzięcznością, to już dosyć. Jeżeli kilkaset innych zastanowiło się głębiej nad meritem tekstu – to dobrze. Kilkoro tegorocznych maturzystów już zaoferowało, że jeśli wspomniane Biuro Tłumaczeń powstanie, chcieliby w nim pracować. Mamy naprawdę odważną młodzież.

Sławny Kubuś, bohater Diderota, twierdził, że w dużym mieście w ciągu jednego dnia co najwyżej dwa razy może się zdarzyć, że ktoś zrozumie czyjeś słowa właściwie. „Życie upływa na samych *qui pro quo*”, mawiał. „Są *qui pro quo* przyjaźni, *qui pro quo* miłości, *qui pro quo* polityki, finansów, Kościoła, urzędu itd.”. Doświadczam *qui pro quo* właściwie nieustannie, ilekroć próbuję wyłożyć gdzieś moje racje albo polemizować z czyimiś poglądami. I przekonuję się, że aby móc skutecznie tłumaczyć z polskiego na polski, trzeba umieć się zdobyć na powściągliwą szczerość – takie sobie określenie ostatnio wynalazłem. Czyli: mówić, co się myśli, ale jednak w taki sposób, który oczyszcza owe myśli przynajmniej z części emocji, klaruje je i podaje drugiemu nienachalnie, ostrożnie, starając się nie naruszyć w nim rozmaitych „zabezpieczeń”. Gdyby się tak chwilę zastanowić, powściągliwa szczerość to trochę to samo, co „ugryźć się w język”, ale – jak brzmiał!

Na razie Biuro Tłumaczeń zamknięte, a ja stoję przed tym, że może najtrudniejszym tłumackim wyzwaniem w życiu: jak wytłumaczyć żonie, że na potrzeby wywiadu w „Tygodniku” dałem się sfotografować w starym podkoszulku? ©

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Zapraszamy
na
„Lekcje
czytania”



Opole: BONOWICZ O HERBERCIE I PODSIADLE

W poniedziałek 4 czerwca o godz. 10.00 WOJCIECH BONOWICZ zaprosił uczniów III Publicznego Liceum Ogólnokształcącego z Oddziałami Dwujęzycznymi im. Marii Skłodowskiej-Curie do lektury wierszy Zbigniewa Herberta. O godz. 11.30 czytał i dyskutował o poezji Jacka Podsiadły z uczniami II Publicznego Liceum Ogólnokształcącego z Oddziałami Dwujęzycznymi.

Współorganizatorem opolskich „Lekcji czytania”

była Miejska Biblioteka Publiczna im. Jana Pawła II w Opolu.

CONRAD, KOMIKS I ANDRYCHÓW

MAGDA HEYDEL w poniedziałek 11 czerwca odwiedzi Liceum Ogólnokształcące im. Marii Skłodowskiej-Curie w Andrychowie. Uczestnicy będą rozmawiać o graficznym i słownym tłumaczeniu „Jądra ciemności” Josepha Conrada.

■ Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekjeczytania@tygodnik.com.pl



Projekt powstaje na zlecenie Krakowskiego Biura Festiwalowego w związku z realizacją programu Kraków Miasto Literatury UNESCO

JAK POWSTAJE CZŁOWIEK

Eksperyment z udziałem hybryd ludzkich i kurzych embrionów pozwolił zamknąć trwającą od ponad stu lat dyskusję dotyczącą jednej z pierwszych faz naszego rozwoju.

ANNA BARTOSIK

JAK TO SIĘ DZIEJE, ŻE ZE ZBITKI IDENTYCZNYCH komórek, jaką jest zarodek w kilka dni po zapłodnieniu, w kolejnych tygodniach rozwiną się ręce, głowa i bijące serce? Dlaczego z jednych komórek zarodka powstaną naczynia krwionośne, a inne dadzą początek układowi nerwowemu czy skórze? Pomimo ogromnego postępu w wielu dziedzinach biologii najwcześniejsze etapy rozwoju zarodkowego człowieka w dalszym ciągu pozostają słabo poznane.

Wiele badań dotyczących wczesnych etapów rozwoju prowadzonych jest na płazach czy rybach, które przypominają naszych dalekich ewolucyjnych przodków. To jednak bardzo różne od nas organizmy i jeśli chcemy zrozumieć, jak przebiega najwcześniejszy rozwój człowieka, a taka wiedza jest bezcenna dla medycyny, musimy sięgać po bardziej miarodajne modele. Badania na ludzkich embrionach, ze względu na przepisy bioetyczne obowiązujące w wielu krajach, w tym USA, muszą być przerywane na etapie 14-dniowego zarodka. Czyli w momencie, kiedy zaczynają się dziać najciekawsze z naukowego punktu widzenia procesy kształtujące człowieka.

Budowa drugiego mózgu

Naukowcy już od pewnego czasu wiedzą, że komórki, z których zbudowany jest zarodek – tzw. zarodkowe komórki macierzyste – mogą się rozwinąć w dowolny

Aztecka bogini Xochiquetzal – protektorka młodych matek, patronka płodności i narodzin.



PHOTO RESEARCHERS / EAST NEWS

wyspecjalizowany typ komórek: mięśni, kości, skóry itd. Z badań nad płazami i rybami wiadomo także, że na wczesnym etapie rozwoju zarodka wyodrębniają się grupy tzw. komórek organizatorów. To właśnie one instruują inne komórki za pomocą molekularnych przekazników, jak powinny się rozwijać. Zaobserwowano u płazów i ryb, że komórki „organizatory” przeszczepione z jednego zarodka na inny są w stanie wytworzyć u niego drugi rdzeń kręgowy i centralny układ nerwowy. Do tej pory jednak, z powodu regulacji bioetycznych, nikt nie udowodnił istnienia ludzkich komórek „organizatorów”. Powstają one właśnie w czasie ok. 14 dni od zapłodnienia, czyli dokładnie wtedy, kiedy zgodnie z przepisami należy zaprzestać badań na zarodkach w warunkach laboratoryjnych.

Przełomem w badaniach nad ludzkimi komórkami „organizatorami” okazała się praca naukowców z Uniwersytetu Rockefellera w Nowym Jorku, opublikowana pod koniec maja w magazynie „Nature”. Zespół pod kierownictwem Alego H. Brivanlou opracował metodę tworzenia hybryd sztucznie wyhodowanego zarodka człowieka i zarodka kury. Pozwoliło to ominąć bioetyczne obostrzenia – naukowcy mogli więc prowadzić swoje badania na komórkach zarodkowych starszych niż 14 dni.

Początkowo naukowcy nauczyli się, jak z ludzkich zarodkowych komórek macierzystych w warunkach laboratoryjnych „wyprodukować” sztuczne embriony w probówkach. Powstają one z komórek pobranych z embrionów i są umieszczane na specjalnym podłożu, które ma symulować warunki naturalne. Jednak taki model badawczy, znajdujący się w izolowanym środowisku na plastikowej szalce, nie nadawał się do badań nad komórkami „organizatorami”. Dlatego w kolejnym kroku naukowcy próbowali przeszczepiać ludzkie embriony na zarodki myszy, w ten sposób zapewniając im bardziej naturalne warunki rozwoju. Wyniki tych eksperymentów były obiecujące, ale nie udało się zaobserwować powstawania drugiego układu nerwowego, co jest uznawane za główną oznakę istnienia komórek „organizatorów”. Wtedy właśnie wpadli na pomysł, żeby spróbować przeszczepiać ludzkie komórki na zarodki kurze. Żeby móc łatwo odróżnić komórki ludzkie od ptasich, badacze wyznakowali te pierwsze fluorescencyjnie. Takie mole-

kularne ometkowanie umożliwia śledzenie kolejnych pokoleń komórek powstających w wyniku podziałów. W ten sposób można łatwo identyfikować pod mikroskopem położenie ludzkich komórek na ptasim embrionie.

Kluczową okazała się obserwacja, że na zarodkach kurzych, na które zostały przeszczepione ludzkie komórki, zaczęły się rozwijać zaczątki drugiego układu nerwowego. Było to pierwszym bezpośrednim dowodem na istnienie ludzkich komórek „organizatorów”. Co ciekawe, elementy chrzęstne i kostne drugiego układu nerwowego składały się ze świecących fluorescencyjnie komórek ludzkich, natomiast zaczątki samego rdzenia kręgowego i mózgu były tworzone przez komórki kurze. Jedynym wytłumaczeniem takiej obserwacji było to, że ptasie komórki reagowały na sygnały pochodzące od ludzkich komórek.

Rozwój pod kontrolą

Eksperymenty opisane w „Nature” dowodzą, że losy poszczególnych komórek zarodkowych są ściśle ustalone oraz że sygnały molekularne sterujące rozwojem zarodkowym są utrwalone w ewolucji. Warto pamiętać, że ptaki są ewolucyjnie bardzo dalekie od człowieka, bliżej im do dawno temu wymarłych dinozaurów. A mimo to najwyraźniej te same sygnały molekularne sterują początkowymi etapami rozwoju kury i człowieka.

Naukowcy z Uniwersytetu Rockefellera odwołują się w swojej publikacji do pio-

nierskich prac niemieckich embriologów, Hansa Spemanna i Hilde Mangold, sprzed prawie 100 lat. Wtedy udało się pokazać, że komórki przeszczepione z jednego zarodka salamandry na drugi potrafią zainicjować powstawanie drugiej, dołączonej salamandry w obrębie jednego zarodka. Powszechnie uznaje się te eksperymenty za pierwsze dowodzące istnienia komórek „organizatorów” u płazów. Prace zespołu Alego H. Brivanlou zamykają trwającą już prawie sto lat dyskusję, czy takie komórki obecne są również w ludzkich zarodkach.

To oczywiście dopiero początek długiej drogi. Na razie udało się opracować metodę, która będzie na pewno wykorzystywana w wielu laboratoriach zajmujących się embriologią na całym świecie. Ali H. Brivanlou, w wypowiedzi dla portalu ScienceDaily.com, podkreśla: „Jeśli chcesz zrozumieć jakiś proces, musisz najpierw zrozumieć jego początki”. Dodaje też, „że jeśli chcemy poznać przyczyny ludzkich chorób, musimy najpierw rozwinąć metody pracy na komórkach ludzkich”. Badania nowojorskich naukowców mogą pomóc w lepszym zrozumieniu mechanizmów odpowiedzialnych za wczesne, spontaniczne poronienia. Są one również istotne dla medycyny regeneracyjnej, która coraz częściej wykorzystuje komórki macierzyste do naprawy lub odnowy chorych tkanek. W końcu przysłużą się też zrozumieniu wielu procesów zachodzących w komórkach rakowych, czyli takich, które wymykają się spod kontroli reszty organizmu. ©

Przebieg ciąży

W wyniku zapłodnienia, czyli połączenia plemnika i komórki jajowej, powstaje jednokomórkowa zygota, która ulega intensywnym podziałom komórkowym. Powstała zbitka komórek przekształca się w blastocystę, czyli pęcherzyk z zagęszczeniem około 200-300 komórek na jednym biegunie tworzącym tzw. węzeł zarodkowy. Jest to właściwy zarodek, który implantuje się w macicy ok. 10. dnia po zapłodnieniu. Wtedy też zaczynają po-

wstawać narządy pierwotne, m.in. cewki nerwowe, jelita pierwotne oraz błony płodowe.

Kolejny etap rozwoju to gastrulacja, kiedy w obrębie zarodka wyodrębniają się tzw. trzy listki zarodkowe: endoderma, mezoderma i ektoderma, z których rozwinią się później poszczególne organy. Cały proces embriogenezy można określić jako skoordynowane w czasie i przestrzeni zmiany ekspresji poszczególnych genów, podziały komórkowe i różnicowanie komórek.

Serce jest pierwszym funkcjonalnym narządem, już około 21. dnia od zapłodnienia zaczyna pompować krew.

Układ pokarmowy rozwija się do 12. tygodnia ciąży, w tym czasie powstaje też pełny układ nerwowy. Przyjmuje się, że rozwój zarodkowy trwa do 8. tygodnia, po którym następuje rozwój płodowy. W odróżnieniu od zarodka płód ma dużo lepiej rozpoznawalne cechy zewnętrzne i bardziej rozwinięte organy wewnętrzne. Ciąża trwa około 38 tygodni. © AB



KAROLIS JANULIS / REX / EAST NEWS

Rój

ŁUKASZ ŁAMŻA

W maju dowiedzieliśmy się, jak zrewolucjonizować transport miejski. I dlaczego – tym razem – może się to udać.

REWOLUCJI CYWILIZACYJNEJ NIE DA SIĘ wywołać samą tylko innowacją technologiczną. Aby rzeczywistość społeczna naprawdę się zmieniła, obok czysto technicznej możliwości zmiany musi też wystąpić sprzyjający klimat społeczny. Dlaczego wszyscy jesteśmy przyklejeni do smartfonów? Nie tylko dlatego, że smartfony mogły powstać; okazało się, że odpowiadają na realną potrzebę. Chcemy z nich korzystać, na dobre i na złe.

Niewykluczone, że w ciągu najbliższych dekad dojdzie do sporej rewolucji związanej ze sposobem przemieszczania się ludzi w miastach. Mowa o całkowitym odejściu od prywatnego transportu i przestawieniu się na korzystanie z floty krążących po mieście pojazdów. Autorzy opublikowanego 24 maja w „Nature” artykułu (M.M. Vazifeh i in. „Addressing the minimum fleet problem in on-demand urban mobi-

lity”) rozwiązali ważny problem obliczeniowy, stojący na drodze do realizacji tego planu. Udało im się stworzyć algorytm decydujący na bieżąco o rozmieszczeniu pojazdów w mieście dowolnej wielkości.

Zadanie to może wydawać się nierealne. Jak właściwie zadecydować, ile pojazdów powinno, założmy, zostać puszczonego do Krakowa, aby każda osoba chcąca skorzystać z przejazdu czekała na niego krócej niż 3 minuty? Autorzy pracy skorzystali z dobrodziejstwa Big Data, czyli wielkich zasobów danych; w tym przypadku bazą danych były informacje o 150 mln przejazdów taksówkami wykonanych w Nowym Jorku w ciągu jednego roku.

Przyniosło to kilka interesujących wyników. Przede wszystkim, istniejąca sieć pojazdów jest bardzo „nadmiarowa”. Przykładowo: w godzinach popołudniowego szczytu średnio ok. 5 tys. osób w dowolnym momencie siedzi w taksówce, jednak na ulicach znajduje się ponad 10 tys. pojazdów. Ok. 2 tys. z nich jest w drodze, by odebrać pasażera, co łącznie oznacza, że ok. 3 tys. pojazdów jeździ lub stoi bez celu.

Autorzy twierdzą, że można by obsłużyć wszystkich nowojorskich pasażerów, bez utraty jakości usług, flotą składającą się z zaledwie 6 tys. pojazdów. Władzę nad materią w tym przypadku – jak zawsze zresztą – zapewnić ma informacja. Wystarczy, aby wszystkie przejazdy zamawiane były za pośrednictwem aplikacji mobilnej typu Uber, a opracowany

przez autorów algorytm zdecyduje na bieżąco o liczbie pojazdów wypuszczonych na ulice.

Można by się zastanawiać, skąd algorytm miałby wiedzieć, dokąd właściwie wysłać niezajęte pojazdy? Dalej – czy pojazd kończący kurs znajdzie tam pasażera? Autorzy pracy wykazują, że symulowana przez nich sieć komunikacyjna jest „samoregulująca”: po pewnym czasie nawyki „roju ludzkiego” same z siebie wywołują jej optymalizację. Wystarczy, aby każdy mieszkaniec miasta konsekwentnie korzystał z tej samej aplikacji. Rozwiązany więc został – i to w elegancki, oszczędny sposób – poważny problem stojący na drodze do realizacji spersonalizowanej komunikacji masowej, czyli takiej, w której nie wsiada się i wysiada na przystankach, lecz w dowolnym punkcie w mieście.

Autorzy pracy zwracają uwagę na dwa dodatkowe czynniki, które sprawiają, że ich algorytm nie jest tylko ciekawostką teoretyczną. Pierwszym z nich są samochody autonomiczne, które z każdym rokiem są coraz bardziej realną alternatywą dla kierowanych ręką ludzką. Samochód sterowany przez komputer zachowuje się bowiem w przewidywalny sposób, co ułatwia włączenie go do „roju”, ponadto nie dąsa się, gdy trzecią godzinę z rzędu nie trafi mu się żaden przejazd.

Drugi czynnik jest bardziej subtelny, ale też decydujący: jest nim coraz powszechniejsza we współczesnym społeczeństwie „ekonomia dzielenia”, a więc zmiana nie o charakterze technologicznym, tylko aksjologicznym. Mowa o przemianach społecznego systemu wartości. Coraz więcej osób, twierdzą autorzy, nie ma psychicznej potrzeby posiadania własnego samochodu i gdyby ich potrzeby komunikacyjne mógł spełnić publiczny „rój pojazdów”, weszliby w taki rój z chęcią. Jaskółkami tego trendu są aplikacje takie jak Uber czy Traficar, które ułatwiają dostęp do floty „wspólnych pojazdów”, w pierwszym przypadku z kierowcą, w drugim – bez.

Przemiana na skalę masową wymagałaby oczywiście kolejnego aktu konformizmu, jakim jest powszechne organizowanie wszystkich przejazdów przez jedną i tę samą aplikację. To jednak, można już dzisiaj chyba powiedzieć spokojnie, nie jest dla nas poważnym ograniczeniem. Wydaje się, że dzisiaj, tak czy inaczej, stajemy się częścią roju – czemu więc nie miałyby to przy okazji odkorkować ulic? ©



TELEWIZORY
z fabryki
W POLSCE

NAJLEPIEJ PREZENTUJĘ SIĘ W TELEWIZORACH MANTA

Marcel Gronka

49 CALI | ULTRA HD | SMART TV

RTV EURO AGD

1399 zł*

* sugerowana cena detaliczna na dzień 14 maja 2018



Oswajanie przypadku

BARTOSZ BROŻEK, BARTŁOMIEJ KUCHARZYK

Możemy się go obawiać, ale nie sprawia to,
że przypadek znika. Nie da się go pozbyć,
ale można spróbować oswoić.
Temu celowi poświęcona była tegoroczna edycja
Copernicus Festival.



Po lewej:
JEAN-PIERRE LASOTA,
FIZYK, podczas
wykładu „Przypadki
chodzą po fizykach”.
Oglądaj na
powszech.net/lasota

Po prawej:
ROBERT H. FRANK,
EKONOMISTA:
„Bogaci ludzie rzadko
chcą się dzielić z innymi.
Lobbują za niskimi
podatkami. Jednak gdy
mają coraz więcej,
nie stają się bardziej
szczęśliwi. Zmienia się
tylko to, jak postrzegają
swoje potrzeby”.
Oglądaj na
powszech.net/frank
i powszech.net/szczescie

DANIEL GILBERT,
PSYCHOLOG: „Nie
potrafimy przewidzieć,
jak będziemy się czuć
w przyszłości. Jesteśmy
znacznie bardziej
odporni, niż się nam
wydaje. A nasz umysł
jest uwięziony
w teraźniejszości”.
Oglądaj na
powszech.net/gilbert



W „Fizyce” Arystoteles przywołuje pogląd, że w zdarzeniach nazywanych „przypadkami” wskazać można na coś jako ich przyczynę. „Zresztą – dodaje – gdyby przypadek istniał, byłoby to zaiste bardzo dziwne i niewytłumaczalne”. Podobnie zdaje się myśleć Laplace, gdy powołuje do życia słynnego Demona – „inteligencję, która potrafiłaby zrozumieć wszystkie siły poruszające naturą i położenie, w którym znajdują się wszystkie byty składające się na naturę”. Dla takiego Demona przypadek nie istnieje – wszelkie zdarzenia w przyrodzie są ściśle zdeterminowane, a nie umiemy tego dostrzec tylko ze względu na ograniczoność naszych umysłów.

WYDAWAĆ BY SIĘ MOGŁO, że mowa tu o tym samym zjawisku – wierze w porządek natury, niepozostawiający miejsca dla zdarzeń przypadkowych. Jednak pogląd przywoływany przez Arystotelesa ma inne źródła niż doktryna Laplace’a. Uznajemy przypadek za coś „dziwnego” i „niewytłumaczalnego”, ponieważ stroniśmy od niepewności. Przypadek nas niepokoi, bo utrudnia myślenie o świecie i działaniu w nim. Tymczasem rozumowaniem Laplace’a rządzi inna siła, którą określić można

mianem „logiki rozwoju nauki”. Wielkie sukcesy fizyki Newtona sprawiły, że XIX-wieczni myśliciele, olśnieni niezwykłą skutecznością metod fizyki w wyrzucaniu naturze jej tajemnic, czuli, że są o krok od pełnego zrozumienia przyrody.

Przypadek jednak nie daje za wygraną, za nic mając sobie nasze psychiczne potrzeby i metafizyczne dekrety uczonych. Możemy się go obawiać, ale nie sprawia to, że przypadek znika; możemy wyrugować go z wyśnionej, ostatecznej „teorii wszystkiego”, ale będą to bardziej pobożne życzenia niż prawdziwa fizyka. Przypadku nie da się pozbyć, można jednak spróbować go oswoić. Temu celowi poświęcona była tegoroczna edycja Copernicus Festival.

ŚWIAT W PEŁNI DETERMINISTYCZNY, pozbawiony twórczej siły przypadku, nie byłby zbyt ciekawym miejscem. Fizycy zdają się być zgodni, że fundamentalne prawa natury mają charakter probabilistyczny. Oznacza to, że w pełni deterministyczne prawa fizyki pozostawiają „miejsce” dla działania przypadku. Wszelkie światy, w którym żyjemy, nie jest efektem czysto losowych zdarzeń. Ma dobrze określoną strukturę, wyznaczoną przez działające z nieubłaganą koniecznością prawa fizyki. ➔



ADAM ZAGAJEWSKI, POETA: „Nie ma takiej tak wielkiej, błotnistej rozległości, żeby się na nich zebrało całe społeczeństwo i przyjrzało się sobie. Wolność dotyczy nas w życiu prywatnym, ale możemy ją stracić w życiu zbiorowym, gdy zobaczymy fałszywego mesjasza”. Oglądaj na powszech.net/zagajewski

→ Równocześnie jednak prawa te nie determinują wszystkiego. Trzeba im zadać warunki początkowe, które – z punktu widzenia tych praw – są przypadkowe. Co więcej, istnieją takie obszary rzeczywistości – szczególnie w mikroskali – które opisać potrafimy jedynie prawami probabilistycznymi. Nie oznacza to, oczywiście, że zjawiska kwantowe przebiegają w sposób całkowicie dowolny. Są dobrze określone, ale danej przyczynie nie przypisują jednego tylko potencjalnego skutku. Zjawiska fizyczne są zatem efektem pewnej gry między koniecznością a przypadkiem. Istnienie świata, jaki znamy, jest efektem tej gry.

Podobnie mówić można o świecie istot żywych. Życie i świadomość nie zaistniałyby, gdyby ewolucja nie wykorzystywała przypadkowych mutacji genetycznych, odgrywających swą rolę na scenie wyznaczonej przez prawo doboru naturalnego. Jesteśmy zatem dziełem przypadku, ale nie jest to nic zaskakującego: cały wszechświat jest jego dziełem.

Okazuje się zatem – wbrew naiwnemu optymizmowi Laplace’a – że fizyka potrzebuje przypadków. Nie są one jednak – jak chcieliby autorzy cytowani przez Arystotelesa – czymś niewytłumaczalnym, wyłomem w racjonalnej strukturze świata. Przypadek jest raczej paliwem, które napędza ewolucję wszechświata.

W trakcie Copernicus Festival próbowaliśmy oswoić się z tą myślą. Pomagali nam w tym wybitni uczeni: ks. prof. Michał Heller w trakcie wykładu „Ewolucja i przypadek”, a także prof. Jean-Pierre Lasota oraz prof. Leszek Sokółowski podczas dyskusji „Kto się boi Demona Laplace’a”. O roli przypadku w ewolucji kosmicznej i biologicznej rozmawialiśmy także z licealistami w trakcie „Lekcji czytania”.



Po prawej:
JOHN TILBURY,
PIANISTA,
podczas koncertu
„Sztuka dotyku
i świętowanie
przygodności”.



PRZYPADEK JEST POJĘCIEM NIEODZOWNYM w języku potocznym, a za jego pośrednictwem – w życiu społecznym. Z tego względu pozostaje w centrum zainteresowań nauk społecznych, humanistyki, literatury i sztuki.

Również tutaj przypadek ma co najmniej dwa oblicza. Z jednej strony jest czymś, czego się obawiamy bądź na co liczymy – pechem, wypadkiem, trafem, szczęściem... Tak rozumianemu przypadkowi przyjrzało się w swoich wykładach i debacie ekonomista Robert H. Frank i psycholog Daniel Gilbert. Profesor Frank pokazał, że wśród mnóstwa utalentowanych i ciężko pracujących osób sukces odnoszą często te, którym sprzyja szczęście. Profesor Gilbert wyjaśniał natomiast, obalając po drodze kilka mitów, co sprawia, że ludzie są szczęśliwi. Zapamiętajmy zwłaszcza, że nie jesteśmy szczególnie skuteczni w przewidywaniu własnych przyszłych uczuć, a czynniki, które według badań wpływają na nasze



WOJCIECH KARLIŃSKI / COPERNICUS FESTIVAL X3

Po lewej: Warsztaty psychologiczne „Związki. Przypadek czy przeznaczenie”. Prowadzi MAGDALENA ŚMIEJA.

Po prawej:
KS. MICHAŁ HELLER, FILOZOF:
„Ewolucja biologiczna wyjaśnia wszystko z wyjątkiem samej siebie. Nie można jej wyjaśnić bez odwołania się do praw fizyki. Strategia ewolucji jest częścią matematycznej struktury wszechświata”.
Oglądaj na powszech.net/ksheller i powszech.net/fatum



ADAM WALANUS

DOROTA SEGDA, AKTORKA:
„Aktorstwo wymaga spotkania swojego mistrza. Nauczanie na tradycyjnym uniwersytecie polega na czymś innym niż kształcenie w szkole aktorskiej”.
Nagrania spotkań ze wszystkimi gośćmi pasma „Śniadanie Mistrzów” będą dostępne na kanale youtube.com/copernicuscenter



zadowolenie z życia, to niekoniecznie te, o których mówili nam nasze matki.

Z drugiej strony – przypadek może stymulować kreatywność. Z przypadku wywodzą się niekiedy wielkie odkrycia naukowe (wykład prof. Jeana-Pierre’a Lasoty uzmysławia nam, że przypadkowe jest przede wszystkim nazwisko odkrywcy), jak i dzieła sztuki. O roli niepozornych zdarzeń w procesie tworczym rozmawiali na tegorocznym festiwalu zarówno poeci, znawcy sztuki i muzykolodzy, jak też satyrycy, fotografowie i reportażyści. Wszystkie te rozmowy złożyły się na pasmo „Perceptio”, poświęcone dialogowi pomiędzy teorią a praktyką sztuki. Sztuka, zwłaszcza współczesna, chętnie bazuje na błędzie, losowości, chaosie... Morton Feldman, którego utwory zagrał na otwarciu festiwalu John Tilbury, miał ponoć, zgodnie z radą swojego nauczyciela, komponować dla ludzi z ulicy. Kłopot w tym, że gdy wyrzał przez okno, ulicą szedł właśnie Jackson Pollock... Twórczy potencjał przypadku pokazują informelle Tadeusza Kantora (które można oglądać w Cricotece do 25 czerwca), jazzowe improwizacje czy spontanicznie wykonane (choćby telefonem komórkowym) fotografie.

THÉOPHILE GAUTIER W 1845 R. napisał słynne zdanie: „Przypadek to pseudonim Boga, który nie chce się pod czymś podpisać”. Gdy przebijemy się przez pomysłową retorykę tej wypowiedzi, odkryjemy ważną myśl. Przypadek widziany przez okulary fizyki czy psychologii stanowi intrygujący problem: mówi sporo o naturze świata, ale także o naszych umysłach. Jednak gdy tylko przyjmujemy perspektywę teologii, przypadek z intrygującej zagadki przemienia się w doniosłe zagadnienie egzystencjalne. Dlaczego prawa natury nie są w pełni zdetermino-

wane? Czemu Bóg – lub, jak kto woli, Natura – uczynił z przypadku „paliwo wszechświata”? Czy nie było innego wyjścia, czy też raczej istnienie przypadku samo jest przypadkowe?

Tego typu pytania można by mnożyć. Wykraczają one daleko poza ramy refleksji naukowej, ale to wcale nie znaczy, że da się je po prostu zignorować. Dotykają bowiem tego, co dla nas najważniejsze, nawet jeśli próbujemy udawać, że nas w ogóle nie dotyczy. W codziennych zmaganiach ze światem przypadek pełni podwójną rolę: wywołuje w nas niepokój, ale równocześnie skłania do myślenia. Tym bardziej czyni to Przypadek pisany przez duże P, czyli fakt, że wszystko, co nas otacza, łącznie z nami samymi, jest niekonieczne. Wiąza się z tym tak ważne kwestie, jak pytanie o Fatum, wolną wolę czy sens wszechświata, które w trakcie Copernicus Festival były tematem wykładu Adama Zagajewskiego „O życiu w wolności”, dyskusji pomiędzy Adamem Zagajewskim a Karolem Tarnowskim („Niekoniecznie. O przestrzeniach wolności”) oraz debaty „Fatum”, w której udział wzięli ks. Michał Heller, Wojciech Bonowicz, Krzysztof Zamorski oraz Bartosz Brożek.

Przypadku nie da się zapewne oswoić, a pytania z nim związane nie doczekają się ostatecznych odpowiedzi. Ale namysł nad nimi nie jest nigdy czasem straconym, szczególnie wtedy, gdy jest choć trochę nieprzypadkowy. ©

BARTOSZ BROŻEK jest profesorem prawa, filozofem i kognitywistą, prodziekanem Wydziału Prawa i Administracji UJ oraz członkiem rady programowej Copernicus Festival. BARTŁOMIEJ KUCHARZYK jest prawnikiem i psychologiem, dyrektorem wykonawczym Copernicus Festival.

JA PAS

KATARZYNA NOSOWSKA, PIOSENKARKA:

Cudowne było uświadomienie sobie,
że nie zdobędę stuprocentowej akceptacji otoczenia.
Szkoda, że tak późno to zrozumiałam.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Kiedy czytam w „A ja żem jej powiedziała”, że pisanie to samotny moment, w którym z chmary słów wytapujesz te, które najlepiej opowiedzą emocje, zastanawiam się, jakie były Twoje pierwsze literackie wprawki.

KATARZYNA NOSOWSKA: W wieku 16 lat pomyślałam, że chciałabym w krótkich formach zawrzeć swoje nastoletnie przeświadczenia. Wydawało mi się, że świetnie mi te próby poszły i zaniósłam je do pani od polskiego. A ona powiedziała, bym się w to już nie bawiła.

Byłam zdruzgotana. Z gruntu mam niską samoocenę i nie walczę o swoją pozycję. Więc natychmiast uznałam, że to, co powiedziała, jest potwierdzeniem mojej opinii na własny temat. I przestałam pisać.

Do czasu, gdy w 1992 r. powstał zespół Hey i zaczęłaś pisać piosenki.

Nakazali mi to odgórnie. Powiedzieli, że najlepiej będzie, gdy sama będę je pisać, chłopcy raczej się nie kwapili. Pierwsze moje próby były nieporadne – byłam przekonana, że to nie moja dziedzina. A tak naprawdę stwierdziłam, że nie będę się przesadnie oglądać na opinie ludzi na temat mojego pisania, kiedy zaszłam w ciążę.

Piszesz o tym, że do „kawalerki pod pępkim” wprowadził się Twój syn.

Wówczas zyskałam większą władzę nad własnymi emocjami. Czułam się, jakbym była impregnowana przeciwko wszystkim i wszystkiemu. To był moment, w którym odważyłam się zabrać głos. Pogodziłam się z tym, że ludzie mają prawo, by tego nie przyjąć i nie akceptować.

A książki? Jakie Cię zachwyciły?

Czytałam hurtowo, mam wrażenie, że dzięki temu przetrwałam jako człowiek. Byłam bardzo samotną osobą, jedyńcem, na dodatek w domu panował raczej zimny chów. Musiałam pracować nad ocenami, przynosić w zębach czerwony pasek i w związku z tym nie miałam czasu ani śmiałości, by prowadzić rozbudowane życie towarzyskie. Książki były dla mnie całym światem – odkąd zaczęłam czytać, rozpoznałam w nich ochronę dla siebie. Uwielbiałam chorować, bo wtedy mama robiła mi herbatę, zajmowała się mną w szczególny sposób, a ja czytałam.

Co czytałaś?

Pierwsze dwa tomy „Baśni” Andersena, w takiej twardej oprawie i z czarną, papierową obwolutą. Trzeciego tomu panicznie się bałam. Zerkając z nieśmiałością na ilustracje, które mnie przerażały, i nigdy nie odważyłam się go przeczytać. Ale te dwa tomy nagminnie. Jeszcze była „Śpiewająca lipka”. Tymi bajkami katowałam się bez

przerwy. A w szkole – akurat należałam do karnych uczennic – czytałam wszystkie obowiązkowe lektury, by przejść natychmiast do nadobowiązkowych.

W późniejszym okresie zależało mi, by czytać jak najwięcej tych, o których w szkole w ogóle nie mówili. Tutaj miałam duże szczęście: mój pierwszy chłopak, starszy ode mnie o siedem lat, mnóstwo czytał. Nasz przedziwny związek polegał na tym, że on mi podsuwał zestawy książek. Przychodziłam do niego niby po miłość, a on mnie w rzeczywistości edukował „Mistrzem i Małgorzatą”.

Już jako osoba dojrzała odkryłam Hrabalę. To był dla mnie absolutny ideał. Uwielbiałam sposób, w jaki opowiadał świat – z przymrużeniem oka, lekkim dystansem, serdecznością.

W „A ja żem jej powiedziała” Ty sama opowiadasz świat z pozycji niezależnej kobiety. W trakcie lektury



KATARZYNA NOSOWSKA była w tym roku Ambasadorką Akcji Żonkile, upamiętniającej 75. rocznicę Powstania w Getcie Warszawskim, organizowanej przez Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN.



→ **zastanawiałam się nad kobietami z Twojego otoczenia. Które są ważne?**

Mama, rzecz jasna, z nią mam szczególny kontakt. Czasami zbyt bliski. Tu kłania się jej całe życie z moim ojcem. Był marynarzem, więc opuszczał dom na parę miesięcy. Pojawiał się na chwilę, a potem znowu znikał. Rodzicom udawało się dbać o relację – mama odwiedzała ojca na statku, natomiast ja miałam kontakt głównie z mamą. Taka jedynaczka bez przerwy na wyciągnięcie ręki... Ważna jest jeszcze siostra mamy, dwa lata od niej młodsza, moja chrzestna, jedyna osoba w rodzinie, która nie postrzegała mnie w kategoriach dziwnego dziecka. A może trochę postrzegała, ale uznała, że to dobra droga wyjściowa, by zostać artystą, choć w jakiej dziedzinie, to już ciotka nie spreeczowała. Ciocia z mamą są jak siostry syjamskie – codziennie widzą się, piją kawę, chodzą do kina, nawet do mnie przyjeżdżają razem, bo jeżeli mama wyjeżdża, a ta druga zostaje, to tamta cierpi. Kłóć się potwornie, mają mnóstwo wysokich emocji z rzędu tych nieprzyjemnych. Ale żyć bez siebie nie potrafią.

Jeszcze jakaś ważna kobieta?

Babcia. Jej historia naznaczyła wszystkie kobiety, które później się urodziły w tym

rodzie – moją matkę, jej siostrę, również mnie. Jednego dnia – 1 listopada 1943 r. – Niemcy zamordowali całą babci rodzinę, dwanaście osób: jej rodziców, rodzeństwo i dzieci rodzeństwa. Gdyby nie przypadek, babcia byłaby wśród nich. Dzień wcześniej pojechała na groby do Łomży, koń okulał i nie dała rady wrócić. Gdyby koń był sprawny, toby nas nie było.

Jaka była babcia?

Chłodna, dziwna, nieobecna. Tak ją pamiętałam, żyła dość długo. Moja mama do tej pory nosi w sobie ranę, jest w niej płacz małej dziewczynki, która czuje się zaniedbywana. Bo babcia na ciepło do własnych dzieci nie znalazła w sobie ani przestrzeni, ani siły. A mama nie umiała przekazać porządnej dawki ciepła mnie, bo sama go nie знаła. Więc historia babci wpłynęła na mamę, jej siostrę i na mnie. Jestem osobą, która ma chyba zamknąć tę dziedziczną traumę, także po to, by mój syn mógł żyć inaczej. Czyli bez lęku otwarcie wyrażając emocje.

Babcia opowiadała o tym, co się stało?

Tak, ale nigdy nie zrobiło to na mnie większego wrażenia. Może opowiadała po łebkach?... Wcześniej tego tematu nie do-

tykałam, aż trzy lata temu coś mnie tknęło i sama pojechałam do tego miejsca w lesie, mocno teraz zarosniętego. Wiedziałam, że przed samym mordem kazali im kopać dla siebie groby.

Dlaczego dopiero trzy lata temu tam pojechałaś?

Nie umiem tego wytłumaczyć... Widocznie ten moment był najodpowiedniejszy, dotarło do mnie, że odpowiedzi na niektóre pytania odnaleźć można w przeszłości.

Za stara jestem, by doszukiwać się na zewnętrznej genezy moich wewnętrznych zmagani. Ale poczułam, że lęk i niska samoocena są wianem przekazywanym w naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie.

„Jestem za stara” – powiedziała 47-letnia Katarzyna Nosowska.

Jeżeli warto coś szczególnego powiedzieć młodym dziewczynom, to właśnie to, by się nie bały przemijania. Że koło pięćdziesiątki dla kobiety zaczyna się do-bry czas.

No nie wiem, nie wiem.

Starość jest decyzją, którą podejmujemy na poziomie umysłu. Przychodzi moment, kiedy najgłębsze „ja” woła o uwagę – nie

Nosowska mówi „stop”

NAJPIERW ROZŚMIESZAŁA fil-mikami w internecie, gdzie wystąpiła jako aktorka i reżyserka w jednym. Z finezyjną ironią obnażała mechanizm współczesnej kultury, skazującej kobiety na straceńczy bieg o puchar młodości, szczupłości, zgrabności, gdzie bieżnią prowadzącą na podium mają być diety cud, chirurgia plastyczna, kwasy kielbasiane, fitness itp. Słuchając Katarzyny Nosowskiej jasne było, że ma do powiedzenia o wiele więcej. Naturalną konsekwencją jest więc to, że popęliła książkę, a kto ją zna jako autorkę tekstów piosenek, ten wie, że słowami umie nazwać to, co pomyśli głowa. Felietony zebrane w „A ja żem jej

powiedziała” (wyd. Wielka Litera) nadal przenika duch rozrywki, tyle że autorka jest tu odważniejsza – w tematy wnika głębiej, mocniej, bardziej szczerze. I wypuszcza się na szerokie obyczajowe wody. Chce zajrzeć pod podszewkę świata. Nie ma oporów, by kierować się tam, gdzie brzydko i boli. Wyznaje: kłamałam od dziecka, ze strachu. „Mój ojciec był szorstki, bardzo wymagający, żyłam w przekonaniu, że najpewniej mnie nie lubi. Poprzeczkę oczekiwań umocował na wysokości, do jakiej nie miałam szans doskoczyć. Kłamałam, by mnie polubił, lub nie zniechęcił jeszcze bardziej”.

Radzi: jeżeli mówisz do chłopaka: „piłeś”, a on na to „nie”, a potem się okazuje, że barek jest nawet za kaloryferem – to w nogi. Dedukuje: „żona, którą uderzy weganin, powinna go przeprosić – weganin to ludzie wyjątkowo wrażliwi na krzywdę innych istot. Nie wspominając już o tym, że żona weganina katolika lub weganina buddysty powinna przeprosić za uderzenie dwa razy. Bo to istoty podwójnie wrażliwe”. To, o czym Nosowska śpiewa i pisze, odbieram jako głos mojego pokolenia. Sama traktuję ją jako siostrzaną duszę – nosimy to samo imię, urodziłyśmy się w tym samym roku, w tym samym czasie zostawałyśmy matkami, z tą samą nadzieją patrzyłyśmy

w przyszłość, kiedy runął mur berliński. Starzejemy się w tym samym tempie i z tym samym wysiłkiem wciągamy brzuchy. Nosowska opowiada o nas – kobietach przed pięćdziesiątką, które zostały wychowane do tego, by służyć rodzinie, państwu, Bogu i ojczyźnie, a w labiryntach obowiązków zgubiły swoje potrzeby. Które zapomniały, kim są, choć świetnie wiedzą, kim są ich bliscy – rodzice, dzieci, mężowie. Które dla dobrej sprawy (czytaj: utrzymania rodziny) zaciskały zęby, znośząc nawet przemoc i upokorzenia. Nosowska mówi: stop, nie zbawimy świata. Zaczniemy zbawiać siebie. Zostało trochę czasu – coraz mniej, więc lepiej się nie ociagać.

© © KATARZYNA KUBISIOWSKA

sposób już przed sobą uciec. To nie jest czas dla świata, nie dla ludzi, nie dla partnera, nie dla męża, nie dla dzieci... Trzeba się zastanowić, ile z tych rzeczy, które wtłoczono w nas na przestrzeni całego życia, jest naszych. Czy rzeczywiście zgadzamy się z tym, że pewnych rzeczy robić nie wypada lub trzeba – bo tak nam powiedziano? Czy syn lekarza rzeczywiście ma obowiązek kontynuować rodzinną tradycję, nawet jeśli to działanie siłowe? Czy musimy trwać w związku, który nie rokuje, mimo kolejnych inwestycji emocjonalnych, dochodząc do punktu, w którym tracimy do siebie szacunek?

To jest moment, by dokopać się do istoty tego, kim jesteśmy, czas na spotkanie z dzieckiem w sobie. Widzę to po mamie. Ona ma 70 lat, a okresowo przemawia w niej dwulatka. I zachowuje się jak dziecko: płacze jak dziecko, ma żal jak dziecko i wierzga jak dziecko. My się uczymy zapominać o sobie, naszych pragnieniach na przestrzeni życia, bo jesteśmy oddane wszystkiemu innemu – rodzicom, mężowi, pracy, córkom i synom. A dojrzałość oferuje przestrzeń, którą możemy wykorzystać, by dać sobie czułość i uwagę, której bezskutecznie wyglądaliśmy w relacjach z innymi.

Co to właściwie oznacza: czułość dla siebie?

Zrozumiałam, że świat nie zaspokoi moich dawnych, dziecięcych potrzeb, które bez premedytacji, ale jednak nie zostały zaspokojone przez rodziców. Niegodnym jest wykorzystywać dziecięce mikro-traumy w celu usprawiedliwienia dorosłych błędów. To świetny sposób na unikanie odpowiedzialności za własne życie, przerzucanej na otoczenie. Wiem na pewno, że warto zdobyć się na wysiłek spotkania ze sobą w prawdzie. Uczę się być dla siebie oparciem.

Gdybym nie czytała twojej książki, to pomyślałabym, że mówi do mnie osoba, która przeszła wieloletnią psychoterapię. A Ty piszesz, że nic podobnego.

Moja „terapia” polega na tym, że istotne sprawy przegaduję sama ze sobą. Stosunkowo wcześniej, bo jeszcze przed trzydziestką, dotarło do mnie, że naprawdę jesteśmy kreatorami rzeczywistości, która staje się naszym współudziałem. Od przyjął do wiadomości do wprowadzić w życie – droga daleka. To żmudny proces, ale



MARLENA BIELIŃSKA

KATARZYNA NOSOWSKA (ur. w 1971 r. w Szczecinie) jest piosenkarką, autorką tekstów, wokalistką zespołu Hey. Wydała z tą grupą 19 płyt i 6 albumów solowych. W 2013 r. została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi, zdobyła 21 Fryderyków. W wydawnictwie Wielka Litera ukazała się właśnie jej książka „A ja żem jej powiedziała”.

wart zachodu. Można oczywiście przechodzić go pod czujnym okiem specjalisty, ale ja wolę sama, bo w opowieści snutej z kizetki coś może umknąć, coś można przeinaczyć, a nawet próbować ukryć. Oczywiście, bezcenny jest kontakt z literaturą fachową. Ostatnio edukuję się ze współuzależnienia.

Edukujesz się ze współuzależnienia, bo twój partner, jak piszesz, „zachorował na raka duszy”. Ewa Wozydyłło tak nazwała chorobę alkoholową.

Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak powszechne jest to zjawisko, dopóki nie rozpoznamy, że jest naszą codziennością. To bardzo trudna lekcja, ale z perspektywy czasu uznaję ją za jedną z najcenniejszych. Miłość, od której często oczekujemy jedynie fajerwerków, pojmuję dziś jako dar, który wymaga od nas w pewnych okolicznościach wielkiego hartu ducha, cierpliwości, szacunku dla człowieka w chwilach upadku. Czasem musi być twarda,

nakazuje dokonać radykalnego cięcia. Wszystkie te lekcje odrobiłam. Chorobie partnera zawdzięczam coś bezcennego: wiem już, czego nie chcę na pewno.

Tego, co śpiewasz w nowej piosence „Ja pas”? Pierwsze jej wersy brzmią: „Miała być jedna lampka, dwie. / Poszły konie wio, było lampek moc, ej”.

Środkowe: „mam w domu syf, / Oto cały Ty, ej, / Oto cały Ty, ej, / W żłobie leżysz znów, ej, / Nie przybieży nikt, eee”.

Ostatnie: „Wróć, gdy przestaniesz tańczyć, / Gdy wygrzebieś się z serpenty, / Wróć, gdy się skończy bal”.

Wiem, że kochać prawdziwie można tylko nie rezygnując z siebie. Chcę o sobie zadbać – dla współuzależnionych to podstawa. Nie skupiam się na chorobie ukochanego – jego sprawa, on musi chcieć sobie pomóc. Ty zajmij się sobą. Nie czułam się nigdy tak dobrze jak teraz. Napisałam książkę, nagrywam płytę.

Doszła jeszcze odwaga. Poruszyło mnie, jak otwarcie piszesz o fizycznej przemocy, której zaznałaś. Kobiety wstydzą się do niej przyznawać.

Tego wstydu nie rozumiem. Wstyd jest dla tego, który podnosi rękę. Nie chcę też powiedzieć, że tylko kobiety mają ciężko, mężczyźni również. W ogóle my, ludzie, mamy ciężko.

Przemoc fizyczna jednak częściej płynie od mężczyzn.

„Ja pas” zaśpiewałam, by zamknąć w sobie temat choroby mojego partnera. A ta piosenka spowodowała, że zaczęły odzywać się do mnie kobiety w różnych innych sprawach, opowiadają o zdradach i przemocy. Jedna z nich napisała, że ta piosenka sprawiła, iż ona powiedziała sobie: „Wystarczy, nie będę już tego dalej znosić”.

Jeśli nie pozostanie to w sferze deklaracji, to ta kobieta zrobiła siedmiomilowy krok.

Często myślę, że kobietom tak trudno odejść, bo żyją w przeświadczeniu, że przynależąc do mężczyzny zyskują szczególną wartość. Mało mówi się o istocie bycia razem, o miłości w jej najgłębszej i idealnej odsłonie, która nie oznacza bycia częścią związkowej masy, lecz dobrowolne, równoległe wzrastanie dwóch niezależnych bytów. Walczyć o szacunek w związku? ➔

→ Żądać od partnera rezygnacji z własnych potrzeb? To się nie mieści w mojej definicji prawdziwej miłości. Choć to trudne, trzeba czasem stanąć we własnej obronie.

I odejść?

Tak – dla siebie, dla dzieci. Jeśli decyzja zostanie podjęta, pojawia się możliwości jej realizacji.

Gdy twoja mama opuszczała rodzinne gniazdo, babcia ją wyposażała w garść sprawdzonych rad, a wśród nich: „lepiej, żeby kobieta kochała mężczyznę ciut mniej niż on ją”.

A mama powtarzała to mnie. W podtekście szedł komunikat: angażuj się umiarkowanie, bo jak zdradzi, to przynajmniej będziesz mniej cierpiała. Dla mnie to jest handel własną duszą. Nie zgadzam się z tym. Uważam, że trzeba odważnie wchodzić w związek. Bez hamulców, ze świadomością ryzyka.

Tak może powiedzieć tylko osoba, która zbliża się do piątej dekady życia.

To, że będę miała wkrótce pięćdziesiąt lat, robi na mnie wrażenie. W ciągu jednego wieku na świecie mogą wydarzyć się ważne rzeczy: ludzie potrafią zniszczyć całe miasto w wojnie, a potem odbudować je z gruzów i znów zacząć się radować. Wspaniale jest mieć szansę rozpocząć drugą połówkę wieku na tej planecie, nie odpuszczając w kwestii rozwoju – pracy nad sobą.

Zdarza mi się przesadnie często oceniać. Teraz wiem dokładnie, kiedy to się dzieje – wtedy zawstydzam się i rucam w przestrzeń: „przepraszam”. Ambicję mam taką, by któregoś dnia obudzić się i nie ocenić ani razu niczego i nikogo. Byłoby cudownie nie zasilać wahadła agresji własną energią. Uszanować ostatecznie jednostkowe prawo do podążania własną ścieżką – fakt, że każdy rozwija się we własnym tempie, popełnia błędy i może być rozgrzeszony.

Mówiłaś, że w pisaniu odblokował Cię moment, kiedy zaszłaś w ciążę. Interesuje mnie ciąg dalszy tej historii, czyli to, jak wychowuje się chłopca w dzisiejszych czasach?

Mój syn ma delikatną konstrukcję psychiczną. Jest świetnym obserwatorem, ale się przejmuję. Prawdopodobnie ja sama sprzedałam mu wirus przejmowania się.

Chcę o siebie zadbać,
bo dla współzależnionych
to podstawa.

**Nie skupiaj się
na chorobie ukochanego,
to jego sprawa,**

on musi chcieć sobie pomóc.
Ty zajmij się sobą.

Mówię mu, że warto się zdystansować, ale on tego nie potrafi, zawsze jak jest jakiś temat, to on jest w pełni zaangażowany. Zależało mi na tym, by Mikołaj wzrastał w szacunku dla kobiet. Powtarzałam: kobiety przodem. Lub: o kobiety trzeba dbać. Dużo rozmawiamy, nie mamy tematów tabu.

Czyli kluczem do bliskości jest rozmowa.

Czujemy się bezpieczne, kiedy te nasze dzieci zdobędą nie wiadomo jakie szczególne wykształcenie. Mój syn na razie nie poszedł na żadne studia. Wspieram go podczas oczekiwania, aż mu się objawi prawdziwa idea dotycząca tego, w jakiej pracy chciałby spędzić życie. Bo jeśli nie widzisz sensu w tym, co robisz dzień w dzień przez 8-12 godzin, możesz oszaleć. Zanim przytrafiło mi się śpiewanie, pracowałam w różnych miejscach – najstraszniej było na poczcie, wytrwałam tam rok bez dwóch tygodni. Teraz jestem na tyle wyrozumiała matką, że wolę dzieciaka wesprzeć finansowo, byle cierpliwie szukał własnej ścieżki i by częścią jego krwioobiegu nie stała się frustracja.

Tęsknisz za swoją młodością?

Nie mogę tęsknić za nielubieniem siebie. Od dziecka słyszałam: to nie dla ciebie. Właściwie miałam nie dać rady w żadnej sprawie – taki wyciągnęłam wniosek z tego, co mi mówiono. To są wgrane we mnie taśmy, które, perfekcyjnie dobrane w konkretnych okolicznościach, zaczynają się odtwarzać. Ileż ja propozycji ze strachu odrzuciłam, przeświadczona o porażce jeszcze przed startem!

Propozycji wydania książki nie odrzuciłaś.

Bo to jestem nowa ja. Dwa lata temu bym nie przyjęła propozycji napisania książki. A nawet gdybym się zgodziła, to

nie doprowadziłabym planu do końca. Mniej się teraz lękam porażki. Zawsze zabiegałam o choćby odrobinę sympatii. Cudowne w pięćdziesiątce jest uświadomienie sobie, że nie zdobędę stuprocentowej akceptacji otoczenia. Szkoda, że tak późno to zrozumiałam.

Oglądając zabawne filmy w internecie z Twoim udziałem i szczególnie lubiąc ten dotyczący domowych sposobów powiększania ust, mam refleksję, że wśród kobiet z naszego pokolenia – urodzonych na początku lat 70. – jest sporo zadbanych, wysportowanych, świetnie ubranych, ale zgorzkniałych i smutnych.

Trzeba pamiętać o tym, że nasi dziadkowie to jest pokolenie, które przeżyło wojnę, a nasze matki i ojcowie są powojenni. Wojna musi być straszną traumą... Nie należy się dziwić, że pokolenie, które jej doświadczyło, to ludzie pokiereszowani emocjonalnie w stopniu uniemożliwiającym odessanie codzienności ze wspomnień o niej. Musiały wpłynąć na wychowanie naszych rodziców.

Jesteśmy pierwszym pokoleniem, które może w praktyce stosować wiedzę z dziedziny psychologii. To mnie, a nie mojej mamie, powiedziano, że dzieci trzeba karmić na żądanie, a nie według ustalonych pór. Sądzę, że zgorzknienie i smutek wzrastają na gruncie bezkrytycznej wiary w rzekomo godne naśladowania, współczesne wzorce, brak zaufania do siebie. Niewiara w to, że mamy prawo spytać: co lubię? I szczerze sobie na nie odpowiedzieć. Nie musimy lubić tego, co jest warte sympatii z nakazu.

Dużo się uśmiechasz w czasie naszej rozmowy.

Bo się cieszę. Powodów do uśmiechu jest naprawdę wiele. Wystarczy uruchomić dostępne zmysły. Mamy przecież wiosnę! Jak przyjdzie zima, też się będę cieszyła. Może zima bywa przykra, jest nieprzyjemnie i samochód nie odpala, ale wtedy zachwycają mnie piękne w swojej nagości drzewa. I świadomość, że wiosną wypuszczą liście. Za moim oknem rośnie stary klon. Latami nie zauważałam zmian pór roku. A teraz patrząc na niego myślę, że ja mogę tego nie doczekać, ale to nie ma znaczenia, klon ponownie zakwitnie. On ma swój niezmienny cykl. To mnie zachwyca. I to mnie wzrusza.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA



MATERIAŁY PRASOWE

Jules Spinatsch „Ślepy zaulek”. Dzięki uprzejmości Christophe Guye Gallery

Poza strefą komfortu

PIOTR KOSIEWSKI

W Krakowie trwa szesnasta edycja najważniejszej polskiej imprezy poświęconej fotografii. Jej przewodnim wątkiem jest to, co nie jest widziane. Chociaż jest widzialne.

IRIS SIKKING, KURATORKA TEGOROCZNEGO Miesiąca Fotografii w Krakowie, przywołuje słowa Manuela Castellsa: „społeczeństwo sieci ukonstytuowało się jako system globalny”. Hiszpański socjolog wydał swą głośną książkę „Społeczeństwo sieci” w 1996 r. Świat, który opisywał, dopiero się wtedy tworzył. Dzisiaj jego proroctwa brzmią jak oczywistość. Przybyło jednak wątpliwości i zastrzeżeń. Bo ten sieciowy świat raczej się zamyka, niż otwiera. Owszem, ułatwia przepływy

treści, ale tylko w obrębie hermetycznych baniek. Zamiast globalnej społeczności, przypominają o sobie narody.

Dotrzeć do rzeczywistości

Tegoroczny temat Miesiąca „Przestrzeń przepływów. Obrazowanie niewidzialnego” został rozpisany na pokazy 22 artystów lub duetów twórczych rozproszonych po całym mieście: od Bunkra Sztuki i ZPAF Gallery, po Galerię Starmach, Dom Norymberski oraz Muzeum Sztuki

i Techniki Japońskiej Manggha. Wszystkie te prezentacje układają się w wielowątkową narrację. Nie ma tu narzucanej hierarchii, głównych i pobocznych nurtów. Każdy wybierając kolejność oglądanych prezentacji układa sobie własną opowieść o współczesnym świecie. Nie jest to zresztą łatwe zadanie, a niektóre prace są aż nadto hermetyczne.

W tej opowieści o „społeczeństwie wiecznej ulotności” są trzy główne wątki: migracje do Europy i wewnątrz kontynentu, ekologia oraz dane cyfrowe, ich przechowywanie i przetwarzanie. Wszystko to tematy ważne, a nawet – po kryzysie uchodźczym z 2015 r. czy aferze Cambridge Analytica – nie do ominięcia. Tym trudniej w istotny sposób o nich mówić. Jednak – przynajmniej niektórym twórcom – to się udało. Eva Leitolf rozmawiała z uchodźcami i imigrantami ekonomicznymi, strażą graniczną, lokalnymi politykami, związkowcami i aktywistami. Przeglądała prasę i internet. Fotografowała →



Michał Łuczak, z cyklu „Wydobycie”, 2017–2018



Rafa Raigón „Bez tytułu 5”, z cyklu „Ikigai”, 2018 r.

→ miejsca w całej Europie, do których trafiają imigranci. Na zdjęciach – pokazanych w Muzeum Etnograficznym – można zobaczyć małe miasteczko, sad pomarańczowy czy pokład jakiegoś statku. To przestrzenie bez ludzi. O ich mieszkańcach oraz tych, którzy w te miejsca przybyli, mówią teksty umieszczone na pocztówkach prezentowanych obok fotografii artystki. To krótkie miniraporty. Sumaryczne opisy stanu rzeczy. „W lutym 2011 miejscowy ksiądz opisał sytuację w Schöllnstein jak »przypominającą tę na wyspie Lampedusa«. W tamtym momencie 71 stałych mieszkańców oraz 90 uchodźców znajdowało się w wiosce, w której nie było szkoły, lekarza, sklepów. »Süddeutsche Zeitung« zacytowała burmistrza: »Czarni z wielkim entuzjazmem chcą się witać, ale my ich nie rozumiemy«. Uchodźca z Somalii: »Tutaj nic nie ma, tracimy zmysły«» – można przeczytać na jednej z kartek.

Esther Hovers (Bunkier Sztuki) zajęła się danymi zbieranymi przez wszechobecne dziś kamery telewizji przemysłowej. Wybrane przez nią zdjęcia, zarejestrowane w jednej z prestiżowych dzielnic Brukseli, wydają się niewinne. Na czystych uli-

cach, w pełnym słonecznym świetle spacerują ludzie. Starszy mężczyzna schodzi po schodach, młody chłopak biegnie po chodniku... Jednak nasze zachowania, ruchy i gesty są dziś stale śledzone i analizowane. Wyszukiwane są „anomalie”, to, co może wydawać się niezwykłe. Obok zdjęć Hovers umieściła rysunki pokazujące, które z zachowań eksperci od obserwacji uznali za podejrzane.

Natomiast Agnieszka Rayss (także w Bunkrze Sztuki) udokumentowała pozostałości po sowieckich próbach nuklearnych w północnym Kazachstanie. Są tu zdjęcia archiwalne w dawnym mieście Semipałatyńsk 21 (obecnie Kurczatow), ale też wykonane obecnie. Rayss stworzyła pracę o wpływie – często tragicznym – prac nad bronią atomową na życie mieszkańców i na tamtejsze środowisko naturalne. Jednak najważniejszym bohaterem jest Andriej Sacharow: wybitny fizyk, obrońca praw człowieka i laureat Pokojowej Nagrody Nobla. Artystka opowiada o jego zaangażowaniu w przemysł wojenny ZSRR i o jego własnych rozliczeniach z przeszłością. „Czułem się po prostu związany ze sprawą (...) tworzenia potęgi kraju, aby zapewnić mu pokój po tej strasznej wojnie (...). Począ-

kowo, bez względu na wszystko, wbrew temu, co w życiu widziałem, sądziłem, że państwo radzieckie to wyłom ku przyszłości, pewien (choć jeszcze niedoskonały) wzór dla wszystkich krajów” – wyjaśniał po latach.

Przeszłość okazuje się tym, co nas definiuje. Do niej nieustannie się odwołujemy. Jest dla nas ważna, podobnie jak miejsce, tradycja i obyczaje. Tudor Bratu (Muzeum Etnograficzne) opowiada o sobie i swojej rodzinie, o splataniu się indywidualnych losów i historii zbiorowej. Mówi o babce wysiedlonej z rodzinnej miejscowości po zajęciu przez ZSRR części Rumunii, o ojcu, który uciekł z kraju przed dyktaturą Ceaușescu, i o własnej emigracji do Holandii (trafił tam jako chłopiec w 1987 r.). Pamięć rodzinna miesza się tu z historią Rumunii w drugiej połowie XX wieku. Z kolei „9 bram, z powrotem ani jednej” Agaty Grzybowskiej (Galeria Pauza) to relacja z Bieszczad jako swojej utopii: miejsca poza cywilizacją i społecznymi normami. Bohaterowie pracy artystki osiedlali się tam od lat 50. do 80. XX wieku. Na wystawie są ich zdjęcia, a także samych Bieszczad, czarno-białe, surowe, trochę archaiczne – jakby pochodziły z innej epoki.



MATERIAŁY PRASOWE X3

Katja Stuke i Oliver Sieber, z cyklu „Ty i ja”, 2014 r.

Po co nam fotografia?

Kolejne edycje Miesiąca pokazują, jak dalece odeszliśmy od zwyczajowego rozumienia wystawy fotograficznej. Dzisiaj jest na niej miejsce dla odbitki zdjęciowej, jak i na pokaz slajdów, wideo, książkę i instalację.

Wystawą może być nawet plik czy aplikacja w internecie. „Nowa architektura granic europejskich” Łukasza Skąpskiego (2016) w Muzeum Etnograficznym pokazuje, że formuła Miesiąca Fotografii staje się bardzo pojemna. Wykonał on makiety architektoniczne. Zazwyczaj w ten sposób dokumentuje się ważne dawne i współczesne budowle. Skąpski zajął się ogrodzeniami granicznymi, jakich wiele w ostatnich latach wzniesiono w Europie. To minimalistyczne konstrukcje, często starannie zaprojektowane – łatwo zapomnieć o ich podstawowym, nadzorczo-represyjnym przeznaczeniu. Stają się symbolami architektury drugiej dekady XXI wieku.

Tegoroczny Miesiąc Fotografii pokazuje wreszcie ważną zmianę: wkraczanie fotografii (czy szerzej sztuki) w sferę dziennikarstwa i jego przenoszenie do przestrzeni galerii czy muzeów. Mówi się nawet o „dziennikarstwie estetycznym”, czyli – jak to określa Alfredo Cramerotti – o „uprawianiu artystycznej praktyki

w formie badań sytuacji społecznych, kulturowych lub politycznych. Wyniki tych badań nabierają kształtu w kontekście sztuki, a nie w ramach procesu ich upowszechniania w prasie i mediach”. W Krakowie można zobaczyć przykłady śledztwa politycznego, rozważania na temat ekonomii, przemian społecznych i zmian w środowisku naturalnym.

Czy artyści potrafią lepiej niż inni opisywać, ale też zmieniać rzeczywistość? Przykład Forensic Architecture, brytyjskiej interdyscyplinarnej grupy badawczej, wykorzystującej techniki i technologie architektoniczne do badania przypadków przemocy państwowej i łamania praw człowieka, pokazuje, że jest to możliwe. Ich wideo-śledztwo dotyczące zamordowania przez neonazistów w 2006 r. tureckiego właściciela kafejki internetowej wymusiło reakcję niemieckich władz, a jednocześnie Forensic Architecture za tę akcję – pokazaną na documenta 2014 – została nominowana do Nagrody Turnera, jednego z najbardziej prestiżowych wyróżnień w świecie sztuki.

W Bunkrze Sztuki można obejrzeć wyniki współpracy brytyjskiego fotografa Edmunda Clarka i znanego dziennikarza śledczego Croftona Blacka. Zajęli się oni

tzew. tajnymi więzieniami CIA w Polsce, Rumunii i na Litwie, a także w Tajlandii i Afganistanie, w których po 11 września 2001 r. przetrzymywano ponad sto osób podejrzanych o związki z Al-Kaidą. Autorzy pokazują miejsca uwięzienia, lecz przede wszystkim rekonstruują sposób działania służb specjalnych, zacierania śladów, ukrywania, manipulowania poprzez kasowanie i przeróbki oficjalnych raportów oraz uciekania od odpowiedzialności prawnej.

„We współczesnych społeczeństwach, zdominowanych przez kulturę obrazu, potrzeba nam artystów zdolnych do zobrazowania złożonej rzeczywistości w sposób, który wyrzucałby nas poza naszą strefę komfortu” – przekonuje Iris Sikking.

Owszem, ale zawsze warto zachować ostrożność. Zwłaszcza w przypadku fotografii. Bowiem ona nie tylko utrwała rzeczywistość, lecz – jak pisała przed laty Susan Sontag – zmienia nasz sposób patrzenia na świat.

© PIOTR KOŚCIEWSKI

PRZESTRZEŃ PRZEPŁYWÓW.

OBRAZOWANIE NIEWIDZIALNEGO

Miesiąc Fotografii w Krakowie 2018.

Pokazy trwają do 24 czerwca br.

Kurorka Iris Sikking

12 parseków na Kessel

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Do kin trafił właśnie „Han Solo: Gwiezdne wojny – historie”. Od pierwszej odsłony sagi w 1977 r. nietracący humoru przemytnik z Korelii jest doskonałym przewodnikiem po drogach i bezdrożach przemysłu rozrywkowego.

WIĘKSZOŚĆ ANALIZ „GWIEZDNYCH wojen” skupiała się na podobieństwie sagi do klasycznych opowieści mitycznych, opisywanych chociażby przez Josepha Campbella w książkach „Bohater o tysiącu twarzy” i „Potęgą mitu”. Sam twórca sagi, George Lucas, otwarcie przyznawał się do tej inspiracji. „Gwiezdne wojny” okazywały się historią o przemianie i dojrzewaniu Luke’a Skywalker’a, o jego edypalnym starciu z ojcem i moralnych wyborach, które zaważyły na losach całej galaktyki. I tak Skywalker, odmieniany przez wszystkie przypadki, wpisywany w kulturowe toposy i poddawany wnikliwej psychoanalizie, stał się ulubieńcem antropologów.

Bohater drugiego planu

Ulubieńcem publiczności został jednak Han Solo. Pamiętam, jak w czasach wczesnoszkolnych egzaminowaliśmy nowych chłopaków na podwórku słowami „wolisz Luke’a czy Hana?”. Każdy fajny odpowiadał, że Hana. Dziewczyny podobno stawiały sobie to samo pytanie. I udzielały tej samej odpowiedzi. Dziś w internecie można znaleźć quizy, psychotesty, a nawet rozbudowane pseudonaukowe teorie na temat tego, że mężczyźni w ogóle dzielą się na „Luke’ów” i „Hanów”. Cóż, czasy się zmieniają, ale nie mity i toposy.

Postaci drugoplanowe odgrywają współcześnie rolę szczególną. Pomyślmy tylko o największych przebojach Disneya. Ich dynamika zbudowana jest wokół postaci z tła kontrpunktujących poczynania głównego bohatera. Bohaterowie drugiego planu dodają humoru scenom zbyt poważnym, zapewniają spektakularne przerywniki i wątki poboczne, czasem znów pełniąc funkcję przedłużenia czy rozwinięcia emocji bohatera, dublując lub zastępując jego poczynania. Czym byłby „Król lew” bez Timona

i Pumbi? Albo „Aladyn” bez małpki i latającego dywanu?

Taką właśnie rolę pełni w oryginalnej trylogii Han Solo. Uzupełnia i wzbogaca obraz dość jednowymiarowego Luke’a, przechodzącego przyspieszony kurs od pomocnika farmera do mistrza Jedi. Niektóre funkcje z klasycznego eposu bohaterskiego (np. miłość księżniczki, śmierć i zmartwychwstanie) zostały wręcz przeniesione z Luke’a na Hana, który okazuje się nie oddzielną postacią, lecz cieniem bohatera. Jest brakującą częścią Luke’a – emocjonalną, mniej jednoznaczną moralnie, naznaczoną przyziemnymi popędami.

Kilometry czy godziny

„Łotr 1”, poprzedni *spin-off* „Gwiezdnych wojen”, rozwijał w zasadzie jedno zdanie z pierwszej części oryginalnej trylogii: „Podczas bitwy szpiedzy Rebelii ukradli sekretne plany ostatecznej broni Imperium, Gwiazdy Śmierci”. Przez dwie i pół godziny dowiadujemy się, jak do tego doszło.

Jedno zdanie z „Nowej nadziei”, z którego wypączkowała samodzielna produkcja o Hanie Solo, to jego niefortunna przechwałka. Twierdzi, że jego statek zrobił trasę na Kessel w mniej niż 12 parseków. Problem polega na tym, że parsek nie jest jednostką czasu, lecz odległości. Deklaracja buńczucznego przemytnika nie ma więc sensu. Chyba że kryje się za nią coś więcej...

Choć zdanie to nie ma dla fabuły żadnego znaczenia, a sama nazwa Kessel pojawia się w filmie jeszcze tylko raz (C3PO wyraża obawę, że ześlą go do kopalni na tej planecie), trudno o cytaty z „Gwiezdnych wojen”, który doczekałby się liczniejszych interpretacji i bardziej zajadłych dyskusji. Czy naprawdę mamy do czynienia z idiotycznym błędem? Jeżeli tak, to czy obciąża on konto postaci, czy

raczej scenarzysty? Jest częścią świata przedstawionego czy niezamierzoną wpadką?

Może mamy tu do czynienia z niefrasobliwością twórców, którzy biorą się za pisanie kosmicznej sagi, nie rozumiejąc podstawowych pojęć z zakresu astronomii? Niekoniecznie. W jednej z wersji scenariusza „Nowej nadziei” czytamy, że Obi Wan „reaguje zwątpieniem na ten oczywisty błąd”. Może więc to nie George Lucas wykazał się niekompetencją, spekulowali fani, a sam Han Solo? To również brzmiało mało wiarygodnie. Naprawdę nie chciałbym lecieć z pilotem, który myli godziny z kilometrami. Więc może mamy do czynienia z innym rodzajem blefu? Może faktycznie trudnością było pokonanie trasy na Kessel nie w krótszym czasie, lecz przebywając krótszy dystans? Jak mogłoby wyglądać takie wyzwanie?

Fani głowili się nad tym dość długo. Być może ma to związek z wspomnianymi w filmie arkanami nawigacji w nadprzestrzeni? Wyznaczenie krótszej trasy między dwoma punktami wiązałoby się wówczas z podjęciem ryzyka przejścia zbyt blisko gwiazdy lub czarnej dziury. Znaleźli się nawet fani chętni obliczyć związane z tym przeciążenia i paradoksy czasoprzestrzenne.

Fanowską intuicję potwierdziły wreszcie książki o wcześniejszych przygodach Hana Solo, z których dowiadujemy się, że mityczna „trasa na Kessel” to przemytniczy szlak, przechodzący blisko gromady czarnych dziur. Faktycznie blisko gromady, więc na opracowaniu krótszej, lecz niezwykle ryzykownej trasy, a jednostką miary sukcesu mogły się w tym wypadku okazać parseki.

Na tym jednak nie koniec historii, bo w 2012 r. Disney przejął prawa do franzyzy „Star Wars” i wcisnął guzik z napisem „RESET”. W jednej chwili stopy książek i komiksów, których znajomość odróżniała prawdziwych fanów od przygodnych widzów, stały się bezwartościową makulaturą. Po prostu wypadły z kanonu, zdegradowane do roli apokryfów równych fikcji fanowskiej spisywanej wieczorami w szkicownikach i na domowych komputerach.

Teraz jedyną oficjalną odpowiedź na pytanie, czy statek Hana Solo naprawdę zrobił trasę na Kessel poniżej 12 parseków i jaki to ma w ogóle sens, znaleźć można w nowym filmie. Nie zdradzając szczegółów fabuły, można powiedzieć, że odpo-



Alden Ehrenreich w roli młodego Hana Solo

wiedź ta nie odbiega zanadto od wersji niekanonicznych.

Tożsamość widza

Historia 12 parseków mówi nam coś ciekawego nie tylko o prawdopodobności Hana Solo i kompetencjach astronomicznych George'a Lucasa, lecz – znów – o strukturze współczesnego przemysłu rozrywkowego. Jego odbiorcą staje się coraz częściej już nie zwyczajny widz albo czytelnik, lecz fan – osoba zafascynowana danym dziełem, aktywnie poszukująca o nim dodatkowych informacji, czasem wręcz współtworząca świat poprzez produkcję fikcji fanowskiej czy teorii – jak w przypadku trasy na Kessel.

Wglądu w tożsamość takiego fana dostarczają prace Henry'ego Jenkinsa. Wyjaśnia on, w jaki sposób fani, nawiązując między sobą wspólnotowe więzy

i krytycznie uzupełniając kanon, stają się współgospodarzami wymyślonych światów. Fan, w przeciwieństwie do widza, nie tylko obejrzy film. Będzie zainteresowany jego drobiazgową analizą, dalszymi i wcześniejszymi losami bohaterów, drobnymi detalami składającymi się na fikcyjny świat. Z punktu widzenia właściciela praw autorskich do franczyzy najważniejsze jest jednak to, że fan będzie gotów zakupić coraz to nowe produkty zapewniające mu łączność z ukochanym uniwersum.

Dopiero biorąc pod uwagę istnienie takiego odbiorcy można zrozumieć istnienie fenomenów takich jak Marvel Cinematic Universe – kinowej mitologii splecionej misternie z dziesiątek filmów i seriali. Albo kuriozów, właśnie takich jak nowy film o Hanie Solo, który składa się niemal wyłącznie z niespodzianek

i smaczków dla uważnych fanów, bo nie dla widzów przecięt.

Wielkanocne jaja

Jeszcze kilkanaście lat temu wydawało się, że przepis na hollywoodzką superprodukcję zawiera się w doskonałym pomysle na fabułę. Dobry bohater, zwroty akcji, wciągająca intryga. Żeby bilety się sprzedały, musi się dużo dziać. Ekranowa matematyka miała decydować o tym, kiedy bohater ma upaść, a kiedy zatriumfować; kiedy widz oczekuje zwrotu akcji, a kiedy rozwiązania.

W najnowszych kinowych superprodukcjach fabuła schodzi jednak na dalszy plan. Niby wciąż wiele jest pościgów, strzelanin i pojedynków, niby bohaterowie przechodzą wewnętrzne przemiany, zakochują się, a czasem nawet umierają. Ale to wszystko ma już zupełnie inne znaczenie, zmieniły się bowiem reguły gry.

W przypadku filmu stanowiącego element większego uniwersum (franczyzy kulturowej) bardzo często znamy już zakończenie, nim go zobaczymy. Nie wiemy natomiast, jaką drogą bohater dotrze do stanu, który znamy. Dokładnie tak jest w przypadku wszelkich „filmów o początkach” (ang. *origin movies*), które stały się dziś oddzielnym podgatunkiem w ramach hollywoodzkich sag. To filmy opowiadające o tym, jak bohater (lub antybohater) stał się tym, kim jest. Najnowsze filmy ze świata „Star Wars” zbudowane są niemal w całości na skomplikowanej grze z oczekiwaniami widzów i równowadze między ich zaspokajaniem i odmawianiem satysfakcji.

„Han Solo” doskonale wpisuje się w tę logikę, wznosząc na akrobatyczne wręcz wyżyny zarówno drażnienie się z fanami, jak i schlebienie ich oczekiwaniom. W przemysle rozrywkowym karierę robi ostatnio pojęcie „easter eggs” (dosł. jajka wielkanocne). Chodzi o mniej lub bardziej subtelnie ukryte treści, których dostrzeżenie wymaga uważnego oglądania i dobrej znajomości kanonu. Można powiedzieć, że nowy film o Hanie Solo składa się niemal w całości z takich niespodzianek dla fanów.

Na ekranie aż roi się od znajomych przedmiotów, miejsc i postaci. Uważny fan co chwila napotyka na takie detale. Widzimy np. wnętrze Sokoła Milenium. Takie samo, a jakby inne, bo pamiętamy, że Han zmienił obicia kanap. Albo ten moment, kiedy jeden z bohaterów przebiera się w osłaniający twarz kostium →

→ ochroniarza. Ale zaraz, zaraz – czy to przypadkiem nie to samo przebranie, które w „Powrocie Jedi” chroniło też samość Lando w pałacu Jabby?

Kryzys we franczyzie

Wszystko to emocje, których doświadczyć mogą jedynie fani. Niezależnie od poprzednich filmów widz, który przypadkiem zabłąkałby się na kinową salę, na ekranie zobaczyłby tylko feerię niepowiązanych wybuchów, bezsensownych kosmicznych pościgów i wielopoziomowych zdrad, w których nie sposób się połączyć.

Wiąże się z tym problem znacznie poważniejszy niż ewentualna alienacja widzów, którzy z daną franczyzą nie zapoznają się systematycznie. Najnowsza odsłona „Gwiezdnych wojen”, a także nowy film o Avengersach oraz – choć taki przeskok może zaskakiwać – ostatnie książki Małgorzaty Musierowicz muszą się zmierzyć z kryzysem o kosmicznej wręcz skali.

Fabula zawsze zbudowana jest na kryzysie. Rodzi się z kwestionowania reguł świata. Tak jak w najprostszych baśniach, zwanych „bajkami magicznymi”, nie przypadkiem uwielbianych przez antropologów, gdzie cała fabuła sprowadza się do kilku prostych funkcji: zakaz – złamanie zakazu – nieszczenie sprowadzone na świat – wyprawa bohatera – przywrócenie świata do stanu równowagi.

Tymczasem nie sposób przekonywać mnożyć kryzysy w ramach jednej franczyzy. No bo ile razy można ratować ten sam świat od zagłady? W związku z tym kolejne produkcje stają się powoli czystą afirmacją zastanego porządku. Miejsce akcji zajmuje nostalgia: „Pamiętasz tę postać? A tę planetę? A to powiedzonko?”. Tam, gdzie mamy do czynienia jedynie z celebracją zastanego świata, z czystą radością powrotu do ukochanego uniwersum, nie ma już przestrzeni na fabułę. Jej miejsce zajmuje nowa, fascynująca forma wspólnotowości celebrowanej w kinowych salach, sklepach z odzieżą i przy księgarnianych półkach. Produkt służy tu już nie zaspokojeniu konkretnej potrzeby, lecz wpisaniu nas w plemienną wspólnotę. Oj, przyjemnie w niej być.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI



Horror dorastania

ANITA PIOTROWSKA

Paranormalna moc Thelmy wyrasta z niekontrolowanych dziecięcych emocji, lecz szczególne natężenie osiąga w okresie najbardziej demonicznym, czyli naznaczonym przez dojrzewanie płciowe.

TRUDNO WYOBRAZIĆ SOBIE BARDZIEJ RETORYCZNE otwarcie filmu. Kamera przez chwilę spoziera na bohaterkę spod przezroczystej warstwy lodu na jeziorze, z perspektywy pływających pod nim ryb. Thelma ma wówczas kilka lat i towarzyszy ojcu w polowaniu. Gdy na celowniku myśliwego pojawia się sarna, wszystko wskazuje na to, że dziewczynka jest świadkiem traumatycznego w skutkach aktu barbarzyństwa. Ale ojciec niespodziewanie rezygnuje z pociągnięcia za spust – mała bohaterka sprawiła to najprawdopodobniej siłą własnej woli. Norweski reżyser Joachim Trier zakreśla w ten sposób przestrzeń swego filmu, w którym naturalne i nadprzyrodzone będą tworzyć mieszankę wybuchową.

Filozofowie horroru wskazują, że jednym z ukrytych fundamentów tego gatunku jest nasz lęk przed naturą, która w pewnym momencie bierze odwet za próby jej okiełznania. Objawia się wówczas jako ciemna siła bądź przybierający

rozmaite kształty potwór, który zwykle przychodzi z zewnątrz, ale czasem zamieszkuje w nas samych. Nie trzeba dodawać, że filmowe monstrum bywa sublimacją stłumionych popędów seksualnych i dlatego horrory stanowią istny raj dla psychoanalizy. W „Thelmie” paranormalna moc, którą obdarzona została tytułowa bohaterka, wyrasta zrazu z niekontrolowanych dziecięcych emocji, lecz szczególne natężenie osiągnie w okresie najbardziej demonicznym, czyli naznaczonym przez dojrzewanie płciowe. Trier niby podąża wytartym schematem obyczajowym: oto wychowana w surowej religijności dziewczyna przyjeżdża na studia do Oslo i pod wpływem wyzwolonej koleżanki Anji zaczyna smakować zakazane dotychczas owoce. Erotyczna fascynacja i zachłyśnięcie wolnością zderzone z głębokim wstydem i poczuciem winy muszą przynieść dramatyczne następstwa. I tu właśnie reżyser sięga po instrumentarium rodem z horroru, w Thelmie budzą się bowiem na



MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

Kadr z filmu „Thelma”

nowo telekinetyczne zdolności. Opętana nieznanymi dotychczas pragnieniami nastolatka przejmując ponadnaturalną władzę nad światem. Jest to jednak sprawczość tylko pozorna, bo tak naprawdę bohaterką rządzą impulsy, których nie będzie w stanie utrzymać na wodzy.

Oczywiście, gdzieś już to wszystko widzieliśmy. Starszą siostrą Thelmy jest chociażby Carrie, stworzona ongiś przez Stephena Kinga i powtórnie ożywiona m.in. przez Briana De Palmę w niezapomnianym wcieleniu Sissy Spacek. Pandemonium, jakie potrafi wywołać rozbuchana seksualność wieku pokwitania, na trwałe weszło do repertuaru kina grozy. Ślady tej mrocznej mitologii znajdziemy w takich współczesnych tytułach jak „Coś za mną chodzi”, gdzie David Robert Mitchell straszy wyobrażeniami na temat nastoletniej seksualności – spuszczonej z rodzicielskiej smyczy, ale też pełnej własnych, „nowoczesnych” przesądów, czy w prowokacyjnym „Mięsie” Julii Ducournau, ociekającym krwią horrorze wegetariańsko-feministycznym. Warto przy tej okazji odnotować, że demonizując seksualny wymiar dojrzewania, kino najchętniej wykorzystuje seksualność kobiecą. Krytycy piszący o „Thelmie” również zwracają uwagę na ten aspekt, jakkolwiek aktorstwo Eili Harboe jest nad wyraz powściągliwe, a sam Trier wystrzega się typowej fetyszizacji. Lepkim spojrzeniem obdarza za to tę drugą, Anję, choć jej obraz zostaje przefiltrowany przez spojrzenia głównej bohaterki. I to Thelmie przysznaje reżyser w finale ostateczne zwycięstwo.

„Reprise. Od początku raz jeszcze”, „Oslo, 31 sierpnia”, „Głośniej od bomb” – śledząc wcześniejsze dokonania norweskiego twórcy, można wyodrębnić ich cechy charakterystyczne: obserwację bohaterów w kluczowych, by nie rzec: inicjacyjnych momentach życia, skupienie bardziej na nastroju niż dynamice opowiadania, przepuszczanie go przez subiektywny filtr. „Thelma” również wpisuje się w ten model, co w połączeniu z horrorowym sztafżem daje efekt zaskakująco świeży. Egzorcyzmowanie „nieczystych” sił objawia się w filmie bez udziału wody święconej i krucyfiksu, za to z profesjonalną pomocą najnowszej medycyny. Dręczącą bohaterkę ataki mają jak najbardziej racjonalną diagnozę – jako „psychogenne napady rzekomo padaczkowe” – i jak najbardziej racjonalne przyczyny. Tym groźniejsza staje się przedstawiona w filmie wizja religijności, w której sekciarskie nawiedzenie niszczy nie tylko integralność jednostki, ale także rodzinne więzi.

Opowiadając o horrorze dojrzewania, Trier stara się być równocześnie trzeźwym psychologiem i surrealistycznym wizjonerem. Lecz niezależnie, czy popycha intrygę do przodu, czy przewija film o kilkanaście lat wstecz, niezależnie, czy patrzy na swoją bohaterkę spod grubej tafli lodu, czy z bardziej pozaziemskiego punktu widzenia, nie przykrywa swoim wszechwidzącym chłodnym okiem nastoletniej intymności. Bo to ona pozostaje w „Thelmie” sferą najbardziej niepokojącą, mimo wszystkich gatunkowych atrakcji. ©

THELMA – reż. Joachim Trier. Prod. Dania/Francja/Norwegia/Szwecja 2017. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 8 czerwca.



Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków

głoszą dziennikarze „Tygodnika”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM

| Andrychów – 98,8 FM

| Gorlice – 97,4 FM www.radiokrakow.pl

WARTO ZOBACZYĆ W TV [9 – 15 VI]

1. Love Express. Przypadek Waleriana Borowczyka



Dokumentalny, reż. Jakub Mikurda, Polska 2017, HBO, 10 VI, 22.00, 14 VI, 22.35, HBO2, 15 VI, 23.05

Zbyt łatwo zasztafardowano go jako twórcę kina erotycznego. A przecież reżyser „Dziejów grzechu” był też eksperymentatorem, mistrzem animacji, jednym z najbardziej oryginalnych polskich reżyserów tworzących za granicą. Przed kamerą mówią o nim Terry Gilliam, Andrzej Wajda czy Slavoj Žižek. Film jest jednym z laureatów festiwalu Millenium Docs Against Gravity.

2. Blokada



Dramat, reż. Emin Alper, Turcja/Francja/Katar 2015, Ale kino+, 14 VI, 20.10

Turecki reżyser tworzy dystopijną wizję Stambułu. Odcięta od świata metropolia staje się alegorią państwa gwałcącego zasady demokracji. Nagrodzony w Wenecji film opowiada o tym, zestawiając ze sobą losy bezpieczeństwa psów i ludzi zaszczytanych przez autorytarną władzę.

3. Reggae Boyz



Dokumentalny, reż. Till Schauder, Jamajka/Niemcy/USA 2018, VOD ARTE

Prosto z Krakowskiego Festiwalu Filmowego, idealnie na czas Mundialu, dociera do nas dokument o jamajskiej drużynie futbolowej, której największym marzeniem jest zakwalifikowanie się do mistrzostw świata. Twórca „Kiedy Bóg śpi” przygląda się wspólnym wysiłkom piłkarzy, niemieckiego trenera i muzyków reggae w kraju nękanym przez przemoc i nędzę.

4. Opowieść



Dramat, reż. Jennifer Fox, USA 2018, HBO GO

Czy opowiadając na nowo swoją historię, możemy raz na zawsze uwolnić się od jej ciężaru? Laura Dern wciela się w postać dojrzałej kobiety, która w wieku 13 lat była wykorzystana seksualnie przez parę trenerów. Odnaleziony pamiętnik z dzieciństwa zmusza do konfrontacji z przeszłością bohaterki i z tymi, którzy ją skrzywdzili.

JAN

Klata: Rekonstruktor symulakrum



INFORMACJA, ŻE MINISTER JAROSŁAW SELLIN tworzy armię, nie zaskoczyła mnie. Nie zaskoczył mnie również fakt, że jest to armia rekonstruktorów – ale o tym później. Serdecznie zdziwiły i poniekąd rozczuliły mnie skromne rozmiary armii Sellina: 200 osób

skoszarowanych na Westerplatte. Naprawdę? W porównaniu z armią srogich terytorialsów Macierewicza czy z wycinającą w pień armią leśników Szyszkii („Harvester of Sorrow”), Sellinowe dwie setki jawią się niczym garstka hajduków prowincjonalnego karmazyna. Brak ambicji czy raczej siły na zamiary? W końcu to Ministerstwo Kultury, nic poważnego...

Ale, ale... przejrzałem tę grę! Niezły z niego ścichapek, z naszego ministra Sellina, jemu idzie o coś więcej niż Centrum Wyszkożenia Rekonstruktorów na Westerplatte. Co tam marny oddziałik, nie od razu Westerplatte zbudowano – chodzi o wizjonerski plan totalnej rekonstrukcji 1:1. Jarosław Sellin z pew-

nością czytał Borgesa, Dicka ma w małym palcu, całego Baudrillarda wykuł na pamięć. Minister Sellin chce być niczym Pierre Menard, autor „Don Kichota” – on chce Sanację zrekonstruować całkowicie, chce mapą pokryć całe terytorium. Jarosław Sellin zakrzywia czas. Portalem jest Westerplatte, oczywiście, i stamtąd nowa Polska wyruszy w dwóch kierunkach: wojna i przedwojnie. Rekonstrukcja przedwojnia będzie łatwiejsza (jednak bida była): największe koszty to Gdynia i COP, najbardziej żmudna robota to Bereza Kartuska i zamach majowy. Naczelnik już jest, więc reszta jakoś pójdzie. Natomiast rekonstrukcja II wojny światowej... ho, ho! Nie będzie łatwo, ale nie zabraknie fajerwerków, można zacząć z grubej rury, a później napięcie będzie rosnąć, z apogeum w postaci wysadzenia Pałacu Kultury i Nauki podczas pieczołowitej rekonstrukcji Powstania Warszawskiego.

Polska jako repeta. Żywa historia w działaniu. Baudrillard na Wawel! Procesja symulakrów już niedługo wyruszy z Westerplatte. Westerplatte było dopiero początkiem, od czegoś trzeba zacząć. Westerplatte Westerplattem, ale niech Jarosław Sellin idzie za ciosem, nowa Polska nie po to wstała z kolan, żeby utknąć w Składnicy Tranzytowej. Zacznie się o 4.48, a później to już z góry: powtórzymy Poczcie Gdańską, masakrę bydgoską, Bzurę, Wiznę, Zaleszczyki, skoczmy jeszcze pod Kock i Kampania Wrześniowa zrekonstruowana 1:1. Nie wiadomo, kto odegra postać Dęba-Biernackiego, ale obawiam się, że ktoś z rządzącego obozu jednak się nada. ©

Lektor: Dla uzależnionych



■ Sándor Márai
DZIENNIK 1957-1966

Wybór, przekład, opracowane,
przypisy i posłowie Teresy Worowskiej.
Czytelnik, Warszawa 2018, ss. 588.

SAM DO NICH NALEŻE: TO CI, którzy poznawszy fragmenty „Dziennika” Máraiego z ostatnich lat jego życia, opublikowane w marcu 2000 r. na łamach „Tygodnika”, a potem wybór z całości (2004), teraz niecierpliwie czekają na kolejne tomy pięciotomowej edycji (choć to wciąż tylko część oryginału). Márai, urodzony w 1900 r., zaczął prowadzić dziennik podczas

II wojny. Mieszkał wtedy w Budapeszcie i był już autorem powieści tak wybitnych, jak „Wyznania patrycjusza” i „Żar”. Wkrótce przeniósł się do naddunajskiej wioski, by chronić żonę Lolę (miała żydowskie pochodzenie). We wrześniu 1948 r. wraz z przybranym synem Jánosem opuścili na zawsze komunistyczne Węgry, a książki Máraiego znalazły się na

indeksie. Pisarz zmarł śmiercią samobójczą w styczniu 1989 r., pogrążony w depresji po śmierci najbliższych.

Trzeci tom „Dziennika” rozpoczyna się w Stanach Zjednoczonych (Máraiowie mieszkali tam od 1952 r.), wkrótce po powrocie z wyprawy do Europy, której powodem była rewolucja węgierska, stłumiona przez interwencję sowiecką. Márai otrzymuje właśnie obywatelstwo amerykańskie, a równocześnie jest świadom, że klęska rewolucji definitywnie odcięła go od kraju („Rok temu wierzyłem, że jest jakaś nadzieja. Teraz też wierzę. Ale na nadzieję jestem już zbyt zmęczony”) i ma poczucie zdrady, jakiej wobec Węgrów dopuścił się Zachód. Wobec zbuntowanych komunistów, jak Imre Nagy, też jest raczej bezwzględny („gdy szajka znajdzie się w kłopotach, zbrodniarze czasami strzelają do siebie”). Tak ostre

sądy budzą opór, podobnie jak niektóre uwagi o kwestii rasowej czy podszyty antropocentryczną pychą stosunek do natury. Zarazem jednak wyrazistość (podobnie jak niebywale zgęszczony, aforystyczny niemal styl) jest jedną z zalet tego wielkiego dzieła, które Imre Kertész nazwał „najważniejszym, najpełniejszym i najuczciwszym intelektualnym dokumentem epoki”. Márai opisuje i diagnozuje świat, wydarzenia polityczne, przemiany społeczne i sztukę współczesną, śledzi „oznaki rozpadu” z perspektywy spadkobiercy pewnej formacji kulturowej, której schyłek przyniosła pierwsza Wielka Wojna. Krytycznie, choć życzliwie obserwuje Amerykę; odnotowuje też kolejne etapy wrastania własnego syna w tamtejszą rzeczywistość. I z bolesną niekiedy samoświadomością sporządza swój autoportret. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Ciastko patriotka



CZTERY OSIEMDZIESIĄT. ZA TYLE ŻŁOTYCH i groszy można uczcić sto lat Polski niepodległej w jednej z sieciowych piekarni-cukierni stolicy. „Ciastko niepodległości”: dolna warstwa z podbarwionego na czerwono ciasta proszkowego, które się kruszy

i sypie jak nie przymierzając fundamenty naszej prawdy. Dalej na górze warstwa bitej śmietany, ta jest chociaż śnieżnobiała, przetykanej gdzieś kawałkami malin, na to jeszcze warstwa posypki okruchów tegoż samego ciasta i znów kreska bitej śmietany. Przebywając co prawda nad Wisłą, ale w poprzedniej polskiej stolicy (która w domenie cukierniczej nie zrzuciła z siebie jarzma austriackiego zaboru – na szczęście!), prosiłem starszą latorośl o nabycie i spożycie ciastka w moim imieniu i podzielenie się wrażeniami. Łączące nas więzy krwi widać w namiętym uwielbieniu słodszej części jedzeniowego spektrum; mówiąc prościej: jest takim samym łasuchem jak ja. Swoje sprawozdanie zakończyła jednak sucho: „wisz mi kasę”. Wnoszę, że nie była zachwycona i potraktowała całe to narodowo-biszkoptowe przeżycie w kategoriach trudnej misji. Nie dość zadbałem o jej uczucia patriotyczne, by były w stanie pokryć rozczarowanie.

Z flagą jako inspiracją do świętowania rocznicy na słodko jest zresztą pech. Biel i czerwień – cóż byłoby prostszego, niż zrobić sernik na zimno lub beż z pięknym musem truskawkowym na wierzchu albo czerwoną galaretką pełną połówek truskawek, kwaskowatych porzeczek albo malin. Tylko że kolejność się nie zgadza: w serniku białe musi być na dole, a nie na górze. Dobrze chociaż, że nasze barwy łatwo w kuchni przetworzyć bez sięgania po sztuczne barwniki. Powiedźcie sami – czy jedliście kiedyś coś z natury granatowego? Francuzom i Holendrom nie byłoby zatem łatwo, szwedzki błękit jest również niezjadliwy. Niemcom łatwiej: ich flagowy przekładaniec, gdyby zapragnęli stworzyć kanapkową syntezę swojej jakże zróżnicowanej regionalnie państwowości, widziałbym tak: usmażony w złocistej panierce sznycel, na to gruba warstwa sosu, którym polewa się zwykle currywurst, i wszystko to przykryte plasterkiem czarnego pumpernika. Przy czym sos dobieram nieprzypadkowo – jako hołd dla *Willkommenskultur* naszych sąsiadów, którzy potrafili mieszanekę przypraw o rodowodzie indyjskim pożenić ze swoją kielbaską w narodowym daniu ulicznym.

Ale to tylko czcza zabawa w koncepty, których nikt by nie chciał jeść. Jak bardzo materia jedzenia wymyka się dosłow-

nym zapożyczeniom ze świata symboli politycznych czy historycznych, świadczą smętne wyniki konkursu na „ciastko patriotkę”, który pewna fundacja (niezależnie od inicjatywy stołecznej piekarni) przeprowadziła ze sporym wsparciem ogólnokrajowych mediów. Przykro to mówić, ale wszystkie finałowe zgłoszenia wyglądały jak lekcja odrobiona z trudem i na ostatnią chwilę. Wygrała babeczka, na którą nałożono mus truskawkowy i kleks białego kremu, dla lepszego wrażenia posypany siekanymi pistacjami, bo, jak wiadomo, drzewa pistacjowe to element polskiego pejzażu na równi z rosochatą wierzbą i brzezina przelęgająca się w stawie pod lasem piaszczystej drogi do starego dworku. Może po prostu trzeba powiedzieć, że flaga (podobnie jak godło, ikoniczny wizerunek dawnego bohatera) na tym funduje szczególnie status swoistego totemu, że jest wyjęta z obszaru codzienności? Co innego wymalować sobie dwie kreski na policzku (bądźmy to aż do młodości oglądać w najbliższych tygodniach piłkarskiego wzmożenia), co innego te kreski jadać.

Istnieje niby jeden ważny wyjątek: wielka kariera, jaką zrobiła od końca XIX w. pizza margherita, nawiązująca zielenią bazylii, bielą sera i czerwienią pomidora do flagi młodego włoskiego państwa, które poszukiwało symboli mających lepić jeden jako tako homogeniczny naród. Ale wydaje mi się to mocno naciągane. Całą tę historię Włoch opowiadają raczej na użytek turystów; nikt nie lubi słyszeć na pytanie „a dlaczego coś jest czymś” odpowiedzi „nie wiem, tak samo wyszło”.

Niemrawość ciasteczkowej inicjatywy wskazuje moim zdaniem porządków: może po prostu przed mieszaniem porządków: może po prostu nas to stulecie gremialnie mało obchodzi? Za rok nic nie zostanie z tych pomysłów. Zostaną wuzetki i kremówki (zwane papieskimi już chyba tylko w Wadowicach i Krakowie) w ojczyźnie, w której duma z budowania zawsze ustąpi pamięci krzywd. I która nigdy nie będzie dla nas błogą, jak deser po niedzielnym, mieszczańskim obiedzie.

Tak narzekam na brak patriotyzmu latorośli, a przecież od dzieciństwa karmiłem je regularnie w sezonie prostym sernikiem, który w roku stulecia niepodległości przemianujmy na „biało-czerwony kotylin z truskawkami”. Zwilżamy paroma łyżkami wody 4-5 łyżeczek żelatyny. W sporym garnuszku doprowadzamy do wrzenia 150 ml wody z 100 g cukru i żelatyną. Odstawiamy, żeby lekko ostygło. W tym czasie ubijamy na sztywno 250 ml śmietanki. Wkręcamy delikatnie 400 g sera waniliowego oraz 250 g drobno pokrojonych truskawek. Miksujemy przestygłą mieszaninę żelatynową aż do spienienia. Wlewamy ją powolutku, delikatnie mieszając do masy serowo-śmietankowej. Przekładamy do tortownicy o średnicy 22-24 cm, wstawiamy do lodówki na 2 godziny. Dekorujemy wianuszkami z przekrojonych truskawek. Listki mięty zaburzają nam dwukolorową kompozycję, ale za to bardzo pomogą na smak. © P



GALAKTYKI Z BETONU

Są wszędzie. Trudno wyobrazić sobie bez nich świat, jaki znamy. Na co dzień nie zwracamy nawet na nie uwagi. Obrosły społecznymi mitami. Bloki mieszkalne – dobre są czy złe?

TEKST **BEATA CHOMĄTOWSKA**, ZDJĘCIA **KRZYSZTOF SKŁODOWSKI**

WZBIORZE „GRA NA WIELU BĘBENKACH” OLGI TOKARCZUK znajdujemy opowiadanie o matce bliźniaków żyjącej w wieżowcu, która odkrywa pod podłogą bogactwo dźwięków; śpiewaczka z piętra niżej, przygotowująca się do występów, otwiera przed nią zupełnie nowy świat. W zwykłym mieszkaniu w bloku można odnaleźć „Ariadnę na Naksos”.

Miron Białoszewski, choć swój mrówkowiec na Saskiej Kępie nazywał „Chamowem”, codziennie ćwiczył w nim zmysł obserwacji, stwarzając od zera własny blokowy kosmos. Wiele zależy od wrażliwości tego, kto patrzy; jego osobistych doświadczeń, nawarstwionych przekonań i uprzedzeń. W zbiorowej świadomości blokowiska obrosły jednak mitami, które powiela się przy każdej okazji, nie przejmując się tym, że bywają ze sobą sprzeczne.

Ideologia po obu stronach muru

Mit pierwszy: bloki stanowią dziedzictwo systemu społeczno-politycznego wprowadzonego i utrzymywanego siłą po naszej stronie żelaznej kurtyny; niechciany owoc przynależności do Bloku Wschodniego.

Ten mit jest żywotny nie tylko w Polsce. W Niemczech tuż po zjednoczeniu każde zdjęcie bloków opatrywano informacją, że to spuścizna postenerdowska. Nie był to zabieg neutralny: chodziło o ustalenie hierarchii. *Ossis*, czyli ci ze Wschodu, mieli być, w przeciwieństwie do *Wessis*, plemieniem wiodącym szarą i smutną egzystencję w identycznych bryłach z prefabrykatów. Jakby Zachód nie miał swoich osiedli świadczących o zauroczeniu hasłami „miejskości poprzez zagęszczenie”, gigantycznych miast satelickich pokroju Gropiusstadt czy Märkisches Viertel. W tym ostatnim radykalna młodzież na czele z Ulrike Meinhof w 1968 r. usiłowała uświadamiać proletariata, nakłaniając go do buntu przeciw „fabrykom do mieszkania”. Kiedy jednak mieszkańcy przeczytali o sobie jako o wykorzystywanej przez biurokratów bezzadnej masie sfrustrowanych ludzi na państwowym garnuszkach, niekoniecznie chcieli współpracować z nieproszo-nymi obrońcami.

W Republice Federalnej Niemiec jeszcze w latach 60. budowano jedno betonowe osiedle za drugim, aż nastąpiło otrzęsienie, po którym z ulgą pozbyto się wyposażenia fabryk domów na rzecz rodaków zza wschodniej strony muru oraz ekipy Edwarda Gierka, zapowiadającej coroczną budowę 220 tysięcy mieszkań dla „pokolenia drugiej Polski”.

Przekonanie, że przy powstawaniu blokowisk ideologia miała więcej do powiedzenia po wschodniej stronie żelaznej kurtyny, też trudno uznać za dogmat. Jak udowadnia Adrian Forty w książce „Concrete and Culture. A Material History”, na Zachodzie bloki z prefabrykatów powstawały tylko dopóty, dopóki dopłacano do nich z publicznych środków, były bowiem ściśle powiązane z polityką socjalną. Odpowiadali za to głównie socjaldemokraci. Partie socjaldemokratyczne za pomocą kolejnych programów dotowanego budownictwa podtrzymywały wrażenie, że dbają o poprawę życia obywateli, zwłaszcza robotników, nie podejmując rzeczywistych reform. Tak działo się w Wielkiej Brytanii, Francji czy Szwecji – z uwzględnieniem różnic związanych z realiami danego kraju.

Słabość tego podejścia wykorzystała później prawica. Najśłynniejszą areną politycznej walki stało się osiedle Pruitt-Igoe w amerykańskim St. Louis, którego upadek, przypięczętowany pokazowym wyburzeniem, obwołano „dniem, w którym umarł

modernizm”. Przedstawiciele amerykańskiej prawicy dowodzili, że za porażkę w postaci stopniowej przemiany bloków w slumsy – a ze slumsów właśnie przybyli tu czarnoskórzy lokatorzy, licząc na lepsze jutro! – odpowiada brak zaangażowania, jakie wymusić może tylko prywatna własność. Wyszdziali koncepcję „realnego socjalizmu”, zapominając wspomnieć o błędach w jej wprowadzaniu. Być może bowiem Pruitt-Igoe nie stoczyłoby się w przepaść, gdyby jego ogarnięci reformatorskimi zapędami pomysłodawcy nie ograniczyli się tylko do budowy bloków dla najuboższych, ale zapewnili również środki na ich codzienne utrzymanie, remonty i ochronę.

Ideologia miała oczywiście duże znaczenie również przy wznoszeniu prefabrykowanych osiedli w naszej, środkowo-wschodniej części Europy, ale nie mniej istotną rolę odgrywała gospodarka wraz z jej prawami podaży i popytu. Dzięki intensywnemu programowi zbrojeń, wymagającemu rozbudowania produkcji stali i betonu, powstawały nadwyżki materiałów, które trzeba było gdzieś wykorzystać – najlepiej w budownictwie, bo mieszkańc nieustannie brakowało.

Grzech modernizmu?

Mit drugi: osiedla bloków to spadek po modernizmie, który za-fundował nam Le Corbusier. W domyśle: za monotonię krajo-brazu europejskich miast odpowiadają postępowi architekci o lewicowej orientacji. Lub ogólniej: architekci narzucający swoje utopijne wizje społeczeństwu.

Trudno zaprzeczyć, że uczestnicy Międzynarodowych Kongresów Architektury Nowoczesnej, na czele z „papieżem modernizmu”, mieli spory udział w rozpowszechnieniu pomysłu „maszyny do mieszkania” i zasad nowoczesnej konstrukcji budynków, a także opartej na socjalistycznych pryncypach obietnicy zapewnienia każdemu obywatelowi, niezależnie od pozycji i dochodów, jednakowych standardów życia. Tyle że prototyp dzisiejszego bloku, budynek „Dom-ino” opracowany przez Le Corbusiera na potrzeby szybkiej odbudowy wsi we Flandrii po I wojnie światowej, powstał dopiero w latach 20. minionego wieku, wienając co najmniej stuletnie wysiłki licznych grona wynalazców, którzy głowili się, jak wykorzystać beton do szybkiego, taniego i masowego budowania.

Był wśród nich Thomas Edison, owładnięty ideą domu, do stworzenia którego wystarczałoby wiadro wypełnione cementem, Alexander Brodie, główny inżynier Liverpoolu, Auguste Perret czy szwedzki architekt i wojskowy Fredrik Blom, twórca systemu konstrukcyjnego pozwalającego na składanie budynków z gotowych elementów i transportowanie ich z miejsca na miejsce. Potrzeba była uniwersalna, od Londynu poprzez Paryż po Nowy Jork; napędzała ją konieczność. Po rewolucji przemysłowej wraz z rozwojem miast ściągały do nich rzesze robotników, którzy musieli gdzieś mieszkać. Budownictwo z cegły było kosztowne i czasochłonne, a warunki w czynszówkach stawianych dla robotników, jak berlińskie Mietskaserne, pozostawiały wiele do życzenia.

Droga do sukcesu nie była jednak tak prosta, jak wyobrażali to sobie entuzjastyczni pionierzy betonu. Najpierw powstawały pojedyncze prototypy, gęstniejące w grupki budynków o klasycznych fasadach maskujących wnętrza z prefabrykatów, dopiero później – pierwsze małe kolonie w rodzaju Betondorp w Amsterdamie, przyjmowane przez otoczenie z miesza-nymi uczuciami. Przyspieszenie nastąpiło dopiero po II wojnie ➔

→ światowej – wraz z rozwojem technologii i tym razem już naprawdę palącą potrzebą zapewnienia dachu nad głową milionom ludzi.

Jak było z wielką płytą

Mit trzeci: blok równa się wielka płyta, a ta, jaką znamy z Polski, jest podarunkiem radzieckim. Biografie ludzi, którzy przyłożyli rękę do powstania polskiego bloku wzorcowego, typ W-70 („W” od Warszawy, „70” – od roku, w którym powstał), zupełnie jednak tego nie potwierdzają.

Kazimierz Piechotka – były powstaniec warszawski i żołnierz Armii Krajowej. Jego żona Maria – powstańcza łączniczka. Oboje – architekci kojarzeni nie z urzędową monotonią, lecz z dobrym projektowaniem. Projekt kompleksowego systemu budownictwa mieszkaniowego z wielkiej płyty, opracowany przez zespół pod ich kierownictwem na potrzeby konkursu ogłoszonego w lutym 1967 r., był systemem otwartym, który pozwalał dowolnie przedstawiać i łączyć ściany. Na bazie wielokrotności modułu opartego na długości ludzkiej stopy można było tworzyć różne mieszkania – z kuchnią dużą lub małą, ze ścianami, stropami i oknami różnej wielkości, możliwymi do montażu w różnych miejscach.

Konkurs ogłoszono, bo toporność „leningradczyków” – bloków, jakie wraz z licencją chciał nam wcisnąć Związek Radziecki – zdęgowiała nawet peerelowskich decydentów. Data skierowania W-70 do produkcji pokazuje przy tym, że systemy wielkopłytowe zaczęły być w Polsce stosowane na dużą skalę dopiero w erze Gierka. Nim w całym kraju wyrosły kolejne kupowane za dewizy fabryki domów, stosowano inne technologie. Bloki budowano częściowo z cegły, częściowo z prefabrykatów, potem w technologii wielkiego bloku, dużych elementów z betonu, z których montowano ściany wewnętrzne i stropy. Samych zaś systemów wielkoblokowych i wielkopłytowych, opracowanych przez rodzimych inżynierów, było kilkadziesiąt, nie licząc oboczności takich jak rama H czy technologia monolityczna (w której powstało m.in. warszawskie osiedle Za Żelazną Bramą). Przekonanie, jakoby blok z wielkiej płyty pojawił się pewnego dnia i natychmiast rozpoczął triumfalny pochód przez kraj, należy więc włożyć między bajki. Ewolucja dokonywała się stopniowo, jak w antropogenezie.

Legenda osiedlowej arkadii

Mit czwarty: życie na blokowiskach w PRL-u było idyllą w porównaniu z dzisiejszymi anonimowymi osiedlami. Osiedla te, również złożone z bloków, tylko że grodzone, określane są mianem „osiedla apartamentowców”, co sytuuje je o klasę wyżej w kategorii budownictwa mieszkalnego.

Z tym mitem rozstać się najtrudniej: podlany zwykle sentymentalnym sosem, łączy się z tęsknotą za czasami dzieciństwa albo młodości, kiedy wszystko było przyjaźniejsze, radośniejsze, bardziej dostępne i kolorowe. Romantyczna mgiełka osnuwa również bloki, łagodzi kanciastość formy, rozbiela szarość. Łatwo zapomnieć o ciasnocie i mikroskopijnych metrażach, zwłaszcza tych z ery gomulkowskich oszczędności, gdy norma powierzchni mieszkalnej przypadającej na obywatela

W blokach zdarzają się gotowe scenariusze kryminału, jednak **większość jest zwyczajna.**

Nie są źródłem wszystkich nieszczęść. I będą powstawać nadal.

skurczyła się do pięciu-siedmiu metrów kwadratowych. O ciemnych kuchniach. O akustyce pozwalającej śledzić życie sąsiadów, zwłaszcza zaś ich kłótnie. O blokach bez balkonów albo z ich żaloznymi namiastkami; o czwartym piętrze bez windy. O schyłkowej epoce Gierka, kiedy system dogorywał i na nic już nie starczało pieniędzy, więc wprowadzano się na osiedla złożone z identycznych, szarych i kiepsko wykonanych bloków stojących na błotnistym klepsku, bo place zabaw, zielone przestrzenie i pawilony handlowe zostawały na papierze.

Trudno się dziwić, że gdy przyszły nowe czasy, ci, którzy mogli sobie pozwolić na wyprowadzkę, realizowali czym prędzej fantazje o dworze polskim na przedmieściu, odreagowując lata udręki, naznaczone deficytem prywatności i osobistej przestrzeni. To zaś, że teraz na przyblokowych podwórkach widać mniej dzieci, że rzadziej rozmawiamy ze sobą na klatkach schodowych i nie zawsze znamy sąsiadów z nazwiska, wynika z szerszych przemian.

Społeczeństwo stało się bardziej mobilne. Zmienił się styl życia, pojawiło się mnóstwo nowych możliwości spędzania wolnego czasu.

Badania socjologów miasta pokazują jednak, że mieszkańców osiedli – zarówno tych starszych, jak i nowych, tych z wielkiej płyty i tych z cegły – nadal jednoczą różne czynniki, podobnie jak w poprzednich dekadach i niezależnie od ustroju. Psy, małe dzieci, przyblokowe ogródki, samochody. Doszły też nowe elementy, jak kwestia własności mieszkania czy miejsca parkingowe. Bo nie tylko lokatorzy „apartamentowców” z monitoringiem lubią odгородzić się od świata. Mieszkańcy starszych osiedli też chętnie stawiają płoty i dzielą przestrzeń, by zabezpieczyć własne interesy i oddzielić się od innych. Na przykład od tych, którzy chcieliby zostawić samochód pod ich blokiem, a przyjechali tylko w odwiedziny.

Czarna legenda blokowiska

Mit piąty, konkurencyjny wobec czwartego i funkcjonujący równolegle: osiedle równa się blokowisko, anonimowość. Narodził się w Polsce lat 90. na fali rozliczeń z poprzednią epoką. Osiedla, zwłaszcza te budowane na chybcika i byle jak, zszarzały wówczas i spowszedniały, kojarzyły się z uniformizacją i jedyną dostępną w sklepie sofą, która – jak pisał Barańczak – „zawsze jest bordowa”.

Mieszkanie na osiedlu, nazywanym odtąd „blokowiskiem”, stało się – świadomie lub nie – narzędziem stygmatyzacji. Przyczyniły się do tego reportaże o „blokiersach” – przedstawicielach nowych subkultur rzekomo opanowujących osiedla, o bezrobotnych bez perspektyw wegetujących na ławkach przed blokiem, o rodzinach z problemami, wypisz, wymaluj z filmu „Cześć, Tereska”. Zgodnie z tym obrazem wszystkie polskie osiedla wyglądałyby jak Bijlmermeer w Amsterdamie czy podparyskie *banlieues*, gdzie strach się zapuszczać w obawie o własne życie.

Tymczasem określenie „blokowisko”, wymyślone w latach 80. przez zespół socjologów, psychologów, ekonomistów i architektów z Krakowa, który pod kierunkiem Janusza Bogda-



Kraków, osiedle Szklane Domy, poniżej: Wrocław, plac Grunwaldzki. Na poprzedniej stronie – Katowice, osiedle Walentego Rożdżeńskiego. Zdjęcia pochodzą z książki Beaty Chomątowskiej „Betonia. Dom dla każdego”, wydanej właśnie przez Czarne.

nowskiego i Stefana Pappa miał pomóc w rewitalizacji poprzez sztukę kilku peryferyjnych osiedli, odnosiło się tylko do specyficznego ich typu – „wielkich zespołów mieszkaniowych”, cechujących się przesadzoną skalą, powtarzalnością i kiepskim wykonawstwem, pozbawionych miejsc, w których mieszkańcy mogliby wyrażać swoją indywidualność.

Oczywiście w blokach, jak wszędzie, zdarzają się gotowe scenariusze kryminału czy thrillera, a niektóre osiedla noszą wszelkie cechy blokowskich, jednak większość z nich jest całkiem zwyczajna. Nie są ani źródłem wszystkich nieszczęść, ani też czymś najlepszym, co mogło się przydarzyć w budownictwie mieszkaniowym. I będą powstawać nadal, bo inaczej nie da się pomieścić nowych lokatorów rozrastających się bez końca miast-molochów.

Blok jak świat

Oba te mity – o idylli blokowego sąsiedztwa w PRL-u i o blokowisku jako ludzkiej dżungli – unicestwiają mit szósty: że doświadczenie życia w bloku jest przeżyciem uniwersalnym. Skoszarowanie na blokowych osiedlach istotnie umożliwiło kilku generacjom Polaków dorastanie w otoczeniu ludzkiej gromady, nabycie podstawowych umiejętności społecznych w gronie rówieśników z podwórka, wreszcie wejście w życie z przekonaniem, że ludzie są różnorodni nawet w kraju jednolitym etnicznie. Nie zaznają tego dzieci chowane w miejskich enklawach, do których dostęp mierzy się grubością portfela.

Tak, pewne wspomnienia są wspólne, ale każdy ma swoją o bloku opowieść. Weźmy życie społeczne. W NRD system polityczny był bardziej opresyjny i wszyscy mieszkańcy musieli należeć do tzw. wspólnoty domowej, która nie tylko organizowała obchody Dnia Kobiet czy Dziecka, ale pilnowała przestrzegania właściwych postaw. Każdy zobowiązany był do uczestnictwa we wspólnych cotygodniowych porządkach. W PRL, jeśli nawet też wspólnie urządzano przestrzeń wokół bloków, jak na lubelskim osiedlu Mickiewicza, odbywało się to bardziej spontanicznie, a energia do działania stopniowo zamierała.

Czy można zresztą w ogóle porównywać życie w czteropiętrowcu i w kilkunastopiętrowym wieżowcu, gdzie poranki rozbrzmiewały stukotem nóg lokatorów biegnących do wind – bo było ich zbyt mało, by nie obawiać się o spóźnienie do pracy? Wrocławską superjednostkę, gdzie mieszkańcy opalali się na dachu, z codziennością warszawskich Sądów Żoliborskich? Albo londyński Balfon Tower, gdzie kandydatów na lokatorów lustrował sam architekt, który na krótko postanowił być jednym z nich? Czy wreszcie krakowskie Azory, które wymykają się wszelkim uogólnieniom? To przykład najciemniejszego okresu budownictwa mieszkaniowego epoki Gomułki, lecz jednocześnie przedmiot dumnej samoidentyfikacji dorastającej w tamtejszej Szuflandii młodzieży.

Blok jest tylko formą, ostatnim ogniwem długiego łańcucha prób budowania tanio, szybko i łatwo, dla mas. Cała reszta tkwi w naszych głowach.

© BEATA CHOMĄTOWSKA



MATERIAŁY PRASOWE

STANISŁAW

Mancewicz:

W kółko



W OSTATNICH TYGODNIACH PRZECZYTALIŚMY ku własnemu strapieniu sto analiz, kto chwyci lutnię po Gospodarzu. Strapienie przeplatało się z poczuciem rosnącego znużenia. Krótkotrwałym błysnięciem pociechy był czyjś słaby głos, że Gospodarza mógłby zastąpić Ryszard Czarnecki. Miał to napisać optymistą, który przedawkował antydepresanty.

No więc cudze analizowania polityczne od lat utwardzają nas w łatwym poczuciu sukcesu, bo wszystkie te spostrzeżenia dostępne są w naszej głowie w formie luźnej i zupełnie za darmo. Jeżeli zaś czegoś nie wiemy, a nasze profetyczne czucie zamiera, sięgamy po dowolny tabloid. Oto gdy tabloidy popierają władzę, to owa trwać będzie, gdy zaczynają pisać o władzy źle, to znaczy, że rychło znajdzie się ona w grobie. I tyle. Jednym słowem, analizowanie polityczne uważamy za raczej zbędne, ale analizowanie w ogóle uważamy za czynność pożyteczną. Z tematów dziś do przeanalizowania wybraliśmy sobie sprawy lokalne.

Zacznijmy wspomnieniem. W środku Krakowa stoi budynek zwany Sukiennicami, ongiś w kolorze żółtym. Publiczność z guberni warszawskiej warto oświecić, że na żółto (*kaisergelb*) w Galicji maluje się budynki publiczne od czasów Józefa II, który był cesarzem austriackim. Otóż przez całe nasze dzieciństwo i młodość, bez względu na ustrój, Sukiennice malowano na żółto właśnie. Działo się to skromnie i na raty, w sposób następujący: stawiano małe rusztowanie i po pomalowaniu kawałka ściany w zasięgu pędzli rusztowanie przesuwano. Pełny cykl, czyli zamalowanie całości, trwał rok. Z powodu lejącego się z nieba kwasu siarkowego, czarnych śnieżyc, brawurowo wymiotujących Anglików oraz szalenie swobodnego sto-

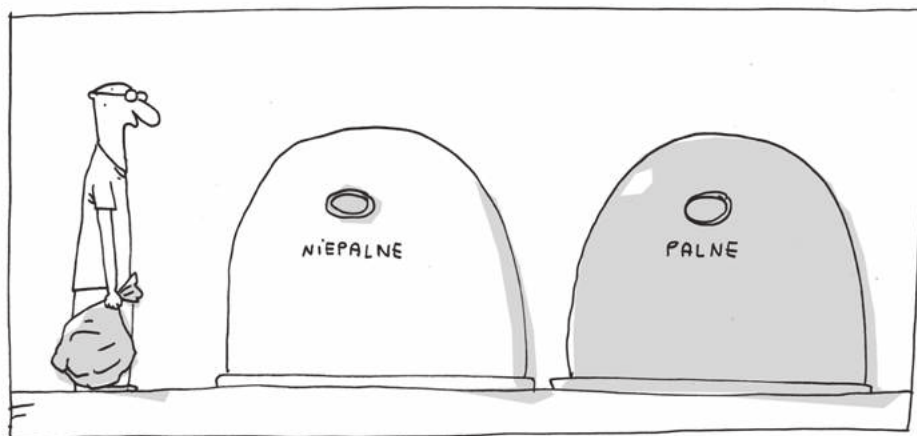
sunku ludzi magistrackich do obowiązków służbowych, malowanie natychmiast trzeba było zaczynać od nowa. W ten sposób przez dziesięciolecia wokół Sukiennic krążyło niepozorne rusztowanie z Argonautami na pokładzie. Samiśmy poznali jednego z nich, który od stażu czeladniczego po emeryturę niczym innym w życiu się nie zajmował. Był to człowiek całkowicie żółty, umysłowo i fizycznie, a czas odmierzał po swojemu – na pytanie, kiedy wybrano papieża Polaka, odpowiadał: „Panie, jakos pod koniec 28. okrążenia”.

Analiza tego zjawiska wymagała zdolności wyższych. Odkrycie, że okrążenia odbywają się w porządku gregoriańskim (rok obiegu) i heliocentrycznym (żółtość Sukiennic równa się żółtości Słońca), to dowód, że rusztowanie było wskazówką pierwotnego kalendarza-zegara. Te rewelacje można porównać wyłącznie do odkryć archimedesowych. Pochlebiamy sobie, że owe spostrzeżenia i interpretacje stawiają nas w gronie najwybitniejszych badaczy czasoprzestrzeni. Kilka lat temu prysnęło jednak na mury Sukiennic czymś mniej żółtym, czego zapewne, z racji pancernej odporności na działanie amoniaku zawieszonego w atmosferze, używa się do malowania księżyców Neptuna. Odtąd rusztowanie już nie jeździ. Szkoda.

Kraków jako miasto pomysłów wymagających analizy jest stolicą konsekwencji. Mamy teraz kolejną rozrywkę, a jest to zawzięte polewanie wodą szyn tramwajowych. Dzieje się tak, gdy temperatura powietrza przekroczy 20 stopni. Powyżej tej wartości szyny tutejsze się krzywią, tramwaje nie jeżdżą, a ludzie wygadują na Pana Prezydenta. Nigdzie w świecie szyn się nie chłodzi w ten sposób, nigdzie nie wykrzywiają się tak łatwo jak w Krakowie, a na sto pytań, dlaczego, mamy tylko jedną odpowiedź. Gdzieś pod Krakowem musi być fabryka, która ma stu-letni kontrakt na dostarczanie zimnolubnych torów na Grenlandię. Kraków kupuje tanio rosnącą z racji ocieplania klimatu nadwyżkę tej produkcji. Problem być może zniknie, kiedy zacznie się realizacja linii tramwajowej na już wspomnianym Neptunie, wtedy fabryka nie wyrobi z zamówieniami, a na pewno nie będzie miała nadwyżek do opchnięcia Krakowowi okazyjnie.

Te dwa skromne przykłady pokazują, że można się owoconie zastanawiać nad zjawiskami naprawdę frapującymi, zamiast spekulować, kto będzie nieudolnie naśladował człowieka, którego naśladowanie jest z gruntu pozbawione sensu. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ





**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 24/2018

**DODATEK
SPECJALNY**

70 LAT PAŃSTWA IZRAEL



KRAKÓW
AIRPORT
im. Jana Pawła II

EL AL
TO NIE TYLKO LINIA LOTNICZA. TO IZRAEL

LEĆ BEZPOŚREDNIO Z WARSZAWY I KRAKOWA DO TEL AWIWU



www.elal.com

Latamy razem od 70 lat



Zrelaksuj się na komfortowych pokładach samolotów **EL AL**,
przy lampce wyśmienitego, izraelskiego wina i smacznym posiłku.
Zabieramy Cię do miejsca, gdzie połączysz
wypoczynek, interesy i świetną zabawę!

REKLAMA x2

Dwa **Słoneczne** Miasta.
Jedna Podróż.

TEL AWIW
JERUZOLIMA

☀️ 24°

Jerusalem

TWOJE NIEZAPOMNIANE, SŁONECZNE WAKACJE!

Najlepszy citybreak na świecie czeka na Ciebie – wybierz niezapomnianą podróż do dwóch słonecznych miast: Tel Awiwu i Jerozolimy!

Podążaj w stronę skąpanego w słońcu Tel Awiwu z jego niesamowitymi plażami, oszałamiającymi hotelami, genialnymi smakami i niekończącą się imprezą.

Wybierz się na spacer ulicami Jerozolimy i podążaj śladami 3000-letniej historii – w jednym z najsłynniejszych i najbardziej fascynujących miast świata!

Zarezerwuj swoją podróż już teraz!

www.citiesbreak.com

70 LAT PAŃSTWA IZRAEL

3 Izrael, 70 lat później

Rozmowa z Anną Azari,
ambasador Izraela
w Polsce

8 Trzy warunki powstania Izraela

Patrycja Bukalska

11 Dziewczyny w szortach

Patrycja Bukalska

13 Polskie korzenie Izraela

Łukasz Tomasz Sroka

16 Abraham Stern, błądzący idealista

Andrzej Krawczyk

19 Państwo za wszelką cenę

Rozmowa
z Tomem Segevem

23 To już nie jest ten sam Izrael

Rozmowa
z Ozem Almogiem

26 Izraelski umysł

Ofer Aderet

Redakcja: Wojciech Pięciak
Projekt graficzny: Marek Zalejski
Fotoredakcja: Grażyna Makara,
Marek Zalejski
Okładka: Marek Zalejski

Na okładce: Dawid Ben Gurion
odczytuje Deklarację Niepodle-
głości Państwa Izrael, 14 maja
1948 r. Zgromadzenie odbyło się
w Muzeum Sztuki Tel Awiwu,
przy bulwarze Rothschilda. W tle
portret Teodora Herzla.

FOT. RUDI WEISSSTEIN,
DOMENA PUBLICZNA

WSPÓŁPRACA



PARTNER WYDANIA

EL AL
TO NIE TYLKO LINIA LOTNICZA. TO IZRAEL



GRZEGORZ MICHAŁOWSKI / PAP

Anna Azari podczas uroczystości upamiętniającej ofiary łódzkiego getta, 29 sierpnia 2016 r.

Izrael, 70 lat później

ANNA AZARI, AMBASADOR IZRAELA W POLSCE:

**Czekam na palestyńskiego Sadata
– na kogoś, z kim będzie można zawrzeć pokój.**

PATRYCJA BUKALSKA: 70 lat temu proklamowano Izrael – niepodległe państwo, państwo narodu żydowskiego. Czy nadal takie jest? Jak zmienił się Izrael przez 70 lat?

ANNA AZARI: Nadal jest państwem żydowskim. Nie chciałabym, by zabrzmiało to patetycznie, ale patrząc na te 70 lat myślę, że to cud. Proszę spojrzeć na początki: od pół roku trwała już wtedy wojna z Arabami, potem zaczęła się wojna ze wszystkimi sąsiadami. W pierwszych latach do kraju przybył milion żydowskich uchodźców. A dziś? Izrael ma prawie 9 mln obywateli, większość z nich to Żydzi. Produkt krajowy brutto wynosi ponad 37 tys. dolarów na głowę. Jeśli chodzi o innowacyjność, jesteśmy na drugim miejscu na świecie. Życie w Izraelu jest dobre – nawet jeśli nie jesteśmy wolni od różnych kryzysów. Co roku w rankingach wskaźnika szczęścia nasz kraj jest w okolicach pierwszej dziesiątki, dziewiąty czy jedenasty. To niezły wynik – biorąc pod uwagę, jakie problemy mamy my, a jakie np. Skandynawowie, którzy zawsze są w czołówce. Choć gdyby zapytać o to Izraelczyków, pewnie będą narzekać. W tym jesteśmy podobni

do Polaków. Pewnie przywieźliśmy to z Polski, gdy powstawał Izrael (*śmiech*).

Polskich śladów w Izraelu czy w izraelskim charakterze jest pewnie więcej. Jak jednak zmieniał się Izrael w ciągu tych 70 lat?

Mieszkam teraz w Polsce i gdy przyjeżdżają do mnie przyjaciele z Izraela, uprzedzam, że tu, w Polsce, mieszkają tylko Askenazyjczycy [europejscy Żydzi – red.]. Natomiast w Izraelu żyją też ciemnoskórzy Żydzi z Etiopii czy Jemenu. Nie mamy tam jednego koloru skóry. Obywatelami Izraela są też Arabowie, wyznawcy różnych religii: muzułmanie, chrześcijanie. Są też Druzowie, którzy czasem podkreślają, że nie są Arabami. Są uchodźcy i imigranci ekonomiczni z Afryki. Gdy przyjeżdża się do Izraela, na ulicach widać tę wielokulturowość.

Jak przebiegał ten proces?

Musiała zmienić się ideologia. Bo na początku istnienia państwa nie było tak jak teraz. Wtedy chciano stworzyć nowego człowieka, nowego Izraelczyka. Do kraju przybywały kolejne fale żydowskiej imigracji →

⇒ i pomysł na ich integrację był taki, aby ludzie ci zostawili za sobą wszystko to, co przywozili z Polski czy Etiopii, i w nowym kraju stali się nowymi ludźmi. Teraz jest inaczej, dziś stawiamy na wielokulturowość. Przyjmujemy, próbujemy przyjmować tradycje arabskie, polskie i inne. Z tego wychodzi coś nowego, unikalnego, izraelskiego. Widać to na przykładzie naszej kuchni, która zbiera to wszystko razem.

I jest inna od kuchni żydowskiej, jaką znamy z Polski.

Zupełnie od niej odmienna.

W Deklaracji Niepodległości, ogłoszonej 14 maja 1948 r., zapisano, że nowe państwo będzie oparte na wolności, sprawiedliwości i pokoju.

To się nie udało.

Jeszcze się nie udało. Będąc Izraelką, muszę być optymistką. Nikt z nas nie chce żyć z myślą, że pokoju nigdy nie będzie. Wolność, sprawiedliwość – to osobna sprawa. Nie wiem, czy w Izraelu jest ich więcej, czy mniej niż w innych krajach demokratycznych. Natomiast gdy idzie o pokój... No cóż, mamy pokój z Egiptem, który przecież był kiedyś naszym największym wrogiem. Mamy pokój z Jordanią. Jeden z głównych problemów to kwestia Palestyńczyków. Ciągłe czekam, gdy pojawi się wśród nich nowy lider. Kiedyś w Egipcie był prezydent Sadat, który z nami walczył, a potem podpisał pokój. Smutno się to skończyło, bo go zabili [egipscy spiskowcy – red.]. U nas był Icchak Rabin i też go zabili [premier Izraela, który w 1993 r. podpisał z Organizacją Wyzwolenia Palestyny w Oslo porozumienie, po którym mogła powstać Autonomia Palestyńska; został zabity przez żydowskiego radykała – red.]. Czekam więc na palestyńskiego Sadata – na kogoś, z kim będzie można zawrzeć pokój.

Z obecnymi władzami palestyńskimi nie można wypracować pokoju?

Mahmud Abbas [prezydent Autonomii – red.] nie jest złym przywódcą. Ale jest już wiekowy, ma ponad 80 lat i nie jest też wizjonerem. Tam dawno nie było wyborów. Może po nim przyjdzie ktoś bardziej aktywny? Bo obecnie sytuacja Palestyńczyków jest dramatyczna: z jednej strony jest Abbas, który odcina się od terroryzmu, ale nie ma władzy nad Strefą Gazy, a z drugiej strony są terroryści z Hamasu, którzy kontrolują Gazę.

■ Czasem czuję, że jestem też ambasadorem Polski w Izraelu. **Nie toleruję antypolonizmu**, który przy okazji ostatniego kryzysu ujawnił się po stronie izraelskiej i szerzej po stronie żydowskiej.

Sytuacja mieszkańców Gazy jest fatalna.

Tak, warunki życia Palestyńczyków w Strefie Gazy są straszne. Nie wiemy jednak, co z tym można by dziś zrobić. Izrael opuścił Gazę w 2005 r., dziś rządzi tam Hamas. Budują tunele, którymi na naszą stronę przemieszczają się terroryści, albo wystrzeliwiają z Gazy w naszą stronę rakiet. Dlatego czekam na palestyńskiego Sadata. A z naszej strony potrzebny będzie nowy Icchak Rabin.

Niedawne protesty Palestyńczyków z Gazy, zorganizowane 14 maja – czyli w dniu niepodległości Izraela – zakończyły się masakrą: od izraelskich kul zginęło 60 ludzi, a 2000 było rannych. Cały świat widział ten wstrząsający kontrast: Izraelczyków dumnych z ambasady USA w Jerozolimie i Palestyńczyków ginących w Gazie.

To straszny kontrast, ale zorganizowany przez Hamas. Przygotowywali się do tego od miesięcy. Chcieli jeszcze większej prowokacji, większej liczby ofiar – choć i te ostatnie liczby nie są przecież małe. Te tragedie zastępują pracę na rzecz normalnego życia ludzi w Strefie Gazy.

Czy usprawiedliwia to jednak tak ostre działania Izraela?

Izrael przekazuje Gazie dużą pomoc, większą niż pomoc międzynarodowa. Ile z tego przeznaczane jest jednak na budowę tuneli, a ile na poprawę warunków życia ludzi – na to nie mamy wpływu.

Skoro, jak Pani mówi, od miesięcy było wiadomo o planowanej palestyńskiej akcji, to czy nie można było się od tego przygotować i reagować inaczej?

Inaczej, czyli jak? Przede wszystkim to nie była demonstracja. Hamas otwarcie wzywał do przerywania granicy między Gazą i Izraelem. Izrael wysyłał tam wcześniej ulotki, ostrzegał, by nie podchodzić blisko do granicy. Jeśli ktoś podchodzi i grozi aktem terrorystycznym, to jest z naszej strony reakcja. W Europie mówi się, że to była demonstracja. Brałam udział w różnych demonstracjach i wiem, że tak to nie wygląda.

Jednak ONZ i organizacje praw człowieka mówią, że izraelska reakcja była przesadna.

Chciałabym zobaczyć, co inne kraje robiłyby w sytuacji, gdyby terroryści próbowali naruszyć ich granicę. Słyszałam te głosy, że nasza reakcja była zbyt ostra. Ale nie usłyszałam, jak powinna wyglądać taka odpowiedź. Izrael nie dokona samolikwidacji po to, aby w ONZ coś miłego o nas mówili. Nie jesteśmy samobójcami.

Zginęli jednak ludzie, także dzieci.

Tak, i to jest tragiczne. Gdy jednak Hamas otwarcie deklaruje, że jego celem jest zniszczenie Izraela, my nie możemy im na to pozwolić. Główna tragedia to tragedia mieszkańców Gazy pod rządami Hamasu, ona rozgrywa się każdego dnia.

To właśnie trudna sytuacja sprawia, że coraz bardziej się radykalizują.

Ale wszyscy zapominają, że Egipt też nie chce otworzyć granicy z Gazą. Dlaczego nie wpuszczają tych ludzi do siebie?

Izrael opuścił Gazę, ale ponosi jakąś odpowiedzialność za sytuację Palestyńczyków. Gdyby nie wypędzenie ich z domów, jeszcze w czasie wojny w 1948 r., nie byłoby uchodźców palestyńskich, często nadal żyjących w obozach. To historyczne brzemię Izraela.

Tu przyczyną jest nie tylko historia. Czy zna pani jakiś naród, którego przedstawiciele byli uchodźcami w 1948 r. i nadal są uchodźcami? Dlaczego Palestyńczycy, którzy zostali wtedy przyjęci przez kraje arabskie, nadal mają tam status uchodźców? Dlaczego nie zostali w tych krajach zintegrowani, uznani za ich obywateli? Dlaczego Palestyńczycy, którzy znaleźli się na Zachodnim Brzegu Jordanu, gdy do 1967 r. był on kontrolowany przez Jordanię, musieli być ciągle tylko uchodźcami? Milion Żydów, którzy wtedy opu-

ścili kraje arabskie i przybyli do Izraela, nie jest już uchodźcami. Także w Libanie Palestyńczycy dalej są uchodźcami. Tę sytuację wywołano sztucznie. Choć oczywiście tragedia indywidualnych ludzi sztuczna nie jest.

Ci ludzie, którzy stracili domy, a teraz ich dzieci i wnuki – oni nadal nie mają swego miejsca. To fakt. I najtrudniejsza kwestia do rozwiązania, aby pokój był możliwy. Czy w ogóle jest tu jakieś rozwiązanie? W wywiadzie dla „Tygodnika” historyk Tom Segev – pytany, czy można było uniknąć konfliktu z Arabami – odpowiada, że nie. Że można było tylko nie zbudować państwa. Że państwo powstało za cenę pokoju.

Teraz też tak to wygląda. W Gazie Palestyńczycy podchodzą do granicy, chcą tę granicę zniszczyć, wejść na teren Izraela. Co najmniej połowa z nich to terroryści i to jest wybór: albo on żyje, albo ja żyję. A żeby był pokój, trzeba iść na kompromis i mówić o czymś innym niż tylko zniszczenie.

Choć w Deklaracji Niepodległości mowa jest o pokoju, to w chwili jej spisywania wojna już się toczyła.

Nie było wiadomo, czy w ogóle będzie ta Deklaracja. Ben Gurion [lider ruchu syjonistycznego i jeden z ojców-założycieli państwa – red.] rozmawiał wtedy z wojskowymi i pytał ich, jakie są szanse, że nowe państwo się obroni. „Pół na pół” – usłyszał. To była trudna decyzja i trudny moment.

Wtedy Izrael się obronił i także potem wygrywał kolejne wojny. Ale jego istnienie to właśnie takie życie od wojny do wojny. Dziś jest nowe zagrożenie, ze strony Iranu.

To zagrożenie nowe i stare zarazem. Problem z Iranem istnieje od kilkudziesięciu lat. Natomiast teraz przybliżył się do naszych granic, bo irańskie bazy wojskowe są dziś na terenie Syrii i jesteśmy stamtąd atakowani. Ale myślę, że i z tym sobie poradzimy.

Chciałabym jednak powiedzieć coś pozytywnego. Kiedyś był jeden Izrael przeciwko wszystkim Arabom. Teraz region jest podzielony między sunnitów oraz szyitów, których liderem chce być Teheran. W efekcie niektórym krajom, jak sunnickej Arabii Saudyjskiej, bliżej dziś do pozycji Izraela. Oni na wojnie z Iranem mogą tylko zyskać. Podobnie Egipt. Owszem, mamy więc dziś przeciwko sobie Iran, Syrię Asada oraz libański Hezbollah, który kontroluje południowy Liban i także ma bazy w Syrii Asada. Ale to już nie jest sytuacja „Izrael kontra Arabowie”. Teraz jest to: „Izrael kontra część świata arabskiego”.

Jednak to nadal życie w cieniu wojny. Jak zatem wyjaśnić tak wysokie wskaźniki poczucia szczęścia wśród Izraelczyków? Jak można żyć w takim zagrożeniu i być szczęśliwym?

A Europejczycy nie mają poczucia zagrożenia? Nie boją się zamachów terrorystycznych, jak choćby niedawno w Paryżu, gdzie zwoleńnik tzw. Państwa Islamskiego nagle zaatakował nożem zwykłych ludzi na ulicy? A jednak Europejczycy nie

są z tego powodu nieszczęśliwi. Świat stał się bardzo skomplikowany, nie wiadomo, z której strony nadejdzie zagrożenie. W Izraelu przynajmniej klimat jest sympatyczny, ludzie różnorodni, kreatywni i energiczni. Więzy rodzinne i społeczne nadal są bardzo silne. Myślę, że właśnie to daje szczęście.

Na stronie internetowej izraelskiej ambasady w Warszawie czytamy, że Polskę i Izrael łączy wyjątkowa więź. Próba dla niej był ostatnio kryzys wywołany nowelizacją ustawy o IPN. Wrócimy jeszcze do wcześniejszego poziomu wzajemnych stosunków?

Przyjacielskie relacje nie umierają od jednego kryzysu. Na razie czekamy na decyzję Trybunału Konstytucyjnego w sprawie tej ustawy. Myślę, że przejdziemy przez ten kryzys. Bardziej niepokoi mnie fala antysemityzmu. Nie żeby było to coś nowego, czytamy wyniki badania opinii publicznej i wiemy, że nie od dziś ok. 20 proc. Polaków ma poglądy antysemityczne. Nowe jest coś innego: przekroczono granicę tego, co można mówić w sferze publicznej. To mnie przygnębia, bo to jest ten dzin w butelce: gdy się go wypuści, to potem trudno go w niej z powrotem zamknąć. Jednocześnie widzę aktywizację drugiej strony w Polsce – wszystkie wydarzenia izraelskie przyciągają teraz większą uwagę. I takich Polaków jest zresztą więcej.

To nie jest tylko polski problem. W wielu krajach Europy jest dziś przyzwolenie na głoszenie poglądów, które wcześniej uważano za skrajne. ➔

OGŁOSZENIE

POCIĄG INNOWACJI

Warszawa–Kraków 13 czerwca

Zapraszamy do udziału w „Pociągu Innowacji”, wyjątkowym projekcie Ambasady Izraela w Polsce, realizowanym w partnerstwie z Ministerstwem Przedsiębiorczości i Technologii, PKP InterCity oraz Fundacją Impact.

Innowacje i start-upy to nasza wspólna przyszłość. W trakcie 2,5-godzinnej podróży „Po-

ciągiem Innowacji” pomiędzy Warszawą a Krakowem na Impact’18 odbędą się otwarte wykłady, indywidualne spotkania z liderami w dziedzinie innowacji i start-upów. Będzie to też okazja, by wymienić się doświadczeniami, zainspirować się i pozyskać know-how od znanych ekspertów z Polski i Izraela.

„Pociąg Innowacji” odjedzie z Warszawy Centralnej do Krakowa Głównego o godzinie 7.44 w dniu rozpoczęcia kongresu Impact’18, czyli 13 czerwca. Tylko osoby, które uzyskają wejściówki na Impact’18 i będą posiadały bilet na poranny pociąg, będą miały możliwość aplikowania o wejście do specjalnych, dedykowanych wydarzeniu wagonów. Uwaga: liczba miejsc w „Pociągu Innowacji” jest ograniczona, zgłoszenia będą przyjmowane za

pośrednictwem: impactcee.com/pl/start/ Projekt „Pociąg Innowacji” jest zwieńczeniem współpracy między Polską i Izraelem w ciągu ostatnich czterech lat, na którą składały się różnorodne aktywności – delegacje pomiędzy naszymi krajami, warsztaty, wykłady na uniwersytetach, współpraca biznesowa. Mamy nadzieję, że efekty wspólnej podróży Polaków i Izraelczyków „Pociągiem Innowacji” będziemy obserwować przez długie lata.

ZAPRASZAMY DO PODRÓŻY „POCIĄGIEM INNOWACJI”!

→ **Antysemityzm jest tylko jednym z takich przejawów.**

To prawda. To szersze zjawisko, skierowane nie tylko przeciw Żydom, także przeciw ludziom o innym kolorze skóry itd. Jak w tym wierszu pastora Martina Niemöllera, członka niemieckiego ruchu oporu przeciw Hitlerowi: „Kiedy naziści przyszli po komunistów, milczałem, / nie byłem komunistą (...) Kiedy przyszli po Żydów, milczałem, / nie byłem Żydem...”.

Dalej jest tak: „Kiedy przyszli po mnie, nie było już nikogo, kto mógłby zaprotestować”.

Rasizm, odmówienie pomocy innemu – kimkolwiek by ten inny był – to jest obecnie problem.

Żeby temu problemowi zapobiegać, trzeba się wzajemnie poznawać.

Obawiam się, że kryzys na szczeblu rządowym zaszkodzi relacjom między Izraelczykami i Polakami na poziomie lokalnym, jak np. wymiany szkolnej.

Przez pierwszy miesiąc też się tego bałam. Także tego, że w małych polskich miasteczkach nikt nie będzie chciał mnie zapraszać. Ale tak się nie stało.

Kolega z redakcji „Tygodnika” opowiadał mi jednak, że jego córka licealistka była na wymianie szkolnej w Izraelu, potem grupa izraelska była w Polsce. To było jeszcze wiosną, jedni i drudzy byli zachwyceni. Ale gdy teraz – chcąc kontynuować zawarte przyjaźnie – nastolatki z Izraela chciały przyjechać latem do nowych polskich przyjaciół, ich rodzice im nie pozwolili. Powiedzieli, że to niebezpieczne. Jak to więc jest ze stroną izraelską?

To dla mnie nowy niespodziewany przypadek. Cały czas wszyscy bez wyjątków czujemy się w Polsce wyjątkowo bezpieczni. W 2017 r. Izraelczycy bardzo chętnie odwiedzali Polskę. Przybyło ich prawie 250 tys., to aż o 50 tys. więcej niż w 2016 r. Tak samo Polacy w Izraelu: dzięki nowym połączeniom lotniczym w 2017 r. liczba turystów z Polski przekroczyła 100 tys., to aż 91 proc. więcej niż w 2016 r.

Czy stosunek do Polski w Izraelu się zmienia?

Z czasem czuję, że jestem również ambasadorem Polski w Izraelu. Nie toleruję antypolonizmu, który przy okazji tego kryzysu

Podstawą naszego bezpieczeństwa jest demokracja i instytucje demokratyczne. Bez tego cała wielka historia państwa Izrael nie miałaby sensu.

wyszedł nie tylko po stronie izraelskiej, ale też szerzej, po stronie żydowskiej. Najgorszy był ten filmik zrobiony w USA [chodzi o spot „Polish Holocaust”; po protestach, również żydowskich, został usunięty – red.]. Dla mnie to był rasistowski atak na Polaków, taki sam jak ataki na Żydów.

Gdy Izrael powstał, był to – jak Pani mówi – cud. To, że nadal istnieje, też graniczy z cudem. Jakie jest największe jego osiągnięcie – poza tym, że przetrwał 70 lat?

Demokracja – to jedno. A drugie – poziom kreatywności. Chodzi także o innowacyjność: w technologii, rolnictwie – od start-upów po system nawadniania pól uprawnych. Oraz o kreatywność w sztuce. Mamy ciekawą literaturę. Od jakichś 20 lat bardzo ciekawe kino. Sztuka izraelska jest na wysokim poziomie. Może to ta mieszanina, którą mamy w kraju? A może fakt, że to wypadkowa nie tylko tych ostatnich 70 lat? Przecież Żydzi przynieśli do swojego państwa tysiące lat kultury.

A teraz, po 70 latach, jakie są jego najważniejsze wyzwania?

To moja opinia, nie oficjalna: myślę, że najważniejszym zadaniem Izraela jest uratować jego wspaniałą demokrację. To nie banał. Podstawą naszego bezpieczeństwa jest demokracja. A pytania o nią padają, choć w inny sposób niż w Polsce. To w jakiś sposób zrozumiałe, że w społeczeństwie, które żyje w ciągłym zagrożeniu terroryzmem i wojną, może pojawiać się chęć zapewnienia sobie bezpieczeństwa w sposób mniej demokratyczny. Dlatego tak ważne jest dla mnie zachowanie wszystkich instytucji demokratycznych. Bez tego cała wielka historia Izraela nie miałaby sensu. Jeśli miałoby powstać jakieś żydowskie państwo totalitarne, byłoby to zaprzeczenie tego, o co walczyliśmy.

Myśli Pani, że takie zagrożenia dla demokracji w Izraelu mogą wystąpić?

Zawsze są takie tendencje. Najgorsza jest taka tendencja globalna, na całym świecie – ludzie i w Izraelu, i w USA czy w Turcji myślą, że samo głosowanie to już demokracja. A to przecież nieprawda. Tego się bardzo boję. Choć mam nadzieję, że trochę szalona struktura naszej polityki – podobno przywieziona z międzywojennej Polski – pomaga w powstrzymaniu antydemokratycznej fali. Trzeba jednak z tym walczyć cały czas.

Mówi Pani, że demokracja to nie tylko głosowanie...

Demokracja to także wolne sądy, to prawa mniejszości, to wolne media. Jeśli demokracja miałaby polegać jedynie na głosowaniu i na bezwzględnym realizowaniu woli większości, to można by przykładowo zadecydować, że rozstrzela się wszystkich lewicowców albo prawicowców. A przecież demokracja to coś więcej.

Mówi Pani o prawach mniejszości w demokracji, a Izrael za to właśnie jest krytykowany.

Nie znam ani jednej idealnej demokracji. Trzeba jednak wspierać otwarte społeczeństwo. Jestem zadowolona, że mamy różne zdania we wszystkich właściwie kwestiach – stosunków z Arabami, praw gejów czy sytuacji niepełnosprawnych. *A propos* niepełnosprawnych: mieliśmy w Izraelu ich strajk, blokowali ulice przez wiele miesięcy.

Czego powinniśmy życzyć Izraelowi na 70. urodziny?

Tego, o czym mówiłyśmy: pokoju i demokracji.

©© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

ANNA AZARI urodziła się w 1959 r. w Wilnie (wtedy w Związku Sowieckim). Gdy miała 13 lat, wyemigrowała wraz z rodzicami do Izraela. Po studiach, w wieku 24 lat, została zatrudniona w ministerstwie spraw zagranicznych. W latach 1989–1992 była konsulem w San Francisco, a w latach 1995–1997 pracowała w ambasadzie w Moskwie. W latach 1999–2003 była ambasadorem Izraela na Ukrainie, a w latach 2006–2010 ambasadorem w Rosji. Od września 2014 roku jest ambasadorem Izraela w Polsce.



Radość na ulicach Tel Awiwu: 14 maja 1948 r., dzień proklamacji państwa Izrael.

Trzy warunki powstania Izraela

PATRYCJA BUKALSKA

Gdy w maju 1948 r. podpisywano Deklarację Niepodległości nowego państwa, nie było wcale pewności, że Izrael przetrwa pierwszych kilka lat. Co działo się 70 lat temu?

Swiat potrzebuje państwa żydowskiego i z tego powodu ono powstanie. (...) W państwie żydowskim młode pokolenie odkryje świetlaną przyszłość wolności i godności. Nawet jeśli w naszej ziemi obiecanej będziemy mieć długie krogulcze nosy, nawet jeśli zapijemy czarne czy rude brody i chodzić będziemy na krzywych nogach, nie będziemy wystawieni na kpinę i pośmiewisko. Wreszcie będziemy żyć tam jako wolni mężczyźni i kobiety, i umierać będziemy w pokoju w naszej ojczyźnie” – taki zapisek znaleziono wśród dokumentów ocalałych z łódzkiego getta. Wiadomo, że powstał w 1941 r.; nie jest podpisany (przywołuje go w swojej książce o historii Izraela Konstanty Gebert).

Tych kilka zdań dobrze pokazuje, dlaczego Żydzi chcieli mieć swoje państwo. Dramatyczny czas i miejsce, w którym je napisano, są też wymownymi dowodami, że rzeczywiście musiało ono powstać.

Nie wiadomo, kto był autorem tego tekstu. Nie wiadomo więc także, czy przeżył II wojnę światową i doczekał przełomu roku 1948.

Bo choć debaty o tym, co zrobić z Palestyną trwały od dawna, to właśnie po zakończeniu II wojny światowej – w sytuacji gdy setki tysięcy europejskich Żydów szukały dla siebie nowego domu – rozwój wypadków musiał przyspieszyć.

Wszystkie wyjścia wydawały się wtedy równie niemożliwe i ryzykowne. Najbardziej może właśnie to polegające na ogłoszeniu niepodległego państwa żydowskiego.

Brytyjczycy, którzy zarządzali wtedy Palestyną – dawną prowincją Imperium Osmańskiego, która po przegranej przez Turcję I wojnie światowej stała się brytyjskim protektoratem – ostatecznie postanowili, że opuszczają ją 15 maja 1948 r. Ale wycofywali się, pozostawiając chaos. Od kilku miesięcy na terenie ich protektoratu trwała już *de facto* żydowsko-arab-

ska wojna. Ginęli ludzie. Ktoś musiał podjąć jakąś decyzję – bez gwarancji na powodzenie.

14 maja 1948 roku

Dzień wcześniej artysta Otte Wallish – imigrant z Czechosłowacji, który przybył do Palestyny jeszcze w latach 30. XX w. – otrzymał nietypowe zlecenie. W muzeum w Tel Awiwie miał przygotować aulę na ceremonię ogłoszenia niepodległości. Sekretarz rządu Zeev Szaref określił warunki: sala musi być gotowa w 24 godziny, zlecenie nie może kosztować więcej niż 450 dolarów. Oraz, oczywiście, sprawa jest ściśle tajna.

Czas miał zasadnicze znaczenie: Żydzi musieli zdążyć z Deklaracją nie tylko przed wycofaniem się Brytyjczyków (co miało nastąpić o północy, w nocy z 14 na 15 maja), ale też przed zachodem słońca 14 maja. Ze względu na szabat po zachodzie słońca tekst Deklaracji nie podpisałby żaden z żydowskich przywódców religijnych.

Do dekoracji sali Wallishowi udało się zdobyć portret Teodora Herzla (uważanego za ojca syjonizmu) oraz dwie syjonistyczne flagi. Okazały się jednak zbyt brudne, musiał je oddać do pralni. W panice starał się też zdobyć pergaminowy zwój odpowiedniej jakości, na którym zostanie zapisana Deklaracja Niepodległości.

Byłby zapewne jeszcze bardziej zestresowany, gdyby wiedział, że sam tekst nie jest jeszcze gotowy, i że nawet nie wiadomo, jak przyszłe państwo będzie się nazywać. Wśród propozycji były Judea, Syjon, Państwo Żydowskie. Ostatecznie przyjęto Izrael. Lub raczej, jak zwraca uwagę Gebert: Państwo Izraela. Dyskusję – dwugodzinną, więc rekordowo krótką, biorąc pod uwagę emocje i zagadnienie – wywołała też kwestia, czy i jak Deklaracja powinna odwoływać się do Boga. Ostatecznie udało się uzgodnić zwrot, który można przełożyć jako „Opoka Izraela” –

taki, który każdy mógł rozumieć na swój sposób.

15 maja o godzinie piętnastej tekst Deklaracji był gotowy, choć jeszcze nie został przepisany na czysto. Przepisywania dopilnowywał Zeev Szaref, który nie miał jak potem dojechać na czas do Muzeum. Gebert przytacza historię o tym, jak zdesperowany Szaref zatrzymał przypadkowy samochód, jednak kierowca spieszył się do domu – bo chciał wysłuchać w radiu ogłoszenia Deklaracji Niepodległości – i nie chciał go zabrać. „Jak mnie nie podwieziesz, to nie wysłuchasz, bo ja mam jej tekst w rękę” – miał powiedzieć Szaref.

Podróż nie odbyła się bez dalszych problemów: pędzące auto zatrzymała policja. Policjanta przekonał jednak argument, że opóźnia powstanie państwa. Szaref dotarł na czas.

Po dwu tysiącach lat

Deklaracja Niepodległości została odczytana przez 61-letniego Dawida Ben Guriona – urodzonego na ziemiach polskich weterana i przywódcę ruchu syjonistycznego – w obecności ponad 200 zaproszonych gości. Zdjęcia w tej ważnej chwili zrobił mu słynny fotoreporter Robert Capa.

Podpisy na zwoju złożyli członkowie Rady Ludowej, tymczasowego parlamentu. Dla tych, którzy przebywali wtedy w oblężonej przez Arabów Jerozolimie, pozostawiono puste miejsca.

Na 37 podpisów tylko dwa należały do kobiet – do przyszłej premier Goldy Meir oraz do Racheli Cohen, pochodzącej z Odesy pierwszej posłanki parlamentu (Knesetu), wybranej z listy Międzynarodowej Syjonistycznej Organizacji Kobiet.

Ceremonia zakończyła się dokładnie o godzinie 16.38. Podpisany zwój złożono w sejfie bankowym – obawiano się, aby dowód powołania państwa nie został zniszczony w ewentualnych walkach.

Na ulicach Tel Awiwu powiewały białoniebieskie flagi. Ludzie świętowali, cieszyli się. Ben Gurion wspominał potem, że miał jednak mieszane uczucia: wiedział, że zmasowany atak na nowe państwo jest zapewne kwestią godzin. „Znowu byłem żałobnikiem wśród świętujących” – zapisał. Poprzednio czuł się tak w listopadzie 1947 r., gdy ludzie świętowali przyjęcie przez ONZ rezolucji o podziale Palestyny na część żydowską i arabską.

Stanisław Aronson – polski Żyd, podczas niemieckiej okupacji żołnierz AK, weteran powstania warszawskiego – służył już wtedy w żydowskiej organizacji paramilitarnej Hagana (wkrótce miała stać się fundamentem powstającej armii). Wspominał, że siedział z kolegami ze swego oddziału przy radiu w kibucu Naan: „Słuchaliśmy Deklaracji i wszyscy byliśmy szalenie podekscytowani. Dowiedzieliśmy się już wcześniej, że Ben Gurion będzie przemawiał przez radio, ale do końca nikt nie był pewny, czy ogłosi niepodległość, i nikt nie wiedział, jak to nowe państwo będzie się nazywało. Dopiero w czasie przemowy dowiedzieliśmy się, że to będzie Izrael”.

Po 2000 lat żydowskie państwo znów stało się faktem.

Dzień później

Tak jak spodziewał się Ben Gurion, niemal od razu po ogłoszeniu Deklaracji Niepodległości zaczęła się regularna wojna. Jeszcze przed świtem bomby spadły na lotnisko i elektrownię w Tel Awiwie. Armie pięciu państw arabskich – Egiptu, Syrii, Transjordanii (późniejsza Jordania), Libanu i Iraku – zgodnie przystąpiły do ataku. Niektóre, jak np. armia syryjska, nie czekały zresztą na izraelską Deklarację. Już dzień wcześniej padł broniony desperacko kibuc Kefar Ejon – niemal wszyscy jego obrońcy i mieszkańcy zostali zamordowani. Ale Izraelczycy mieli też sukcesy: arabska Jaffa została zajęta bez strat, podobnie jak pozycje opuszczone przez Brytyjczyków w Jerozolimie.

Jednocześnie nowe państwo musiało rozpocząć swoje funkcjonowanie.

Odnotowano, że pierwszym, którego aresztowała nowa izraelska policja, był złodziej, który włamał się do księgarni. Zaczęły też działać sądy: pierwsza sprawa dotyczyła trzech funtów, które jeden sąsiad był winien drugiemu. Szybko pojawiły się też pierwsze znaczki pocztowe – zaprojektowane przez wspomnianego już

Otte Wallisha. Pracując nad nimi, nie wiedział jeszcze, że państwo będzie nazywało się Izrael, więc te pierwsze, które trafiły do użytku już w niedzielę 16 maja, zostały oznaczone tylko jako znaczki „Poczty Hebrajskiej”.

Wcześniej

Niespełna pół roku wcześniej, 29 listopada 1947 r., Zgromadzenie Ogólne ONZ przyjęło rezolucję nr 181, decydującą o podziale Palestyny na dwa państwa: żydowskie i arabskie (przy czym Jerozolima i Betlejem miały pozostać pod kontrolą międzynarodową). Granice państw zostały precyzyjnie określone, ale były niezwykle skomplikowane i trudne do obrony – jak „dwa węze splecione we wrogim uścisku”.

Dla Arabów propozycja ONZ była nie do przyjęcia. Żydzi ją zaakceptowali. Choć daleka od ich oczekiwań, dawała im podstawy prawne do utworzenia państwa, i – co było wtedy szczególnie ważne – możliwość przyjęcia uchodźców z Europy. Jeszcze przed II wojną światową Brytyjczycy blokowali imigrację żydowską i nie zmienili tej polityki nawet podczas wojny.

Po 1945 r. sprawa żydowskich imigrantów stała się szczególnie paląca: setki tysięcy ocalałych Żydów nie miało się gdzie podziąć, wielu tkwiło w beznadziejnych warunkach w obozach dipisów (z ang. *displaced persons*, osoby przemieszczone). Teraz, po grozie Zagłady, mogli mieć własny kraj, co przekonało do syjonizmu nawet tych, którzy przed wojną do idei żydowskiego państwa podchodzili sceptycznie.

Przyjęcie rezolucji ONZ wywołało wybuch radości w żydowskiej społeczności w mandacie brytyjskim. Ludzie wyszli na ulice, bawili się. Wśród nich Aronson. Wspominał: „Nie wiem, co ludzie wtedy myśleli, czy zdawali sobie sprawę, że ta rzecz nie przejdzie u Arabów spokojnie. Przecież mieli już doświadczenie z ich reakcjami przez ostatnich 20 lat... Sam byłem świeżym emigrantem, który przybył do Palestyny zaledwie kilka miesięcy wcześniej i słabo orientowałem się w krajowej polityce, ale inni się tu urodzili i świetnie znali tę materię”.

Rzeczywiście, wkrótce tę falę optymizmu miała zakłócić przemoc – już następnego dnia arabskie bojówki zabiły ośmiu Żydów (uważanych za pierwsze ofiary wojny o niepodległość). Starcia żydowsko-arabskie stały się codziennością, wymykając się spod kontroli i doprowadzając do

zbrodni, popełnianych także przez Żydów na arabskiej ludności cywilnej. Niechlubnym symbolem tego okresu pozostaje wymordowanie przez żydowskie organizacje paramilitarne Irgun i Lehi arabskiej wioski Dajr Jasin.

Brytyjczycy starali się jak najmniej angażować w skomplikowaną sytuację. Nie zamierzali też w żaden sposób pomagać Żydom – przygotowywali się do ewakuacji, która miała nastąpić w maju 1948 r., w dniu wygaśnięcia mandatu.

„W mojej rodzinie zawsze były rozmowy o państwie żydowskim, ale nikt specjalnie nie wierzył, że Brytyjczycy tak łatwo oddadzą tę – jak uważaliśmy – bardzo strategiczną placówkę. Ale Brytyjczycy byli zwyczajnie zmęczeni wojną, i to był pierwszy krok do likwidacji imperium – wspominał Aronson. – Myśmy do ostatniej chwili nie wierzyli, że oni nie będą szukać jakiegoś pretekstu, jak na przykład ta wojna domowa, żeby odwołać ewakuację. Jak się jednak okazało, myśleli inaczej, chcieli pozbyć się tego kłopotu, który nazywał się Palestyna, i to zrobili”.

Ów kłopot, czyli mandat brytyjski, rzeczywiście od początku był źródłem konfliktów i napięcia – już pod koniec lat 20. XX w. Arabowie zaczęli atakować żydowskie osiedla, potem zaś, w latach 30., wybuchło arabskie powstanie.

W czasie II wojny światowej wydawało się, że jest możliwy sojusz Żydów z Brytyjczykami, wielu palestyńskich Żydów zaciągało się do brytyjskiej armii. Ale i to porozumienie okazało się nietrwałe w związku z blokowaniem przez władze mandatowe żydowskiej imigracji.

Wszystkie strony konfliktu uciekały się do przemocy, bezwzględności i terroru. Stawało się jasne, że utrzymanie *status quo* jest niemożliwe. Rezolucja ONZ z listopada 1947 r., przyjęta po długich negocjacjach i debatach, także nie zapewniła pokoju.

Ale też chyba nikt się go nie spodziewał.

Bój o przetrwanie

Choć Deklarację Niepodległości opracowywano w pośpiechu, to była pewna sfera powstającego państwa, gdzie przygotowania trwały od dawna – siły zbrojne.

Dla Żydów było oczywiste, że w chwili wycofania się Brytyjczyków Arabowie – nieakceptujący podziału Palestyny ani wedle rezolucji ONZ, ani wedle żadnej innej zasady – uderzą.

I że tym razem nie będą to potyczki z palestyńskimi oddziałami partyzanckimi, →

→ lecz z regularnymi armiami sąsiednich państw. Gdy doszło więc do starcia, okazało się, że liczennie siły izraelskie i arabskie są wyrównane: uczestniczące w walce armie arabskie liczyły ok. 27 tys. żołnierzy, a Hagana ok. 30 tys. żołnierzy. Ale Arabowie mieli lepsze uzbrojenie. Żydzi od lat starali się zdobywać broń, omijając zakaz jej importu, lecz brakowało im artylerii oraz innego ciężkiego sprzętu.

Żydowskie lotnictwo właściwie nie istniało. Wiele zawdzięczano Czechosłowacji, która za gotówkę sprzedawała broń i amunicję, a ostatecznie także samoloty typu messerschmitt, ze zdobyczy na Niemczech (dzięki tym samolotom Izraelczycy zatrzymali egipski marsz na Tel Awiw).

Problemem był też brak doświadczenia bojowego żydowskich imigrantów z Europy. Nie znali również hebrajskiego – języka używanego przez dowódców.

W pierwszej chwili była to więc armia ludzi słabo uzbrojonych i słabo wyszkolonych, którzy jednak przewyższali wroga determinacją. Dla Izraelczyków – i tych świeżo przybyłych, i tych urodzonych w Palestynie – była to wojna o przetrwanie.

Ben Gurion już wcześniej, podczas walk poprzedzających Deklarację Niepodległości, wydał rozkaz utrzymania każdej piędzi żydowskiej ziemi przyznanej przez ONZ. W praktyce oznaczało to dramatyczną walkę za wszelką cenę – do ostatecznej obrony, w pozostających często w izolacji kibucach.

Z każdym dniem izraelskie siły zbrojne jednak krzepły – po zakończeniu mandatu brytyjskiego otworzyły się drzwi dla żydowskich imigrantów, czyli także dla rekrutów, oraz na dostawy broni. Istniejące organizacje paramilitarne, jak Hagana czy Irgun, zostały zjednoczone w Siłach Obronnych Izraela (Cahal).

Triumf dla jednych, katastrofa dla innych

Była to pierwsza z wielu wojen, które miały potem nadejść.

Jej koszt dla Izraelczyków był olbrzymi: zginęło w niej ponad 6 tys. żołnierzy, czyli jedna piąta całej armii (był to zarazem jeden procent ówczesnej żydowskiej populacji Izraela). Wzięło w niej udział wielu z tych, których nazwiska miały wpisać się później w historię kraju – jak Icchak Rabin czy Ariel Szaron.

Szaron brał udział m.in. w ciężkich walkach o Latrun: wioskę kluczową dla kontrolowania drogi między Tel Awiwem

■ Aby zbudować państwo, potrzebne są **determinacja, siła militarna oraz naród polityczny**. Po wojnie o niepodległość Izrael spełniał już te warunki.

i Jerozolimą. Został tam poważnie ranny. Przyznawał później, że doświadczenie Latrun zostawiło na nim ślad. To wtedy miał przyjąć sobie zasadę, że musi zabierać wszystkich swoich rannych z pola walki, bez względu na koszty.

Po latach w rozmowie z Uri Danem powiedział coś znaczącego: „Podczas wojny o niepodległość mieliśmy zwycięstwa i dotkliwe porażki. Niemniej, mimo ciężkich strat, nigdy nie doświadczyłem najmniejszego poczucia rozpacz czy bezsilności. Nawet przez chwilę nie miałem wątpliwości i myślę, że inni czuli tak samo”.

Ta pewność siebie i swoich racji miała znaczenie, gdyż była to wojna również w znacznym stopniu psychologiczna: Izrael przeżył muskuły, przekonując przeciwników (z powodzeniem), że jest silniejszy niż w rzeczywistości. Takie psychologiczne znaczenie miało np. zbombardowanie Damaszku – pokazanie, że Izraelczycy są w stanie nie tylko się bronić, ale też atakować na terytorium wroga.

Natomiast to, co dla Izraelczyków było triumfem, torującym drogę do utrzymania własnego państwa, dla ludności arabskiej zamieszkującej Palestynę było tragedią. Arabowie do dziś nazywają tę wojnę Nakba, co znaczy Katastrofa (pisana wielką literą, bo traktowana jak nazwa własna).

Już w okresie poprzedzającym Deklarację Niepodległości, a potem podczas wojny, siły żydowskie zmuszały arabskich cywilów do opuszczenia swoich domów. Liczbę wypędzonych ocenia się na 750 tys. – to szacunki ONZ.

Wygnańcy i ich potomkowie

Proces ten, przez niektórych historyków określany jako czystka etniczna, obfitował w akty przemocy wobec cywilów – i dał początek nierozwiązanemu do dziś problemowi uchodźstwa palestyńskiego. Dziś liczbę żyjących jeszcze wygnańców

oraz ich potomków szacuje się na 5 mln; półtora miliona z nich żyje wciąż w obozach dla uchodźców (obecnie to prawie miasta czy osiedla, ale nadal tak nazywane).

Jednym z najbardziej drastycznych przykładów ówczesnych wypędzeń był los arabskich mieszkańców miast Lydda i Ramle w lipcu 1948 r. Arabowie z Lyddy musieli opuścić miasto pieszo. Niektórzy z nich zmarli po drodze, nie wytrzymując długiego marszu w upale. Jeden z żydowskich dowódców – Icchak Rabin, późniejszy premier – miał potem napisać, że psychologicznie była to dla niego jedna z najtrudniejszych akcji podczas tamtej wojny.

Co roku 15 maja, w rocznicę Nakby – ich Katastrofy – Palestyńczycy gromadzą się i symbolicznie przynoszą klucze, które wciąż zachowują, domagając się powrotu do swoich domów.

Izraelczycy

Wojna o niepodległość zakończyła się w 1949 r. Młodzieńcze państwo izraelskie nie tylko przetrwało, ale też znacznie poszerzyło swoje terytorium w stosunku do tego, co ustaliła ONZ. Jego istnienia nie można już było podważyć.

Wojna okazała się także momentem przełomowym w kształtowaniu się narodu izraelskiego. Do walki przystąpili wtedy młodzi ludzie, którzy urodzili się już w Palestynie, i którzy bronili swoich własnych domów. Obok nich walczyli imigranci z Europy, ocaleni z Holocaustu, którymi kierowała determinacja i może nawet rozpacz – wiedzieli, że nie mogą już na nikogo liczyć, że muszą sami wywalczyć swoje miejsce na ziemi. Wszyscy ci ludzie mieli różne doświadczenia i przekonania, mówili różnymi językami. Jednak z tej najkrwawszej z izraelskich wojen wyszli zjednoczeni. Jako naród polityczny.

Żeby zbudować państwo, muszą pojawić się polityczna wola i determinacja. Potrzebna jest też siła militarna, która państwo ochroni. Ale przede wszystkim potrzebny jest naród – rozumiany nie tylko w sensie etnicznym czy religijnym, lecz politycznym.

Po wojnie o niepodległość Izrael spełniał już te trzy warunki.

© PATRYCJA BUKALSKA

Korzystałam m.in. z książek: Konstanty Gebert „Miejsce pod słońcem. Wojny Izraela”, Patrycja Bukalska we współpracy ze Stanisławem Aronsonem „Rysiek z Kedywu. Niezwykłe losy Stanisława Aronsona”, Uri Dan „Ariel Sharon. An Intimate Portrait”.

Dziewczyny w szortach

PATRYCJA BUKALSKA

Gdy wybuchła wojna o niepodległość Izraela, wiele żydowskich kobiet dołączyło do powstającej armii. Ich walka często zaczęła się już wcześniej.

To pewnie przez krótkie szorty te zdjęcia mają atmosferę gorącego lata, wakacji. Dziewczyny są roześmiane, może szczęśliwe. Tylko w rękach często mają broń: sten, pistolet. Czasem łopatę. A na nogach solidne wojskowe buty. Ich koledzy też się śmieją.

Wszyscy są młodzi. Nawet jeśli się boją, czują niepewność, widzieli już śmierć – nie pokazują tego na zdjęciach. Widać, że wierzą w przyszłość, w siebie.

Gdy powstawało państwo

Największa z żydowskich podziemnych organizacji paramilitarnych, Hagana, zaczęła przyjmować kobiety już w latach 20. XX w., choć początkowo stanowiły znikomy procent jej członków (z czasem ich liczba rosła, aby pod koniec lat 30. osiągnąć poziom 20 proc.). Siły specjalne Hagany, czyli Palmach, zaczęły rekrutować kobiety na większą skalę w 1942 r. Potem, w czasie wojny o niepodległość, już co szósty żołnierz Palmachu był kobietą.

Wcześniej, w czasie mandatu brytyjskiego, były łączniczkami, kurierkami, przenosiły broń, pracowały w wywiadzie. Potem, gdy zaczęła się regularna wojna – gdy w maju 1948 r. ogłaszano niepodległość, trwała ona już zresztą od kilku miesięcy – kobiety nie tylko wzięły w niej udział, ale część walczyła ramieniem w ramieniu z mężczyznami. Choć ich droga na front była trudna – większość pełniła funkcje pomocnicze.

Tak było np. w brygadzie Jiftah. Kobiety stanowiły 40 proc. jej żołnierzy, ale w większości pozostawały na zapleczu: prały ubrania kolegów, gotowały, czasem wsuwały pod poduszkę kawałek czekolady. Pracowały też w łączności oraz w punktach sanitarnych. Były „matkami” – jak powiedział Jigal Allon, legendarny dowódca oddziałów Palmachu. To „matkowanie” było ważne, pomagało utrzymać wysokie morale.

Niewielka grupa kobiet chciała walczyć z bronią w ręku. Najpierw musiały być dopuszczone do szkoleń, potem musiały przekonać dowódcę swojego oddziału, by pozwolił im walczyć. Decyzja zawsze należała do niego.

Portret indywidualny

Kim były kobiety Hagany, Palmachu i innych formacji? Z badań prowadzonych przez Dganit Boni-Davidi wynika, że do Hagany wstępowały zarówno młode dziewczyny stanu wolnego, jak też mężatki i matki. Miały różne pochodzenie społeczne, a wiele z nich pozostawiło wspomnienia. Zdarzały się kobiety z rodzin religijnych, choć generalnie Hagana kojarzyła się ze środowiskiem świeckim.

Gila Ben Akiva wstąpiła do organizacji, gdy miała 18 lat. Nazywano ją „Hajinjit” (Rudowłosa). Szybko trafiła do Palmachu, brała udział w akcjach przeciw Brytyjczykom. Gila pochodziła stąd: urodziła się w 1925 r. w moszawie Nahalal.

Inna znana żołnierka Palmachu, Netiva Ben-Jehuda, urodziła się w 1928 r. w Tel Awiwie. Netiva była typem idealnego Sabry – czyli nowego modelu Żyda, urodzonego już tu: silnego, odważnego,

→

Żołnierka Hagany na patrolu w okolicy Hajfy. Dwa miesiące wcześniej wraz z koleżankami przybyła z Cypru do swej ojczyzny. Maj 1948 r.



BETTMANN / GETTY IMAGES

⇒ aktywnego. Była jedną z nielicznych kobiet, które już w 1940 r. ukończyły bojowe szkolenie Palmachu. Dowodziła plutonem, specjalizowała się w materiałach wybuchowych i akcjach sabotażowych. Chciała startować na olimpiadzie (rzuciła dyskiem), ale odniesiona w 1948 r. rana położyła kres tym planom.

Także Dita Perah urodziła się w Palestynie, w 1924 r. Jej ojciec Ben Jacob był współzałożycielem szkoły lotniczej Aviron i Dita została pilotem Palmachu. Z samolotu robiła zdjęcia arabskich wiosek i przekazywała je wywiadowi Hagany.

Pilotem była też Rachel Markovsk-Landau. Jej historia jest inna: urodzona w Łodzi w 1910 r., przybyła do Tel Awiwu z imigrantami. Jako pierwsza kobieta ukończyła kurs pilotów: w 1940 r. otrzymała licencję nr 66, na wszystkie typy samolotów.

Jeszcze w czasie mandatu brytyjskiego przemyciała samolotami broń i sprzęt dla żydowskiego podziemia.

Byle nie zawieść

– Gila Ben Akiva wiedziała, że musi się sprawdzić – mówi „Tygodnikowi” dr Sharon Geva z uniwersytetu w Tel Awiwie, która zajmuje się historią kobiet w Izraelu.

Bo kobiety, którym pozwolono walczyć, czuły, iż muszą udowodnić, że taka decyzja nie była pomyłką, że dadzą radę i nie są słabsze od mężczyzn. – One musiały walczyć dwukrotnie. Najpierw, aby w ogóle pozwolono im wziąć broń do ręki. Potem, by spełnić pokładane w nich oczekiwania, sprawdzić się – mówi Geva.

Wiedziały, że jeśli im się uda, otworzą drzwi dla kolejnych kobiet.

Hadassah Avigdor tak wspominała swoje doświadczenia w oddziale: „Byłam jedyną kobietą wśród 20 mężczyzn. Poza swoją bronią dzwigałam apteczkę, nosze i manierki”. I dalej: „Zbieram resztkę sił, by nie zostawać w tyle za chłopakami. Szybki marsz pod górę jest ponad moje siły, ale muszę zrobić wszystko, by nikt nie zauważył mojej słabości. Potem będą tylko o tym gadać i skarżyć się na dziewczyny... Musa uprzejmie zaoferował swoją pomoc, ale odmówiłam. Nie mogę dawać pretekstu do krytyki dziewcząt”.

W czasie wojny o niepodległość Gila Ben Akiva służyła w brygadzie Harel, która walczyła w bitwie o Jerozolimę. Brygada poniosła ciężkie straty, zginęło wiele kobiet. Gila przeżyła. Chyba się sprawdziła, skoro dostała od kolegów przydo-

mek „Jeanne” – od Joanny d’Arc. Była już wtedy dowódcą plutonu.

Flaga równości

– Kobiety, które wstępowały do Palmachu, chciały być jak mężczyźni. Chciały pokazać, że mogą robić to, co oni – mówi Geva. Dodaje, że było dla nich oczywiste, iż są równe. Choć bywało, że potem rzeczywistość okazywała się inna.

Już wiele lat po wojnie Netiva Ben Jehuda poświęciła Palmachowi kilka książek. Otwarcie pisała, jak legenda o równości mężczyzn i kobiet miała się do realiów. „Palmach wypisał na swej fladze »równość płci« i parę innych kwestii, a my, dziewczęta, miałyśmy wcielać to w życie. Musiałyśmy to zaakceptować i połknąć tę żabę” – pisała. Według niej chyba nigdy w żadnej podziemnej organizacji nie było tak wyraźnego męskiego szowinizmu.

Co trzeba jednak podkreślić, kobiety, które chciały być żołnierzami, nie robiły tego w imię równościowych haseł. Netiva Ben Jehuda wyraźnie podkreślała, że nigdy nie była sufrażystką. Dodawała jednocześnie, że była bardzo ambitna i знаła swoją wartość, również tę w ogniu wojny.

Inne kobiety mówiły podobnie. „Nie zrobiłam tego dla równej pozycji kobiety w tym kraju. Chciałam po prostu tego kraju bronić. Widziałam, że nie jestem w niczym gorsza od któregośkolwiek z chłopaków” – tak Rachel Markovsk-Landau tłumaczyła swą decyzję, by zostać pilotką.

Nie były gorsze. Ale gdy wojna się skończyła, zdecydowano, że kobiety nie będą już wysyłane do bezpośredniej walki – choć w Izraelu obowiązkowa służba wojskowa dotyczyła (i dotyczy) zarówno mężczyzn, jak i kobiet, to miały służyć w formacjach pomocniczych. Musiało minąć kilkadziesiąt lat, by kobiety znów zaczęły trafiać do oddziałów bojowych. Dopiero w 2001 r. pierwsza kobieta została pilotem myśliwca: Roni Zuckerman, wnuczka powstańców z warszawskiego getta Cywii Lubetkin i Icchaka Cukiernana.

Ciemna strona

Wojna to czas, gdy łatwiej jest przekraczać granice płci. Potem następuje powrót do tradycyjnych ról i czasem może to być trudne. Najtrudniejsze jest jednak poradzenie sobie z traumą, jaką – bez względu na okoliczności – niesie wojna.

Netiva Ben Jehuda odeszła z wojska w 1949 r. Była zasłużoną żołnierką – nie

bez powodu Arabowie nazywali ją „żółtym diabłem” i wyznaczili za nią nagrodę. Ale podobno nie mogła sobie poradzić z tym, że podczas jednej z akcji wysadzono autobus z arabskimi cywilami. Po latach pisała, że nie czuje i nie chce czuć dumy, gdy giną ludzie. „My, zabójcy, jesteśmy ofiarami tych, którzy wysłali nas, by zabijać” – mówiła w wywiadzie.

Pilotka Dita Perah nie miała tak traumatycznych doświadczeń, ale odeszła ze służby po urodzeniu dziecka. „Ta robota nie pasuje ani do fizjologii, ani mentalności kobiety” – mówiła.

Z kolei Rivka Guber poszła do wojska, będąc już matką. Przybyła do Palestyny jako imigrantka w 1925 r. W czasie II wojny światowej – już jako 40-latką i matką trójki dzieci – dołączyła do służb pomocniczych armii brytyjskiej. W poczuciu powinności wobec kraju wychowywała też synów. Obaj wzięli udział w wojnie w 1948 r. – i obaj zginęli (Efraim w marcu, Zvi w lipcu).

Resztę życia Rivka Guber poświęciła na służbę innym: uczyła dzieci w moszawach, pomagała integrować się imigrantom, spisywała relacje tych, którzy przeżyli Holokaust. Ben Gurion mówił o niej, że była wzorem oddania narodowi. Postrzegano ją jednak przede wszystkim przez cierpienie po utracie synów: była Em ha-Banim (Matką Synów). Stała się symbolem.

Kilka lat po śmierci męża Rivka Guber odebrała sobie życie. Dla kraju był to szok. „Być może cena była jednak za wysoka?” – napisała po jej śmierci jedna z dziennikarek.

Dzisiaj

Dziewczyny z Palmachu są dziś w Izraelu ikonami – nawet jeśli ich indywidualne historie są mało znane. Dr Sharon Geva podkreśla, że ważne było nie tylko to, co kobiety robiły podczas wojny o niepodległość, ale też po niej: – Budowały nowe życie, budowały państwo. To też było wyzwanie.

Dlatego kilka lat temu Sharon Geva zaczęła ze swymi studentami projekt: zamiast zaliczenia, mają napisać w Wikipedii hasło o kobiecie ważnej dla kraju. Muszą szukać źródeł, rozmawiać z ludźmi, którzy znali te kobiety. Odszukują ich historie, przywracają należne im miejsce – w końcu obok ojców założycieli Izraela były także matki.

Twarda, ascetyczna barwa głosu Dawida Ben Guriona idealnie komponowała się z trzeszczącymi radioodbiornikami, w które wsłuchiwały się tysiące Żydów w Erec Israel.

Był piątek, 14 maja 1948 r., chwilę po szesnastej, jeszcze przed szabasem. Zebrani w Muzeum Sztuki Tel Awiwu członkowie Tymczasowej Rady Państwa właśnie odśpiewali Hatikwę (hebr. Nadzieja), która stała się hymnem. Następnie przy centralnie ustawionym mikrofonie stanął Ben Gurion. Deklarację Niepodległości odczytał, a w zasadzie wygłosił z wielką stanowczością. Wiedział, że jego słowa zmienią bieg historii.

Faktycznie, tego dnia dokonały się głębokie przeobrażenia w światowej konstelacji geopolitycznej. Ale nie odbyło się to z niczego, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Ostre zasady, miękkie serce

Ben Gurion nie był Sabrą (tj. Żydem urodzonym w Ziemi Izraela). Jeden z twórców Izraela i jego pierwszy premier urodził się w 1886 r. w Płońsku na Mazowszu, pod zaborem rosyjskim. Do Erec Israel, wtedy części Imperium Osmańskiego, wyemigrował w 1906 r. Mimo to pasują do niego te cechy, które przypisuje się Sabrom: twarda powierzchowność i słodkie wnętrze. Trochę jak jadalny owoc kaktusów z rodziny opuncji (hebr. cabar).

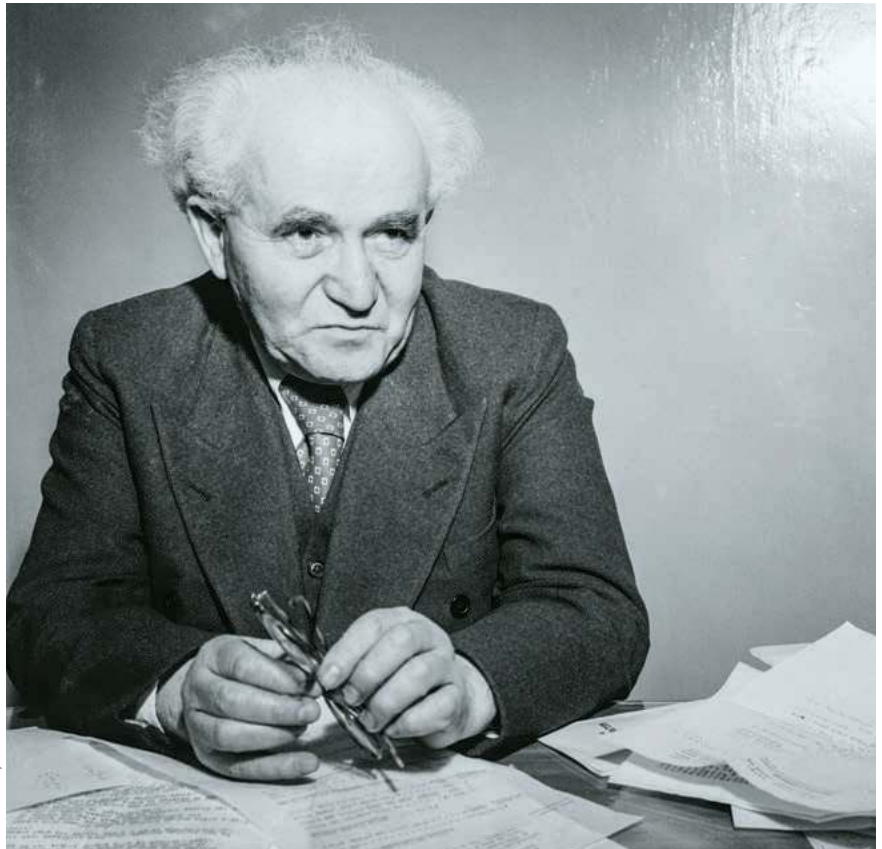
Portret Ben Guriona tworzy zresztą więcej paradoksów. Był oschły, ale jego przyjaciele wspominają, że niejeden raz „płakało jego serce”. Nie miał za grosz poczucia humoru, ale zapamiętano jego delikatny uśmiech. Był niski, ale wielu postrzegało go jako wysokiego. Wraz z wiekiem stracił większość włosów, ale te, które zostały, były zawsze rozwichrzone i sprawiały wrażenie bujnej czupryny. Był zachowawczy i nieufny wobec nowinek – to przez jego uprzedzenia w Izraelu z opóźnieniem wystartowała telewizja (bał się, że oderwie Żydów od pracy). Zarazem odwiedzając kiedyś uniwersytet, zapytał młodzież, jakich języków się uczy. Gdy zaczęli wymieniać angielski, francuski i inne, powiedział: „Świetnie, ale uczcie się też chińskiego!”.

Żył skromnie, o czym świadczą do dziś jego ascetycznie urządzone domy w Tel Awiwie i kibucu Sede Boker, w którym zamieszkał w 1953 r. (w obu miejscach są dziś muzea). Ale ten skromny styl życia szedł w parze z wysoką samooceną.

Polskie korzenie Izraela

ŁUKASZ TOMASZ SROKA

O tym, że państwo Izrael musi powstać, zadecydowano w Katowicach.



BETTMANN / GETTY IMAGES



ŁUKASZ SROKA

Dom Ben Guriona w Tel Awiwie (przy Ben-Gurion Boulevard 17), dziś muzeum jemu poświęcone. Powyżej: Ben Gurion, jeszcze jako przewodniczący Agencji Żydowskiej, Tel Awiw, 29 marca 1948 r.

Nie stronił od rywalizacji politycznej. W ostatnich latach przed proklamowaniem niepodległości jego głównym konkurentem był Chaim Weizmann, urodzony w 1874 r. na Polesiu (dziś Białoruś). Wytworny i wykształcony, wykładowca chemii na University of Manchester, Weizmann przez pewien czas dystansował Ben Guriona. Miał świetne kontakty w Londynie i do końca stawiał na Brytyjczyków. To go zgubiło.

Natomiast Ben Gurion wcześniej postawił na USA, przewidując, że wyrosną na potęgę i przejmą inicjatywę na Bliskim Wschodzie. Dzięki temu po 1945 r. mógł wybić się na pozycję lidera. Ale nie dążył do wyparcia Weizmanna z polityki – zaoferował mu prestiżową, choć honorową, funkcję prezydenta. Dziwnym trafem bieg wydarzeń 14 maja 1948 r. ułożono tak, że

→

Leon Pinsker
(w środku
pierwszego rzędu)
w towarzystwie
uczestników
kongresu
w Katowicach.
Listopad 1884 r.



ZE ZBIORÓW NARODOWEJ BIBLIOTEKI IZRAELA

→ pod Deklaracją Niepodległości zabrakło podpisu Weizmanna...

Noblista z Warszawy

Będąc przywódcą nurtu lewicowego w syjonizmie, Ben Gurion zwalczał izraelską prawicę. W ciągu pierwszych lat istnienia państwa działacze prawicowi mieli prawo czuć się spychanymi na margines życia społecznego, kulturalnego i politycznego. Partie lewicowe (do połowy lat 60. XX w. głównie Mapai) współ z ogólnoisraelskim związkiem zawodowym Histadrut zapewniły sobie monopol w wielu dziedzinach.

Ben Gurion do tego stopnia nie tolerował prawicy, że nie wymieniał nazwiska jej przywódcy Menachema Begina. Gdy musiał odnieść się do niego, mówił: „Pan, który siedzi obok posła Badera”. Chodziło o Jochanana Badera, który w Knesecie, izraelskim parlamencie, zajmował miejsce obok Begina. Bader urodził się w 1901 r. w Krakowie. Ukończył prawo na UJ i uzyskał stopień doktora. Współtworzył prawicową partię Herut i odpowiadał za jej program.

Z kolei Begin był absolwentem prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Do Erec Israel dotarł wraz z polską armią gen. Władysława Andersa.

W 1977 r. Begin został pierwszym prawicowym premierem Izraela. Wniósł do izraelskiej polityki klasę oraz zasady i zwyczaje rodem znad Wisły – Izraelczycy (niektórzy ze zdumieniem) mogli zobaczyć,

jak ich premier całuje panie w rękę. Tego gestu prawie już nie pamiętano (ci, którzy przybyli z innych kontynentów, w ogóle go nie znali). Begin został laureatem pokojowego Nobla w 1978 r., wraz z prezydentem Egiptu Anwarem as-Sadatem – za pokój, który obaj podpisali (do dziś Begin jest jedynym noblistą Uniwersytetu Warszawskiego).

Miał surową powierzchowność i nie był wolny od politycznych namietności, tym razem skierowanych przeciw lewicy. Np. jego rząd zlikwidował szereg przywilejów, którymi cieszyły się kibuce, co przyczyniło się do ich chwilowego załamania.

Te indywidualne cechy charakteru, nie zawsze pozytywne, nie umniejszają dokonania zarówno Ben Guriona, jak i Begina. Dziś upamiętniają ich nazwy ulic i placów, patronują uczelniom, instytutom naukowo-badawczym. Ben Gurion również największemu portowi lotniczemu Izraela: Tel Aviv Ben Gurion Airport.

Ale polskie korzenie Izraela wynikają nie tylko z miejsc, gdzie rodzili się i kształtowali jego ojcowie założyciele.

Pinsker i jego dzieło

Do narodzin ruchu syjonistycznego – stawiającego sobie za cel utworzenie państwa żydowskiego – doszło pod koniec XIX w. (termin „syjonizm” pojawił się w 1892 r.).

Przyczyniło się do tego wiele czynników. Można wskazać na przemiany cywilizacyjne w Europie i towarzyszącą im emancypację Żydów, ale też serię pogro-

mów w Europie Środkowo-Wschodniej i formowanie się nowoczesnego, agresywnego antysemityzmu. Jego symbolem stała się głośna sprawa Dreyfusa we Francji. Przypomnijmy: chodziło o oficera armii francuskiej, niesłusznie oskarżonego o szpiegostwo dla Niemców tylko dlatego, że był Żydem.

Sprawa Dreyfusa podzieliła Francję i była szeroko komentowana w Europie. Wśród obserwatorów jego procesu był Teodor Herzl – prawnik i dziennikarz. Było to dla niego doświadczenie przełomowe: troska o los Żydów spowodowała, że Herzl – wtórnicy w kulturę niemiecką i częściowo zasymilowany – stał się twórcą i ideologiem ruchu syjonistycznego. To on w 1897 r. zwołał słynny Pierwszy Kongres Syjonistyczny, w szwajcarskiej Bazylei.

Ale zanim do tego doszło, milowym krokiem na drodze do odbudowy państwa okazała się konferencja działaczy, których możemy określić mianem przedsyjonistycznych. Na ich czele stał Leon Pinsker (Jehuda Lejb).

Przyszedł na świat w 1821 r., na obszarze dawnej I Rzeczypospolitej. Przeglądając się niedoli Żydów pod panowaniem rosyjskim, Pinsker doszedł do przekonania, że należy odbudować siedzibę narodową Żydów. Skreślił swój manifest, który wydał w 1882 r. w postaci broszury pt. „Samowyzwolenie. Apel do Żydów”.

Następnie przystąpił do organizowania międzynarodowego zgromadzenia liderów społeczności żydowskich. Odbyło

się ono w Katowicach, w dniach 6–11 listopada 1884 r.

Wybór Katowic nie był dziełem przypadku. W Rosji syjoniści nie mogli się gromadzić (z powodu zakazu prawnego), zresztą przetoczyła się tam fala antyżydowskich pogromów. Katowice leżały na terenie Niemiec, ale w pobliżu granic Rosji – w sercu Europy, co umożliwiało wszystkim chętnym dogodny dojazd.

Katowicki kongres był pierwszym w dziejach nowożytnych zgromadzeniem liderów żydowskich z różnych państw świata, podczas którego podjęto decyzję o odbudowie siedziby narodowej Żydów w Erec Israel. Wówczas też zgłoszono wiele innych pomysłów, które miały zostać rozwinięte i zrealizowane już przez środowisko skupione wokół Herzla, Pinsker zmarł bowiem w 1891 r. Warto tu wymienić np. pomysł utworzenia funduszu narodowego, który miał zająć się skupem ziemi i finansowaniem osadnictwa w Erec Israel. Powstał w 1901 r., jako Żydowski Fundusz Narodowy (*Keren Kajemet le-Israel*).

Kibuce z Galicji

Zorganizowane fale migracyjne Żydów do Erec Israel (a potem do niepodległego już Izraela) nazywamy alijami. Hebrajskie słowo „alija” oznacza „wstępowanie”, „wznoszenie się”. Właściwie była to alija la-Arec – „wstępowanie do Ziemi”, tj. do Ziemi Izraela.

Pierwsze alije miały miejsce już pod koniec XIX i na początku XX w. O wiele większe odnotowano w dwudziestoleciu międzywojennym. Przy czym nie wszyscy Żydzi migrujący do Erec Israel byli zaainspirowani ideą syjonistyczną: wielu do emigracji skłoniła niedola lub narastający w całej Europie antysemityzm.

Duże grupy Żydów polskich zaczęły napływać do Erec Israel po I wojnie światowej. Na lata 1924–28 datujemy tzw. aliję Grabskiego: tworzyli ją w dużej mierze Żydzi z klasy średniej, których z Polski wypchnęły przykre skutki reformy walutowej, jaką wprowadził Władysław Grabski.

Po 1918 r. stowarzyszenia syjonistyczne należały do wiodących ugrupowań żydowskich w II Rzeczypospolitej. Każde starało się jak najlepiej przygotować swych członków do migracji i życia w Erec Israel. Działacze prawicowi kładli nacisk na naukę hebrajskiego i organizację kursów samoobrony. Z kolei na lewicy dużą wagę przywiązywano do kształcenia wśród



ZE ZBIORÓW PAŃSTWOWEGO HISTORYCZNEGO ARCHIWUM UKRAINY. LWÓW

Członkowie kibucu Achwa w Kotołomy (dziś na Ukrainie), dwudziestolecie międzywojenne.

Żydów umiejętności pracy kolektywnej, zwłaszcza fizycznej, oraz uprawy roli. W tym celu zaczęto zawiązywać kibuce (hebr. „zbiorowość”, „siedziba”), w których Żydzi – dzieląc środki produkcji i dochody – mieli wspólnie zajmować się rolnictwem.

W 1910 r. na południowym brzegu Jeziora Tyberiadzkiego w Dolnej Galilei kilkunastoosobowa grupa z Europy Środkowej i Wschodniej założyła pierwszy w Erec Israel kibuc, który przyjął nazwę Degania (hebr. „ziarno”). Dziś Degania uchodzi za „Matkę wszystkich kibuców w Izraelu”.

Znane nam źródła historyczne nie pozwalają określić daty powstania pierwszego kibucu w Polsce, wiemy jednak, że przed 1939 r. było ich tu więcej niż w Erec Israel. Te polskie miały jednak charakter eksperymentalny i były niewielkie, nie raz mieściły się po prostu w podwórzach kamienic Krakowa, Warszawy, Łodzi czy innych miast. Najwięcej kibuców było w dawnej Galicji.

Budowniczości Izraela

Już przed II wojną światową Żydzi polscy zaczęli odgrywać wiodącą rolę w kulturze, sztuce, nauce i gospodarce Erec Israel.

Poprzestając tylko na muzyce, wskazać trzeba na Bronisława Hubermana, który zainicjował powołanie narodowej orkiestry symfonicznej Izraela. Jej inauguracyjny koncert odbył się 26 grudnia 1936 r. w Tel Awiwie, pod dyktando Artura Toscaniniego. W dziedzinie muzyki rozrywkowej wyjątkowe miejsce zajął Mosze Wileński, który wyemigrował do Erec Israel w 1932 r. Uznaniem widowni cieszył

się współtworzony przez niego kabaret Li La Lo. Później został jednym z najwybitniejszych kompozytorów izraelskich.

Kolejne duże fale migracyjne Żydów polskich dotarły do Erec Israel po II wojnie światowej. Powodów do opuszczenia Polski było wiele: poczucie osamotnienia po Zagładzie, przekonanie o potrzebie budowy niepodległego państwa żydowskiego, a także atmosfera powojennego bezprawia i przemocy. Szeroki oddźwięk wywołał pogrom w Kielcach 4 lipca 1946 r.

Należy też pamiętać, że przed wojną duży odsetek Żydów pracował w handlu i rzemiośle, wielu uprawiało też wolne zawody, np. prawnicze. W państwie komunistycznym nie mogli oni liczyć na normalną kontynuację przedwojennych zajęć.

Wśród tysięcy Żydów polskich, którzy zdecydowali się na wyjazd, znalazła się rodzina Goldmanów, do 1939 r. prowadząca sklep galanterijny w Krakowie. Udało im się przeżyć, ale po 1945 r. rychło dały im się we znaki nowe realia: władze komunistyczne zwalczały wszelką inicjatywę prywatną, zwłaszcza handlową (tzw. bi-twa o handel).

W tej sytuacji w 1948 r. dojrzała u nich myśl o emigracji. Marcel Goldman (rocznik 1926) usłyszał od ojca słowa: „Nie chcę żyć w państwie w którym »dają«, lecz w takim, w którym kupuje się za pieniądze”. Do Izraela wyjechali najpierw rodzice z dwiema córkami (w tym jedną dla Marcela przybraną), a rok później dołączył Marcel.

Przykład Goldmanów jest tutaj znamienity: Żydzi polscy migrowali do Izraela ➔

⇒ pozbawieni jakichkolwiek majątków. Ich dorobek zwykle mieścił się w kilku paczkach i walizkach, które można było unieść (jak na zdjęciu poniżej).



ARCHIWUM PRYWATNE / ZBIORY ŁUKASZA T. SROKI

Marcel Goldman (pierwszy z lewej)
w drodze do Izraela, Salzburg 1949 r.

Kultura, nauka, gospodarka

Przywozili jednak ze sobą wiele: Żydzi polscy byli w dużej mierze świetnie wykształceni i zdeterminowani. Ci, którzy migrowali po 1945 r., chcieli odzyskać „sześć lat, które wojna wyrwała z życiorysu”. Choć większość nie знаła hebrajskiego, szybko uczyli się języka i integrowali w głównym nurcie społeczeństwa. W Izraelu chcieli cieszyć się życiem, założyć rodzinę i odnieść sukces.

Przykładem takiej postawy może być znów Marcel Goldman: po ukończeniu studiów powierzono mu misję zorganizowania nowej filii banku w Hajfie (miał wtedy 30 lat). Wkrótce został wicedyrektorem banku. W latach 1987-97 szefował bankowi izraelskiemu w Szwajcarii.

W latach 1956-60 do Izraela przybyła alija gomułkowska. Wedle różnych szacunków wyemigrowało wtedy od 48 do 51 tys. osób, z czego do Izraela dotarło ok. 43 tys. osób (blisko jedną trzecią stanowiły dzieci). W ślad za tak dużą grupą osób z PRL, w Izraelu pojawiły się nowe tytuły prasy polskojęzycznej, a także

książki. Otwarto nowe księgarnie, wyspecjalizowane w sprzedaży książek polskojęzycznych (wydawanych nie tylko w Izraelu, ale też w Polsce i innych krajach). Do rangi najlepiej zaopatrzonej urosła księgarnia prowadzona przez Edmunda i Adę Neusteinów w Tel Awiwie.

W ramach aliji gomułkowskiej przybyło wiele osób, które odegrały ważną rolę w życiu naukowym, kulturalnym, politycznym i gospodarczym Izraela. Przykładem obecna prezes Banku Izraela Karnit Flug albo pisarka Ida Fink. Duży dorobek w zakresie dialogu polsko-izraelskiego przynależny jest przewodnikowi z Muzeum Yad Vashem i współtwórcy raportu na temat obrazu Polski w podręcznikach izraelskich szkół średnich, Alexowi Danzigowi.

Po wydarzeniach Marca '68 z PRL do Izraela przybyło przeszło 3 tys. Żydów. Później masowe wyjazdy ustały – w Polsce pozostała już tylko garstka Żydów.

Dziedzictwo

Polskie dziedzictwo Izraela to temat wciąż żywy.

Dowodem trwałej aktywności Żydów polskich jest działalność takich organizacji jak np. Związek Krakowian w Izraelu. Na jego czele stoi energiczna i pełna pasji krakowianka Lili Haber, która odpowiada za szereg inicjatyw kulturalnych i wydaje magazyn „Nowiny Krakowskie”. Wielkim i zaangażowanym przyjacielem Polski jest niezmordowany Ryszard Löw – literat i społecznik. W zakresie kształcenia młodzieży szkolnej i akademickiej poważną rolę odgrywa Nili Amit – pisarka i edukatorka. W dziedzinie polityki i dyplomacji obfity plon przyniosła międzynarodowa aktywność Szewacha Weissa. A do Polski przyjeżdżają tysiące młodych Żydów, którzy szukają tutaj również swoich korzeni.

Tak są pisane kolejne rozdziały polskiej historii Izraela. © ŁUKASZ TOMASZ SROKA

Dr hab. ŁUKASZ TOMASZ SROKA

jest profesorem Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, dyrektorem Instytutu Historii i Archiwistyki UP. Zajmuje się badaniem historii Żydów w XIX i XX w., historii Izraela i Galicji. Autor książki (wspólnie z Mateuszem Sroką) „Polskie korzenie Izraela”, redaktor (wspólnie z Batyą Brutin) tomu studiów „Polish-Israeli Cooperation Experience from Zionism to Israel”.

Błądzący idealista

ANDRZEJ KRAWCZYK

**Był przywódcą
najbardziej skrajnego
podziemia żydowskiego
w Palestynie:
Abraham Stern,
rodem z Suwałk.**

Wszystko w tej historii jest wbrew stereotypom i politycznej poprawności, niereprezentatywne i bez wpływu na główny bieg wydarzeń. Ale się wydarzyło. I jako takie ma prawo do odnotowania w historii. Może zresztą przyglądanie się wydarzeniom spoza głównego nurtu ma szczególny sens? Pokazując one dylematy i emocje chwili, pozwalają też na odrobinę empatii. Pozwalają wczuć się w atmosferę dziejów – tak jak odbierali ją współcześni.

Abraham Stern urodził się w 1907 r. w Suwałkach, wtedy w zaborze rosyjskim. Wrażliwy i inteligentny, wychowywał się na styku trzech kultur: żydowskiej, rosyjskiej i polskiej. Wielki wpływ miał na niego dziadek ze strony mamy, który opowiadał mu o żydowskim państwie, które musi powstać i spełnić wielowiekowe marzenie Żydów. Z drugiej strony chłopak był konfrontowany z codziennością życia w Rosji, a później w wolnej Polsce. W tej codzienności Żyd – niezależnie, jak mu się powodziło – był obywatelem gorszej kategorii.

Z SUWAŁK DO PALESTYNY Gdy wybuchła I wojna światowa, na rozkaz władz carskich, dokonujących przymusowej ewakuacji z pogranicza z Niemcami, Lea Stern i jej synowie wyjechali z Suwałk. Trafili na wieś 700 km od Moskwy – pod miasto Sarańsk w Mordowi, między Moskwą a Uralem.

Abraham uczył się w domu. Na szczęście dla niego w Rosji wybuchła

rewolucja, ta pierwsza – z marca 1917 r. Obaliła carat i wprowadziła obowiązek szkolny (wcześniej go w Rosji nie było, dlatego po 1921 r. w województwach poleskim i wołyńskim II RP odsetek analfabetów przekraczał 75 proc.). Żydowskie dzieci mogły się teraz uczyć w gimnazjach. Stern zdał celująco egzamin wstępny do gimnazjum w Sarańsku, choć miał dopiero 10 lat i był młodszy od innych uczniów. Pod wpływem rodziny zaczął się też uczyć hebrajskiego.

Po powrocie do Polski zaczął chodzić do żydowskiego gimnazjum w Suwałkach. Gdy w 1925 r. żydowscy osadnicy założyli w Palestynie pierwszy w dziejach żydowski uniwersytet, rodzice zaakceptowali emigracyjne plany 18-latka. Opłacili jego podróż. Maturę miał zrobić w Jerozolimie, a potem studiować na uniwersytecie hebrajskim. I tak się stało.

W 1929 r., po wywołanych przez Arabów starciach w Hebronie – gdzie zginęło ponad stu Żydów – Abraham wstąpił do Hagany: żydowskiej samoobrony, założonej w 1920 r. Jego udział w walkach był skromny: bez broni, pełnił dyżury obserwacyjne na dachu synagogi na Starym Mieście w Jerozolimie. Mocno przeżył tę bezsilność. Jego radykalizm narastał. Został wyznawcą poglądów Zeewa Żabotyńskiego, że tylko zdecydowane akcje zbrojne (z ich punktu widzenia: odwetowe) wobec Arabów zabezpieczą żydowskich osadników.

PSEUDONIM „JAIR” To, że Abraham nie uwzględniał praw i racji arabskich, było oczywistością. A jako człowiek wychowany w Polsce za wzór do działania dla Żydów uważał polskie konspiracje i ruch oporu z roku 1863 albo z lat 1905-07. Podobno uwielbiał poezję Słowackiego (czytaną oczywiście w oryginale), szanował Piłsudskiego i jego Legiony. Kultem darzył historię obrony Masady – punktu oporu żydowskich powstańców na przełomie 73 i 74 roku naszej ery – i podziwiał jej obrońców, którzy wybrali zbiorowe samobójstwo, by nie wpaść w ręce Rzymian.

W 1923 r. Żabotyński proklamował powstanie Frakcji Rewizjonistycznej w Organizacji Syjonistycznej, zarzucając przywódcom ruchu syjonistycznego brak zdecydowania. W 1931 r., na XVII Kongresie Syjonistycznym, Żabotyński rzucił wyzwanie syjonistycznym liderom: liberałowi Chaimowi Weizmannowi i socjaldemokracie Ben Gurionowi.



Abraham Stern, lata 30. XX wieku.

Przyszłe kadry Frakcji Rewizjonistów miała kształtować powstała w 1923 r. organizacja młodzieżowa Betar, która na terenie Polski liczyła 70 tys. członków. Ze względu na kult siły i fascynację autorytarnym państwem oraz żywiołową niechęć do socjalistycznego Bundu była to organizacja znienawidzona przez lewicującą młodzież żydowską.

Abraham podążał za swym ideowym przywódcą. W 1931 r. wystąpił z Hagany i wstąpił do powstającej organizacji Irgun, która zakładała bezkompromisową walkę z Arabami i Brytyjczykami, postrzeganymi jako przeszkoda na drodze do państwa żydowskiego. Zaczął posługiwać się pseudonimem „Jair” – takie imię nosił dowódca obrony Masady.

29-LETNI KOMENDANT W 1933 r. Stern skończył studia i jako zdolny filolog dostał stypendium doktorskie na uniwersytecie we Florencji. Rozwijał się też jako poeta (wzorował się na polskich futurystach i Majakowskim). Pisał dramatyczne poematy, pełne patriotycznych uniesień oraz motywów śmierci i krwi.

W 1936 r. przyjechał po niego z Palestyny inny syjonistyczny radykał: Abraham Zilberg-Tehomi, jeden z byłych dowódców Hagany, który zorganizował dysydencki Irgun i wyprowadził do niego 7 tys. bojowników Hagany. Zilberg-Tehomi był sprawcą czynu, który w 1924 r. zaszokował ruch syjonistyczny w świecie: na schodach synagogi w Jerozolimie zastrzelił Izraela de Haana – znanego ultrare-

ligijnego Żyda z Holandii, który rozczarował się co do syjonizmu i apelował do Ligi Narodów i Brytyjczyków, aby w Palestynie utworzyć jedynie judaistyczne centrum życia religijnego i nie wpuszczać tam nie-religijnych Żydów.

Zilberg-Tehomi zaproponował Sternowi, by ten został jego zastępcą. 29-letni Stern porzucił doktorat, wrócił do Palestyny i zajął się konspiracją. Gdy rok później Zilberg-Tehomi pogodził się z przywódcami syjonistycznymi i wrócił do Hagany, Stern został dowódcą tych, którzy wracać nie chcieli.

Z POLSKIM WYWIADEM W ostatnich dwóch latach przed II wojną światową, jako najbliższy współpracownik Zeewa Żabotyńskiego, Stern kilka razy jeździł do Polski, którą obaj traktowali jako największy rezerwuar przyszłych kadr do walki o Izrael. Udało mu się nawiązać kontakty z polskim wywiadem – II Oddziałem Sztabu Generalnego. Mimo obaw przed antysemityzmem, nasilającym się w Polsce w latach 30., sondował możliwości wspólnego z Polakami szkolenia kadr dla żydowskich oddziałów.

Odpowiadało to polskim władzom, które z zadowoleniem patrzyły na każdą możliwość emigracji z Polski żydowskiej młodzieży. Żabotyński ze Sternem szacowali optymistycznie, że mają szansę na „wyciągnięcie” z Polski przez 10 lat 700 tys. młodych i wykształconych Żydów (żydowska mniejszość w II RP liczyła trochę ponad 3 mln osób). W 1938 r. na polskim poligonie na Wołyniu przeszkolono wojskowo grupę kandydatów na wyjazd do Palestyny. Wiosną 1939 r. zorganizowano w Andrychowie, u stóp Beskidów, kolejny kurs dla 20-25 osób (część przybyła z Palestyny). Kurs solidny: czteromiesięczny, dywersyjno-minerski.

Niektórzy historycy żydowscy szacują, że w ramach akcji Żabotyńskiego i Sterna z Polski do Palestyny przed wrześniem 1939 r. mogło wyjechać nawet 10-12 tys. Żydów.

OFERTA DLA NIEMCÓW Po wybuchu II wojny światowej Brytyjczycy aresztowali Sterna (jak to określili: prewentywnie). Trzymali go w więzieniu do czerwca 1940 r. Zwolniony, dowiedział się o proklamacji Irgunu – że wobec wojny z III Rzeszą organizacja nie będzie atakować Brytyjczyków. Wtedy Stern założył własną organizację i rzucił hasło – wedle

→ jego słów – „rewolty”. Jego organizacja Bojownicy za Wolność Izraela (hebrajski akronim: Lechi) liczyła tylko kilkaset osób. Ale byli zdeterminowani i ideowi, wręcz fanatyczni.

Stern uznał, że należy postępować jak Irlandczycy w 1916 r., którzy wywołali antybrytyjskie powstanie, choć Londyn był w środku wojny z Niemcami. Sformułował program „18 zasad odbudowy Narodu”, za głównego wroga uznając Brytyjczyków, a za najlepszą formę walki – akty przemocy wobec brytyjskiej administracji. Uważał, że ponieważ III Rzesza chce pozbyć się Żydów, to będzie popierać ich emigrację z Europy do Palestyny.

Nadchodzące z Europy wieści o przebiegu wojny w latach 1939-41 utwierdzały go w przekonaniu, że zwyciężcą w tym konflikcie będzie oś Berlin-Rzym i należy wywieść z tego praktyczne korzyści. Dlatego 1 listopada 1940 r. wysłał do niemieckiego ambasadora w Bejrucie emisariusza, z ofertą dla Berlina. Proponował – w nawiązaniu do hasła Hitlera o konieczności „rozwiązania kwestii żydowskiej” – wspólną pracę „dla realizacji wspólnego celu, jakim jest utworzenie żydowskiego państwa” (sic!). Ale Niemcy nie potraktowali poważnie inicjatywy Sterna, nie odpowiedzieli na nią. W świetle dzisiejszej wiedzy widać, że koncepcja Sterna była absurdalna. Ale trzeba uwzględnić fakt, że w 1940 r. systematyczny mord na europejskich Żydach jeszcze się nie rozpoczął.

„GANG STERNA” To, co stało się w listopadzie 1940 r. – gdy Brytyjczycy nie wpuszcili do Palestyny ponad 3,5 tys. żydowskich uchodźców z Wiednia, Gdańska i Pragi – i wcześniej brytyjska „Biała Księga” z 1939 r. (o ograniczeniu emigracji do Palestyny do 75 tys. Żydów w ciągu 5 lat) były dla Sterna dowodem na słuszność jego poglądów.

Uważał, że prowadzenie bezpośredniej walki zbrojnej będzie ważnym elementem przemiany Żydów w nowoczesne społeczeństwo i zerwaniem z defetystycznym żydowskim pacyfizmem z diaspory. Uznał też za dopuszczalne moralnie, by dla wsparcia działalności organizacyjnej dokonywać napadów na banki.

Choć był człowiekiem zsekularyzowanym, w jego myśleniu i wypowiedziach pełno było mistycyzmu walki o wyzwolenie, podpieranego cytatami z Biblii. Członkowie Lechi deklarowali się jako potomkowie starożytnych Żelotów, a w ich pu-

■ Choć dziś uznaje się, że koncepcje Sterna były błędne, docenia się jego idealizm i poświęcenie. **Podobno z szacunkiem odnosi się do jego postaci premier Netanjahu.**

blicystyce mówiło się o budowie Trzeciej Świątyni jako zakończeniu budowy państwa Izrael.

Działania Sterna budziły coraz większy opór również wśród społeczności żydowskiej. Zwłaszcza po tym, jak w kierowanych przez niego napadach na banki zginęło również dwóch żydowskich policjantów i dwóch żydowskich przechodniów. Brytyjczycy ogłosili go kryminalistą i niemiecką „piątą kolumną”. Za szkodnika i wroga uważał Sterna najbardziej znany przywódca syjonistyczny Dawid Ben Gurion. Pilnował nawet, by nigdy nie używano nazwy organizacji Sterna, lecz mówiono jedynie o „gangu Sterna”.

Na przełomie 1941 i 1942 r. władze brytyjskie wydały list gończy za Sternem i ogłosiły nagrodę za pomoc w jego ujęciu. Postawili też sobie za cel zniszczyć Lechi do ostatniego członka (na marginesie: jej bojownicy, w większości znający polski, wykorzystywali szczególnie kamuflaż konspiracyjny: przebierali się w mundury stacjonującej w Palestynie armii Andersa).

ZDELEGALIZOWANI, AMNESTIONOWANI

12 lutego 1942 r. brytyjska policja otoczyła konspiracyjne mieszkanie w Tel Awiwie, gdzie nocował Stern. Kilku policjantów wdarło się do mieszkania. Abraham został aresztowany. A kilka minut później zastrzelony przez dowodzącego akcją oficera.

W komunikacie stwierdzono, że Stern wyrwał się policjantom. Plotki mówią, że był skuty kajdankami, z rękami do tyłu. Prawdopodobnie zamordowanie go było swego rodzaju „wyrokiem bez sądu”, na który władze brytyjskie zdecydowały się wobec zagrożenia niemiecką inwazją – był to czas, gdy armie niemiecka i włoska odnosiły sukcesy w Afryce Północnej (ich ofensywę zatrzymano pod El-Alamejn dopiero jesienią 1942 r.).

Odpowiedzią Lechi było zabójstwo brytyjskiego ministra kolonii lorda Moyne’a, współautora brytyjskiej polityki w Palestynie i przyjaciela Churchilla. Zamachu dokonano w 1944 r. w Kairze – pokazując, że żydowska konspiracja może uderzyć także poza Palestyną. Również w 1944 r. zastrzelono na ulicy w Jerozolimie oficera policji, który aresztował Sterna.

Mimo śmierci twórcy, Lechi działała dalej. Najbardziej znaną jej akcją było zabójstwo dokonane 17 września 1948 r. na przedmieściach Jerozolimy: zginął hrabia Folke Bernadotte, szwedzki dyplomata. Był mediatorem ONZ w konflikcie arabsko-izraelskim (państwo Izrael istniało już od czterech miesięcy). Radykałowie z Lechi uznali, że Bernadotte zasługuje na śmierć za głoszenie idei powstania w Palestynie unii dwóch państw, żydowskiego i arabskiego, i za optowanie za prawem powrotu uchodźców palestyńskich do domów.

Jeszcze w 1948 r. państwo Izrael zdelegalizowało Lechi i zakazało jej działalności – jednocześnie, w lutym 1949 r., udzielając jej członkom generalnej amnestii.

PÓŹNIEJ Po wielu latach dominacji orientacji lewicowej i socjaldemokratycznej wśród twórców państwa i przywódców ruchu syjonistycznego, w 1977 r. wybory w Izraelu wygrała prawicowa partia Likud. W odróżnieniu od poprzedników odwoływała się do idei Żabotyńskiego i Betaru oraz wycofała się z otwartej krytyki Sterna przez Tel Awiw.

Choć dziś uznaje się, że jego koncepcje były błędne, docenia się jego idealizm i poświęcenie. Icchak Szamir – współpracownik Sterna i działacz Lechi – był w latach 1983-84 i 1986-93 premierem Izraela. Podobno do postaci Sterna z szacunkiem odnosi się Benjamin Netanjahu, od 1993 r. przewodniczący Likudu i premier w latach 1996-99 oraz od roku 2009 do dziś.

Mieszkanie, gdzie zginął Stern, jest muzeum Lechi i miejscem pielgrzymek prawicowej młodzieży. W kilku miastach nazwano na jego cześć ulice, a w 1978 r. prawicowy rząd Begin zainspirował pocztę do wydania znaczka z jego podobizną.

29 stycznia 2008 r. parlament uczcił pamięć Sterna specjalnym posiedzeniem z okazji stulecia jego urodzin. Premier Ehud Olmert w laudacji mówił o znaczeniu Sterna dla powstania państwa. Dodając, że „w ruchu syjonistycznym wybrał bardzo nietypową drogę”.

© ANDRZEJ KRAWCZYK

Państwo za wszelką cenę

TOM SEGEV, HISTORYK:

**Nasze państwo od kilkudziesięciu lat narusza prawa innego narodu,
nie zezwala na cywilne małżeństwa, pozwala na rasizm
i jest dalekie od równych praw dla obywateli.
A jednak różnorodność jego społeczeństwa to prawdziwy cud.**

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:

Jadąc do Pana, usłyszałam w lokalnym radiu rozmowę z naczelnym rabinem Izraela. Zapytany o wydarzenie w Berlinie – gdzie arabski imigrant zaatakował mężczyznę w jarmutce – odparł: „Bracia Żydzi, pakujcie się i wracajcie do waszego prawdziwego domu”. Miał rację? Izrael jest dziś jedynym bezpiecznym domem dla Żydów?

TOM SEGEV: Tak nie jest i nigdy nie było. Przed Holocaustem większość Żydów nie wybrała syjonizmu i Palestyny. Woleli zostać tam, gdzie byli, lub wyjechać do USA, Argentyny czy innych krajów.

Dziś wielu z nich oczywiście wspiera Izrael na odległość, choć część jest wobec niego krytyczna i ma żal o opresję wobec Palestyńczyków czy o monopol ortodoksyjnego judaizmu. Odpowiedź na to pytanie jest zatem bardziej skomplikowana,

niż chciałby tego zacytowany przez panią rabin.

Rozwiązaniem problemu nie jest wezwanie do pakowania walizek, lecz sformułowanie oczekiwań wobec niemieckiego rządu, by zapewnił należytą ochronę dla swoich żydowskich obywateli.

O syjonizmie często myślimy, że pozostaje w konfrontacji ze światem, także tym arabskim. Tymczasem pierwszą walką syjonizmu było przekonanie doń samych →

Mahane Yehuda w Jerozolimie: najstławniejszy targ na Bliskim Wschodzie.



→ Żydów. Ben Gurion ciągle miał z tym problem.

Zapytał go Pan o to tamtego dnia, gdy z grupą studentów wybraliście się do kibucu Sede Boker na wywiad?

Tak. Miałem wówczas 23 lata, a on 83. Powiedział nam, że gdy był malcem, wiedział już, że będzie żył w Palestynie. Upierał się: naprawdę tak było, miałem trzy lata i wszyscy to wiedzieli! A potem cały Północny żydowski przeniósł się do Izraela. Co nie było prawdą, cały Północny został w Polsce, wymordowali go naziści, a reszta wyjechała do Ameryki, ledwie paru do Palestyny. Ostatecznie Ben Gurion, już jako lider ruchu syjonistycznego, zauważył to i było to dla niego wyzwaniem.

Myśl, że Żydzi wcale nie potrzebują Izraela?

Pamięta pani, jaka była pierwsza rzecz, którą robili Żydzi ze Związku Radzieckiego w latach 70., po wojnie Jom Kippur, gdy docierali do Wiednia? Zmieniali samoloty i lecili do Ameryki. To był wielki cios dla ruchu syjonistycznego. Udać się na Florydę, oszukiwali kilka rządów. Najpierw sowiecki, potem izraelski, austriacki, a czasem lądowali na chwilę we Włoszech, więc i włoski. Potem docierali do Stanów i mówili, że są uchodźcami. A wcale nie byli, bo przecież mogli jechać do Izraela! Więc nie, nie jesteśmy krajem, o którym każdy marzy, żeby do niego przyjechać.

Ale sama jego egzystencja daje nadzieję na przetrwanie. Jest obietnicą, że w razie zagrożenia Żydzi będą potrafili się obronić.

W syjonizmie nie chodzi tylko o ratowanie Żydów przed prześladowaniami. Jest on oparty na idei, że egzystencja Żydów gdziekolwiek poza Palestyną jest nieprawidłowa. Proszę zobaczyć, jakie to myślenie jest krótkowzroczne: tysiące lat diaspora, wielkie umysły – od Rambama do Einsteina, cała żydowska obecność poza Palestyną – zła i nieprawidłowa. A jednak ci, co wyjechali do Stanów, zostali tam i nie potrzebowali państwa żydowskiego. Ben Gurion mierzył się z tym, ale też jako pierwszy zrozumiał, że Izrael nie może żyć bez żydowskiej społeczności w Ameryce. Wiedział, że nigdy nie wygralibyśmy wojny o niepodległość, że Izrael by nie powstał i nie przetrwał bez wsparcia Żydów z USA.

■ To pytanie zadaje sobie wielu Izraelczyków, także historyków: **Gdzie zrobiliśmy błąd, co mogliśmy zrobić inaczej?** Moja odpowiedź brzmi: nic nie mogliśmy zrobić inaczej. Mogliśmy tylko zdecydować, że nie budujemy żydowskiego państwa w Palestynie.

Jaki Izrael, 70 lat po ogłoszeniu Deklaracji Niepodległości, zastają dziś ci, którzy jednak decydują się na aliję?

Z jednej strony to jeden z największych sukcesów w historii XX w. Wystarczy rzut oka na statystyki ONZ, UNESCO, Światowej Organizacji Zdrowia, Banku Światowego. Wśród niemal 200 krajów świata Izrael jest zawsze w czołówce. To znaczy, że większość Izraelczyków żyje lepiej niż przeważająca część ludzi na świecie. Już to przekracza oczekiwania Ben Guriona.

Z drugiej strony jest to kraj z dużą liczbą ludności arabskiej – czyli coś, czego Ben Gurion starał się uniknąć. U początków państwa miał nadzieję, że wszyscy Arabowie zostaną wywiezieni, wygnani, zmuszeni do ucieczki. Posiadanie większości żydowskiej w Izraelu było dla niego najważniejsze, nawet za cenę części państwa. On wierzył, że to pozwoli zadbać o granice. Ben Gurion nie chciał okupować terytoriów zaludnionych w 1948 r. przez Arabów – Zachodniego Brzegu, Wschodniej Jerozolimy i Gazy – i potem był przeciwny wojnie w 1967 r. Wiedział, że to będzie oznaczało zwiększenie liczby Arabów w kraju. „Oni przecież nie uciekną znowu” – mówił. A już w 1919 r. powiedział coś, co brzmi dziś jak przepowiednia: że jest różnica między Żydami i Arabami, która nie może być wypelniona. Konflikt, który istnieje, nie może być rozwiązany. To był nowoczesny sposób spojrzenia na ten problem, bo dziś tak widzi go większość Izraelczyków, Palestyńczyków i ludzi na świecie.

Spodobałoby się Ben Gurionowi to, co zobaczyłby teraz?

Myślę, że byłby bardzo niezadowolony z przyszłości tego państwa. Zresztą już wtedy był rozczarowany. Większość ludzi, których chciał zobaczyć, nigdy tu nie dotarła. Zginęli w Holokauście. Ruch syjonistyczny z pewną niechęcią zwrócił się potem do Żydów w państwach arabskich i sprowadził ich do Izraela.

Ta niechęć odbiła się później na kształcie izraelskich elit przez dekady. I zmarginalizowała mniej chcianych przybyszów.

Dziś opisałibyśmy to w kategoriach rasistowskich. Proszę sobie wyobrazić, że w którymś z wczesnych lat istnienia Izraela Agencja Żydowska dostała wiadomość, że Polska wypuszcza Żydów z kraju. Pojawiło się pytanie, jak ich zakwaterować, gdy się pojawiają. Było oczywiste, że nie mogą trafić do baraków czy namiotów. Przecież przyjeżdżają z Polski! Z Europy! Osoby w Agencji też były z Europy Wschodniej, więc w protokole czytamy, że trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie, bo „wszyscy należymy do tego samego klanu”. A więc zapada decyzja, by wynająć dla ludzi z Polski pokoje hotelowe. Bo jeśli trafią do namiotów, napiszą do domu: „Nie przyjeżdżajcie, to okropny kraj!”. Druga część spotkania koncentruje się na kwestii: jak ukryć ten fakt przed prasą? Bo jeszcze wyjdzie na jaw, że dyskryminujemy innych na rzecz Polaków! Dyskryminacja Mizrachijczyków [Żydów z krajów arabskich – red.] i faworyzowanie przybyszów z Europy są więc dobrze udokumentowane.

Ben Gurion mówił o nich naprawdę okropne rzeczy. Nie był to jednak czysty rasizm, lecz elityzm. Bo rasizm wymaga nienawiści, a on nie nienawidził Żydów z krajów arabskich. Uważał natomiast, że nie może zbudować z nimi państwa. Że są prymitywni. Zresztą nie oszczędzał też ocalonych z Holokaustu, ludzi kompletnie złamanych. Mówił okropne rzeczy również o nich.

W ogóle Dawid Ben Gurion nie był miłym człowiekiem. Podczas naszego spotkania z nim w kibucu Sede Boker odniosłem też wrażenie, że jest bardzo samotny. Że gnębi go jakaś depresja. Pamiętam, że w środku rozmowy ni stąd, ni zowąd zwrócił się do nas i powiedział coś dziwnego: „Chciałem mieć jeszcze jedno dziecko, ale Pola nie chciała”.

A jednak w tym, co się dziś o nim mówi i pisze – pomijam jego zagażowane życie osobiste i liczne romanse – czuć ogromną nostalgię. Stał się ikoną, także izraelskiej popkultury. Co ta tęsknota mówi o Izraelczykach? Czego im dziś brakuje?

Zainteresowanie jego życiem jest ogromne, czego sam doświadczyłem: gdy pisałem książkę o Ben Gurionie, równolegle w przygotowaniu były cztery inne jego biografie. Jeszcze za życia Ben Gurion był bardzo kontrowersyjnym człowiekiem. Nigdy nie dostał więcej niż 47 mandatów w Knesecie, co oznacza, że w wyborach wcale nie otrzymywał wsparcia większości Izraelczyków. Żył od jednego skandalu do drugiego – politycznego, nie osobistego. Jego mit rósł latami, zrobił z niego człowieka-pomnik. Myślę, że ludziom brakuje dziś takiej władzy, która odpowiadałaby mitowi Ben Guriona.

Władzy obfitującej w skandale?

Nie. Chodzi o taką władzę, która zachowywałaby integralność i wizję.

Premier Netanjahu nie spełnia tego kryterium?

Paradoksalnie, bo przecież Netanjahu jest dziś prawdziwym rzecznikiem Izraela. Izrael to nie dziennik „Haaretz” [lewicowo-liberalny – red.], tylko właśnie on, „Bibi”. Nie jego ministrowie, nie żadna ekstremistyczna prawica – lecz on, centrowprawicowy premier, którego postawa dobrze obrazuje nastroje w Izraelu. Prawdą jest to, że większość Izraelczyków żyje dziś lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Że dzieje się tak, choć dla dobrobytu nie musieliśmy z niczego zrezygnować na rzecz Palestyńczyków. Tzw. proces pokojowy jest martwy i wszystko zdaje się być pod kontrolą, także palestyńscy terroryści. Premierowi Netanjahu blisko jest do Trumpa czy Putina, jest uznawany za jednego z największych międzynarodowych przywódców. A jednak brak mu osobistej integralności.

To znaczy?

Jest podejrzany o korupcję, łapownictwo. Wprawdzie większości Izraelczyków to nie interesuje, dopóki są bezpieczni. Ale nie mogą takiej władzy szanować, jeśli zmienia ona swoje poglądy z dnia na dzień, w zależności od tego, skąd powieje polityczny wiatr. Tymczasem Ben Gurion był w swych przekonaniach bardzo stały,

rzadko kiedy zmieniał zdanie i myślę, że ludzie mu wierzyli, bo widać było, że on ufa samemu sobie. Czy Netanjahu wierzy w to, co mówi? Sprawia wrażenie, jakby bardziej był skoncentrowany na swoim medialnym wizerunku. Tak jak Jair Lapid [jeden z polityków opozycji – red.], co do którego każdy tu ma wątpliwości, za czym on właściwie jest i co reprezentuje.

Ale przecież premier ma spójną wizję. Spisał ją nawet w wydanej w 1993 r. książce „Miejsce między narodami”. Podobno wciąż do niej zagląda przy podejmowaniu decyzji. Bardziej niż jakikolwiek inny syjonistyczny tekst – ten kształtuje dzisiejszy Izrael.

Nie ma takiego kanonicznego tekstu, z którym wszyscy Izraelczycy by się zgadzali. Nasze społeczeństwo jest głęboko podzielone, wyznaje różne wartości. Mamy różne narracje, np. jest narracja syjonistyczna i palestyńska. Historia jest bardzo polityczna w Izraelu, podobnie zresztą jak wizja przyszłości. Ciągłe spieramy się, co można powiedzieć, czego nie można, co jest prawdą, a co nie. W narracji historycznej trwa ciągła walka. To też zresztą sprawia, że izraelska polityka jest tak ciekawa. Ale izraelska wspólnota się chwieje.

Co ma Pan na myśli?

To, co już powiedziałem: że nie ma w tym kraju jednej narracji. Jeden na czterech Izraelczyków nawet nie jest Żydem – jest Arabem. Mamy też *haredim*, religijnych Żydów, którzy w swojej opinii nie przynależą do Izraela, a w dodatku różnią się od siebie nawzajem. Mamy biednych i bogatych, mamy osobne, ledwie stuletnie „państwo Tel Awiw” i oddaloną o 50 minut drogi, liczącą trzy tysiące lat, Jerozolimę: polityczną, fanatyczną, nietolerancyjną.

Jakim więc cudem jeden kontrowersyjny polityk zdobywa taką przewagę?

Myślę, że popularność „Bibiego” wynika z sytuacji ekonomicznej. W czasie jego rządów sytuacja Izraelczyków bardzo się poprawiła. To jedno z niewielu państw, które nie ucierpiało z powodu kryzysu gospodarczego. Owszem, jest bardzo drogo, ale nie ma bezrobocia i inflacji, a to nas przecież w przeszłości boleśnie dotknęło – niemal 500-procentowa inflacja pod rządami Peresa – i wiemy, jak to jest. Jest więc mniej strachu o byt. Przywództwo Netanjahu nie wymaga też żadnych poważniejszych decyzji. Nie musimy decydować,

czy oddajemy terytoria, osiedla, wszystko jest mniej więcej pod kontrolą. Możesz spędzić miły wieczór z przyjaciółmi i nie wspominać „Bibiego”, okupacji ani przyszości terytoriów [okupowanych – red.].

To życie w ciągłej iluzji.

Oczywiście. Okupacja jest bardzo szkodliwa. Nie tylko niemoralna, bo systematycznie naruszamy prawa człowieka milionów ludzi, przez dziesięciolecia. Nie wiemy też, w którą stronę to pójdzie, jaka będzie nasza przyszłość. Może dążymy do kolejnej Nakby z 1948 r.? [terminem Nakba (Katastrofa) Palestyńczycy określają swoje wygnanie z zamieszkiwanej ziemi po powstaniu państwa Izrael – red.]. Nie wiem. Jeśli posłuchasz niektórych ministrów czy osadników, to stwierdzisz, że nie jesteśmy od tego daleko.

Jak Pan z tym żyje? Jak żyją na co dzień Izraelczycy?

W tym kraju praktycznie nie ma lewicy jako opozycji. Nie wiem, nie mam odpowiedzi na to pytanie. Ta sytuacja jest chyba dla nas wygodna.

Dziwi mnie to, choć dostrzegam, jak łatwo jest przejść nad tym do porządku dziennego.

Może jesteśmy już zmęczeni. Szczęśliwi, że jest tak, a nie gorzej.

W tyle głowy wciąż jest Holocaust?

Jeśli zapytasz dzieci w liceum, czy czują się ocalonymi z Holocaustu, osiem na dziesięć odpowie, że tak. Wiem, to brzmi niedorzecznie: urodziłeś się w Izraelu, twój dziadek przybył z Maroka, co masz wspólnego z Holocaustem? A jednak poczucie, że ta historia może się powtórzyć, sprawiło, iż setki tysięcy Izraelczyków stanęły w kolejkach po europejskie paszporty. Bardzo głęboko w środku nas czai się ten egzystencjalny lęk.

Trudno się dziwić, jeśli edukacja o Holokauście zaczyna się w wieku przedszkolnym. Nie za wcześnie?

To problem. W przedszkolach zaczyna się o tym mówić już od trzeciego roku życia. Powstał problem, jak wytłumaczyć maluchom, dlaczego w dniu pamięci o Zagładzie wyją w miastach syreny, a ludzie zatrzymują się na minutę. Ministerstwo Edukacji próbowało więc sformułować jakąś ogólną informację, którą można przekazać dzieciom.



→ Tylko że izraelskie dzieciaki przychodzą do domów z informacją, że wprawdzie był kiedyś zły pan, który zrobił krzywdę Żydom, ale dziś nie trzeba się już bać, bo mamy dzielną armię. To już brzmi jak propaganda.

Tak, jest jakaś tendencja, aby wychować Izraelczyków w poczuciu, że cały świat jest przeciw nam, że mamy wielu wrogów. Ale wszystko zależy od dyrektora danego przedszkola. W tym roku w przedszkolu moich wnuków nie mówiło się o Holokaucie w ogóle, a przedszkolanka zostawiła rodzicom wolną rękę, czy chcą o tym sami rozmawiać z dziećmi.

Wolność, sprawiedliwość, równość – wartości zapisane w Deklaracji Niepodległości – mają jeszcze rację bytu w Izraelu? Nie jest czasem tak, że współczesny Izrael – z budową kolejnych osiedli na Zachodnim Brzegu, zachwycony przeniesieniem ambasady USA do Jerozolimy, nierówno traktujący ekstremistów palestyńskich i żydowskich – nie jest przypadkiem zdradą wartości zawartych w Deklaracji Niepodległości?

Nie nazwałbym tego zdradą, ale na pewno nie jest to zgodne z ideą Deklaracji. Oczywiście możesz powiedzieć, że była ona w dużej mierze skierowana do świata zewnętrznego: Izrael walczył o uznanie, musiał stworzyć jak najbardziej liberalną i pozytywną Deklarację Niepodległości. Każde słowo było mierzone politycznymi negocjacjami. Prawie że doszło do jej niepodpisania za sprawą sporu, czy Bóg ma być w niej wspomniany! Żydzi religijni i niereligijni nie mogli dojść między sobą do porozumienia. W końcu znaleziono inne określenie: Tzur Israel, Opoka/Skała Izraela, stąd w ostatnim zdaniu Deklaracji Niepodległości mamy „składając całą naszą ufność w Opocę Izraela”.

Czy w czasie tych 70 lat była możliwość, patrząc z dzisiejszej perspektywy, aby zapobiec konfliktowi z Arabami?

Nie. Już w 1919 r. Ben Gurion powiedział, że na ten problem nie ma lekarstwa. To pytanie zadaje sobie wielu Izraelczyków, także historyków: gdzie zrobiliśmy błąd, co mogliśmy zrobić inaczej? Moja odpowiedź brzmi: nic. Nic nie mogliśmy zrobić inaczej. Mogliśmy tylko zdecydować, że nie budujemy żydowskiego państwa w Palestynie. Ale gdy już się na

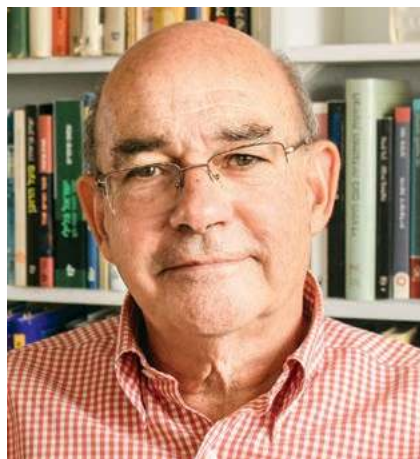
to zdecydowaliśmy, oznaczało to wojnę. Dlatego jedną z moich książek zatytułowałem: „Państwo za wszelką cenę”. Częścią tej ceny jest życie bez pokoju. Tragedia palestyńska. Życie od wojny do wojny. To dlatego tak wielu Żydów zdecydowało się nie przyjeżdżać tutaj. Nigdy nie było żadnej możliwości zrobienia czegokolwiek, by uniknąć konfliktu. Bo to nie jest spór o granicę czy o dostęp do wody. To spór o tożsamość. O dwa narody, które chronią ją przez obecność na danym terytorium. Calem.

Kompromis nie wchodzi w grę?

Każdy kompromis powoduje kompromis tożsamości. Spójrzmy na kwestię najważniejszą: Jerozolimę. Wszyscy mówią, że wystarczy, aby Jerozolima była stolicą obu państw, i wszystko się ułoży. Ale jak to zrealizować w praktyce? Ben Gurion wierzył kiedyś, że Palestyńczycy zapomną o swoich domach. Nie zapomnieli. Dalej przechowują klucze do swoich nieistniejących już domów.

Widzi Pan tu miejsce dla swoich wnuczek?

Gdy zabieram jedną z nich do Tel Awiwu na spektakl czy do opery dziecięcej, niemal nie zdarza się, abym nie usły-



KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

TOM SEGEV (ur. 1945) jest izraelskim historykiem, dziennikarzem i pisarzem, specjalizuje się w dziejach najnowszych Izraela. W Polsce ukazał się jego „Siódmy milion”. Na rynku izraelskim właśnie pojawiła się jego najnowsza publikacja: biografia Ben Guriona (w przygotowaniu jest jej tłumaczenie polskie).

szął w pociągu miłego, lecz natrętnego i domagającego się wyjaśnienia: „Ojej, jaka śliczna dziewczynka! Ale wcale do pana niepodobna!”. Zwykle muszę wtedy tłumaczyć, że mam adopcyjnego syna, który pochodzi z Etiopii.

Kiedyś, gdy jeszcze był on studentem, zapytałem go: „Itay, czy wierzysz w pokój?”. Odpowiedział: „Przecież wiesz, że nie”. Dążyłem: „Może wyjedziesz, możesz znaleźć pracę w Kanadzie, Australii. Przecież nie chcesz, by twoje dzieci żyły od wojny do wojny, w ciągłej niepewności”. Odpowiedział: „Nie, nigdy więcej nie chcę być emigrantem. Emigrantami byli twoi rodzice i ja to w tobie widzę. Ja sam jestem emigrantem i moje dzieci również będą to wtedy widziały. A więc nie chcę zaczynać znowu w innym kraju”. Odpowiedziałem, że to ciekawe, bo właściwie esencją syjonizmu było zawsze przekonanie: byle tylko nie być znów emigrantem.

To dziś wystarczająca motywacja, by emigrować do Izraela?

Mojemu synowi często zdarza się w supermarkecie, że ktoś bierze go za pracownika obsługi i pyta, gdzie jest cukier. Bo skoro ma etiopski wygląd, coś innego mógłby w tym miejscu robić? Izrael to także państwo, które przez 50 lat ignoruje prawa człowieka całego narodu, nie zezwala na cywilne małżeństwa i generalnie jest dalekie od równych praw dla swoich obywateli. Ale jest coś miłego w różnorodności Izraela. Czasem jadę autobusem, rozglądam się i myślę, że to cud. Ludzie przyjechali tu z setki różnych krajów, mówią kilkudziesięcioma językami i mimo tego udało im się stworzyć społeczeństwo, które nie jest najgorsze na świecie. Żyje mniej więcej według demokratycznych reguł. Większość ludzi na świecie nie cieszy się przecież taką wolnością i demokracją jak Izraelczycy. Nie jest to więc najgorsze miejsce do życia.

Gdy Itay był mały, napisałem o nim w felietonie dla „Haaretz”. Pisałem wówczas, że jeśli w przyszłości będzie szczęśliwy w Izraelu, będzie to dowód, że syjonizm jest w porządku. Dziś nie jestem wprawdzie dumny z tego zdania, ale nie ma wątpliwości: ten mały chłopiec dorósł, zrobił karierę, świetnie sobie radzi i – mimo pytań w sklepie, gdzie jest cukier – chce tu zostać.



Radość po sukcesie Netty Barzilai, która wygrała konkurs Eurowizji. Skwer imienia Icchaka Rabina w Tel Awiwie, 13 maja 2018 r.

To już nie jest ten sam Izrael

OZ ALMOG, SOCJOLOG:

W społeczeństwie izraelskim obserwujemy zanik narodowej syjonistycznej kultury, jej ultrapatriotyzmu. Kraj jest bardzo podzielony, pełen konfliktów. Co nie przeszkadza mu odnosić sukcesów na wielu polach.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: W filmie promującym 70-lecie kraju izraelski MSZ pyta, co dziś znaczy być Izraelczykiem. I odpowiada, że to znaczy pochodzić z różnych stron świata – Maroka, Polski, Argentyny czy Palestyny – świętować Pesach, Ramadan, Mimounę lub Boże Narodzenie, zjadać marokański kuskus, gulasz węgierski lub „polskie” gefilte fisz. „Bycie Izraelczykiem to wolność do bycia sobą” – mówi lektor. Przyjemna, choć infantylna wizja sugerująca bezproblemowe i radosne trwanie w kulturowym tyglu współczesnego Izraela. Panu z tą wizją po drodze? Bo ja, żyjąc tu, dostrzegam w niej sporo pęknięć.

OZ ALMOG: Patrzę na to głębiej. Z punktu widzenia socjologii i psychologii narodu

można stwierdzić, że weszliśmy w erę postsyjonistyczną.

Izrael się zglobalizował. Ponad milion ludzi podróżuje stąd rocznie za granicę, to najwyższy odsetek *per capita* w skali światowej.

Sytuacja ekonomiczna znacząco się zmieniła: w skali globalnej zajmujemy 23. miejsce pod względem standardów życia. Jednocześnie obserwujemy zanik narodowej syjonistycznej kultury, jej ultrapatriotyzmu wynikającego z rewolucji, jaką to społeczeństwo przeszło.

Kraj jest bardzo podzielony, pełen konfliktów. Owszem, solidarność istnieje, głównie w sytuacjach zagrożeń, bo wciąż jesteśmy otoczeni przez wrogów, wyizolowani – geograficznie, politycznie i kulturowo. Ale to już nie jest ta sama solidarność co kiedyś, nie ta sama naiwność czy

bezgraniczna wiara. To już nie jest ten sam Izrael.

Czy dobrze słyszę w tym nostalgię za syjonizmem?

Izraelczycy – także ortodoksyjni Żydzi – wciąż się z nim identyfikują.

Syjonizm jest ideologią moralną i takim też ruchem. Ale również czymś w rodzaju świeckiej religii – trochę jak komunizm w sensie psychologicznym. Jeszcze do niedawna był zbiorem symboli, norm, rytuałów, uczuć, emocji, sposobów postrzegania świata. I to się niedawno drastycznie zmieniło.

Wróćmy na chwilę do pierwszych imigracji. Już te z końca XIX w. kreują mit Sabry, nieodłącznie związany z syjonizmem.



→ To mit nowego Żyda. „Nieżydowskiego”, „Żyda-goja”.

Jest on odpowiedzią na szalejący w Europie antysemityzm?

Tak – niebezpośrednio i paradoksalnie. Główną diagnozą syjonistów było to, że Żydzi żyją w diasporze, w nienaturalnych dla siebie warunkach. Nie zostali zaakceptowani, bo są bardzo przywiązani do swojej tożsamości, także religijnej, a to nie było akceptowane przez nowych nacjonalistów, którzy wymagali totalnego oddania ówczesnym nowym narodom, wykreowanym przez narodową rewolucję i rewolucję przemysłową wieków XIX i XX. A więc rośnie antysemityzm. Nic dziwnego, że syjoniści doszli do wniosku: potrzebujemy własnego kraju, ziemi, niepodległości, nie możemy od nikogo zależeć. W tej chwili nie jesteśmy bezpieczni, czujemy się bezbronni, nasza śmierć jest mniej warta. A przecież mamy już naszą antyczną ojczyznę, nie musimy jej wcale wymyślać. Mamy wszystkie składniki tej ojczyzny: jej obietnicę zapisaną w świętych pismach, historyczne dokumenty, sentyment. Jedyne, czego nam brakuje, to zbudowanie tej starej-nowej ojczyzny – poprzez imigrację do Izraela.

I kogoś, kto tę ojczyznę wywalczy.

No właśnie, bo tu jest kolejna diagnoza: mentalność – główny problem Żyda w diasporze – sprowadza się właściwie do jego pasywności, do oczekiwania na Mesjasza. Ponieważ nie jest niezależny, łatwo go skrzywdzić, łatwo pozbawić go podstawowych człowieczych praw. Np. w Polsce Żyd nie może kupić własnej ziemi, więc co robi? Zostaje handlarzem. I to zresztą, zamiast uspokoić prawodawców, tylko zaostrza antysemityzm.

Syjoniści mówią więc: trzeba wyeliminować pasywność, stworzyć niezależnego, aktywnego, samowystarczalnego Żyda. I tu rodzi się idea Sabrów: pierwszych pokoleń w moszawach [moszawa to spółdzielnia rolnicza; od kibucu różniła się tym, że jej ziemia była własnością prywatną, a nie wspólną – red.], w syjonistycznych koloniach, w kibucach. Sabry – ci rdzenni Izraelczycy, tubylcy – są niemalże cudem. To pochodzenie jest elitarne, jest powodem do dumy. Dodatkowym powodem – bo Żydzi mają podstawę poczucia własnej wartości, wynikającą ze świętych pism: jesteśmy narodem wybranym! Te same pisma muszą zaakceptować – ze

wszystkimi tego konsekwencjami – również chrześcijanie, co zresztą wpędza ich w poczucie niższości. Ta sprawa nas przesładowała. Ale Sabra przynosi do tego poczucia jeszcze jeden komponent: jesteśmy nie tylko narodem wybranym, ale też jesteśmy elitą pośród Żydów.

Jesteśmy lepsi od tych w diasporze?

Oczywiście! O to chodzi. Żydzi w Europie czy Ameryce patrzą na Sabrów z podziwem. Prawdziwie, jesteście nowymi Żydami! Tym samym wielu z nich podświadomie akceptuje stereotyp antysemitki: może jesteśmy bierni nie bez przyczyny, może nie jesteśmy tak silni, tak niezależni, tak atletyczni jak wy – Sabrowie. Na szczęście teraz mamy prawdziwych Żydów – wy nimi jesteście!

Sabra niesie ze sobą ważne przesłanie: żyje w kibucu lub moszawie, a jego najwyższą wartością jest ciężka praca.

To izraelski kowboj, antydekadencki, na każdym kroku demonstrujący swoje połączenie z naturą, także swoim wyglądem: rozwiane wiatrem kręcone włosy (fryzurę taką nazywamy blorit), specyficzna czapka (tembel), sandały jak u biblijnych herosów, ubrania w kolorze khaki. Oczywiście nie nosi żadnych symboli religijnych – jarmużki czy kapelusza – bo nie jest religijny. Religijność – czekanie na Mesjasza – kojarzy mu się zresztą z pasywnością. A syjonizm jest świecką rewolucją: nie musimy czekać na zbawcę, bierzemy sprawy w swoje ręce. Jego język jest prosty, bezpośredni, dugri. Nie potrzebuje żadnych masek, jest do bólu szczery. Wraz z innymi tworzy wielką rodzinę. I oczywiście mamy tu też wizerunek żołnierza: nowy Żyd ma być silny, twardy. Ale też piękny, opalony, wysportowany. Bo stereotypowy Żyd z diaspory jest przecież brzydki, słaby, błądy.

I nagle w latach 80. XX w. to wszystko się zmienia...

Izrael otwiera się na świat, prywatyzuje się, przeżywa kolejną rewolucję: *high-tech* i gwałtowny ekonomiczny wzrost. Społeczeństwo zaczyna się indywidualizować.

I jest rozczarowane Sabrą?

Nie tyle rozczarowane, ile rozliczone z mitem. Już z niego wyrosło. Sabra jest właściwie wytworem izraelskiej elity: europejskiej, związanej z lewicową i socja-

listyczną partią Mapai (później Avoda). Wśród nich było wielu Aszkenazyjczyków, także polskich Żydów, zajmujących najwyższe pozycje w państwie, cieszących się ogromnym sukcesem. Wiele podgrup społecznych czekało tylko, aż powinie im się noga – one czuły się wykluczone z narodowego mitu. Gdy Sabra triumfował, część społeczeństwa pogrążała się w kompleksie niższości.

Kto się tak czuł? Żydzi orientalni, Mizrachijczycy?

Również Żydzi religijni, prawicowi, wszyscy poza „elitą weteranów”. Ich dyskryminacja przebiegała na wielu różnych płaszczyznach: nie tylko ekonomicznej i społecznej, ale też psychologicznej. Aż wojna Jom Kippur z 1973 r. zaowocowała ogromną frustracją [atakując wtedy z zaskoczenia, kraje arabskie zaskoczyły Izrael i wydawało się, że może tę wojnę przegrać; po okupionym dużymi stratami zwycięstwie w Izraelu zaczęły się dyskusje i rozliczenia, kto ponosi winę za to zaskoczenie – red.]. To przełamało oligarchię Partii Pracy. Wystarczyły cztery lata, aby Likud doszedł do władzy – a wraz z nim, po raz pierwszy, wykluczone dotąd grupy.

Likud, czyli partia prawicowa, narodowo-konserwatywna. Rządząca zresztą do dziś.

Wtedy też wielokulturowa percepcja, uwzględniająca różnorodności naszego społeczeństwa, zaczęła coraz silniej pojawiać się w mediach, w badaniach naukowych, na rynku i oczywiście w sferze politycznej. Zauważono, że traktowanie ludzi równo przekłada się na ekonomiczny zysk – bo na więcej klientów. Izrael otworzył się na świat, zaczął się globalizować. I tu pojawia się paradoks. Z jednej strony cieszymy się, że poprawił się nasz standard życia. Z drugiej strony tracimy naszą wyjątkowość i solidarność. Myślimy indywidualnie: chcemy mieć karierę, dobre życie, miłość, dzieci, przyjemność. Wątek geograficzny przestaje być ważny: możesz osiągnąć te cele osobiste gdziekolwiek indziej. Terytorium czy lokalna kultura są mniej ważne niż kiedyś.

Co w takiej sytuacji pozostaje z syjonizmem?

Badania w Izraelu wykazują, że ponad 90 proc. Żydów wciąż uważa syjonizm za ważny, może nawet za jeden z ważniejszych celów w życiu. Ale w prak-

tyce to wygląda inaczej. Wiele osób decyduje się na emigrację z Izraela. Mieliśmy taki termin na emigranta *yored*: „ktoś, kto idzie w dół”, jako metafora moralnego upadku i kogoś, kto w pewnym sensie zdradza. Teraz wyjazd jest do zaakceptowania: żyj tam, gdzie ci wygodniej. A zatem syjonizm jest ważny, ale emigracja z Izraela nie jest taką hańbą jak kiedyś.

Jak wynika z badań, które cytuję Pan w swojej książce „Wielokulturowy Izrael”, większość dorosłej populacji Izraela chciałaby dostać europejski paszport – w tym polski. Tak „na wszelki wypadek”. Boją się? Izrael nie jest bezpieczny?

Tak, mają to na uwadze. Mówią: żyjemy tu tak długo, mieliśmy nadzieję, że konflikt zostanie rozwiązany po Oslo [w 1993 r. w Oslo premier Icchak Rabin i szef Organizacji Wyzwolenia Palestyny Jasir Arafat podpisali porozumienie, które zapoczątkowało tzw. proces pokojowy i miało doprowadzić do ostatecznego rozwiązania konfliktu – red.]. Tymczasem pokój jak nie było, tak nie ma, a eskalacje konfliktu raz na jakiś czas rozbudzają falę terroryzmu. Syjonizm przestał być imperatywem – gdy nim był, ludziom nie zależało na osobistym bezpieczeństwie, byli gotowi poświęcać życie dla idei trwania w tym miejscu. A teraz, gdy tym imperatywem nie jest, nie musisz już niczego poświęcać – myślisz realnie o swoim bezpieczeństwie. Bo poczucie bezpieczeństwa jest też wypadkową indywidualistycznego sposobu myślenia. Dla tych osób np. polski paszport jest więc dostępem do Europy. Jest jakby pasem bezpieczeństwa.

Jacy są współcześni Izraelczycy?

Nie są ultranacjonalistyczni, jak czasem można usłyszeć w niektórych mediach. Skrajna prawica i lewica są marginesem, a nie większością. Większość Izraelczyków nie jest też bardzo religijna. Świadomi swoich korzeni, jednocześnie nie mają problemu z akceptacją grup LGBT. Ludzie mają raczej elastyczne poglądy polityczne, usytuowane gdzieś „pomiędzy”. Większość z nich byłaby za kompromisem terytorialnym z Palestyńczykami tak długo, jak to zapewnia bezpieczeństwo. Z brakiem zaufania w stosunku do Arabów bardziej im po drodze z Europą Wschodnią niż z krajami Zachodu. Nie mają tej naiwnej lewicowej percepcji, patrzą na sprawy realistycznie. Nie lubią



KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

OZ ALMOG (ur. 1956) jest socjologiem i historykiem, specjalizuje się w popkulturze, subkulturach i stylu życia w Izraelu. Jeden z najważniejszych komentatorów współczesnego społeczeństwa, autor książek. Jest, jak mówi, zafascynowany swymi polskimi korzeniami: jego dziadkowie wyjechali z Polski przed II wojnę światową. Mówi, że odczuwa wdzięczność wobec polskiej kultury i edukacji, którą dziadkowie przekazali rodzicom, a następnie jemu. Podczas rozmowy nazywa naszą dziennikarkę „swoją przybraną siostrą”. Po polsku ukazały się jego dwie książki: „Wielokulturowy Izrael” oraz „13 Flotylla. Komandosi izraelskiej marynarki wojennej na Morzu Czerwonym 1967–1973”, której bohaterem jest także jego ojciec – zasłużony admirał Zeev Almog, były dowódca izraelskiej marynarki wojennej.

politycznej poprawności, są świadomi różnic kulturowych, różnic w mentalności. Wiedzą, że nieprawdą jest, że pokój można zawrzeć tylko wtedy, gdy pójdziemy na kompromisy. Że pokój zaczyna się wraz z akceptacją egzystencji sąsiada. Przecież Arabowie nie akceptują izraelskiej egzystencji.

Ale nie powie Pan chyba, że Izrael nie ma problemu z dyskryminacją. Widać to gołym okiem. Etiopscy Żydzi, praktycznie nieobecni w wyższych sferach kraju, czy Arabowie, którzy – choć są obywatelami Izraela – nie cieszą się tymi samymi przywilejami co reszta; że już nie wspomnę o stereotypach.

Nie ma chyba kraju, w którym ten problem by nie występował. Wciąż mamy dyskryminację kobiet, osób religijnych, Etiopczyków, Rosjan, a także Arabów. Swoją drogą, z każdej ankiety przeprowadzonej na przestrzeni ostatniej dekady dowiadaliśmy się, że większość Arabów ma w Izraelu dobre życie i jest

zadowolona. Mają najwyższy możliwy standard życia, także na tle innych krajów Zachodu: dobre warunki, dostęp do świetnej edukacji i dobrego ubezpieczenia zdrowotnego. Perspektywa życiowa Arabów w Izraelu jest najwyższa spośród wszystkich Arabów na świecie.

Jest też grupa Żydów pochodzących z krajów arabskich, wspomniani wcześniej Mizrachijczycy. Dziś mówią głośno o dyskryminacji, jaka spotykała ich w poprzednich dekadach, i coraz bardziej pną się po społecznej drabinie. To nowa klasa średnia?

Klasa średnia to ponad 3,5 mln ludzi, z których ponad jedna trzecia to tzw. noworowsze. Klasę średnią podzieliłbym na „weteranów” – to głównie Aszkenazyjczycy – oraz tę „nową”, do której przynależą głównie Żydzi orientalni. Swoją edukację i standard życia polepszały od przełomu lat 80. i 90. XX w. Spotkać ich można zarówno w północnych dzielnicach Tel Awiwu, jak i w małym Atlit. Ich styl życia, estetyka, smak pozostają pod wpływem orientalnym – słuchają muzyki mizrach, jedzą tadin, świętują Mimounę. Jednak najsilniejszy wpływ wywiera na nich kultura amerykańska. Globalizacja, wypłukująca nas z lokalnej „izraelskości”, to właściwie tendencja dotycząca także innych krajów, np. Polski. Zauważamy, jak maleje liczba różnic między nami a innymi krajami Zachodu.

Ben Gurion byłby zadowolony ze społeczeństwa „wyzbytego izraelskości”?

Nie zapominajmy, że Izrael pozostaje naszą wielką narodową dumą. To przecież niemalże kraj-cud! Nie tylko jego powstanie, ale też osiągnięcia: przodowanie w nauce, *high-tech*, innowacjach, medycynie, rolnictwie. W osiągnięciach demokracji, w pluralizmie społeczeństwa. Jesteśmy narodem sukcesu i najwyraźniej wciąż to pogłębiaamy. Wciąż jesteśmy bardzo „rodzinnym” społeczeństwem; większość z nas służy w armii, wielu Izraelczyków widzi w tym swoją powinność i czuje swoje „narodowe przeznaczenie”. Niestety, między nami i naszymi sąsiadami istnieje kulturowa przepaść. Większość z nas mówi najpierw: „Jestem Izraelczykiem”, a dopiero później: „Jestem Żydem”, choć to się ze sobą oczywiście łączy. Tak, Ben Gurion by się ucieszył.

© Rozmawiała w Ramat Gan w Izraelu
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Izraelski umysł

OFER ADERET

Ciągle zagrożenie stało się motorem rozwoju najnowszych technologii i przekuło Izrael w jeden wielki start-up. Za sukcesem stoją dekady doświadczeń i trudna historia.

Naród start-upów narodził się wtedy, co państwo: w 1948 r., i to w konkretnym momencie. Choć technologia, którą właśnie zamierzano stworzyć, zdawała się eksperymentalna i nikt nie miał pewności, czy się powiedzie. A jednak inicjatywa budowy własnego komputera weszła w fazę realizacji. Projekt wymagał ogromnych jak na tamten czas inwestycji: 50 tys. dolarów (dzisiaj równowartość pół miliona). Nie było oczywiste, czy Izrael znajdzie na to pieniądze – w pierwszych latach niepodległości był krajem biednym i trudno mu było inwestować w ryzykowne idee.

Ale profesorowie departamentu matematyki w Instytucie Weizmanna uparli się, że ów sprzęt jest im potrzebny do badań. Po kilku latach dyskusji i przygotowań w 1955 r. Instytut uruchomił komputer, który na cześć pomysłodawców otrzymał dumną nazwę WEIZAC (od Weizmann Automatic Computer). Jego stworzenie wymagało improwizacji – część komponentów produkowano w warsztacie do naprawy rowerów.

Nawet ci, którzy byli komputerowi przeciwni, szybko zrozumieli jego potencjał i przekonali się, że był to strzał w dziesiątkę. Do maszyny ustawiały się kolejki: każdy chciał dostać pozwolenie, by móc używać komputera w swej pracy. Wśród oczekujących był Cahal – nowo narodzona armia. Jej przedstawiciele prosili Ben Guriona, by przekonał Instytut Weizmanna do udzielenia specjalnej zgody na korzystanie z tego cudu techniki – na początek po kilka godzin w nocy.

OJCIEC Z PŁOŃSKA Powoli komputer pchał Izrael w stronę sukcesu: najpierw przemysłu *high-tech*, a później tego, co dziś określamy mianem „narodu start-upów”.

Stworzenie komputera szeroko opisywały ówczesne media. Nazywały go elektronicznym mózgiem z Rehovot [miasto koło Tel Awiwu, siedziba Instytutu Weiz-

manna – red.]. „Wystarczy pokazać komputerowi wykonanie jakiegoś zadania, a będzie powtarzał to działanie w nieskończoność” – tłumaczył dziennikowi „Dawar” jeden z badaczy po konferencji prasowej prezentującej wynalazek. „Bardzo skomplikowana matematyczna kalkulacja, której rozwiązanie zajęłoby człowiekowi dwa dni, dla komputera jest pestką: rozwiązuje je w kilka chwil” – donosiła zachwycona gazeta.

Dziś WEIZAC jest eksponatem muzealnym, można go oglądać w Instytucie Weizmanna. Wydaje się dziwny zwłaszcza młodej generacji, wyrosłej na iPhone’ach i iPadach – faktycznie, z dzisiejszej perspektywy to staromodna maszyna z dużą ilością kabli. Na tabliczce obok napisano: „WEIZAC 1954-1964, pierwszy elektroniczny komputer w Izraelu”. Nie ma wątpliwości, że był kamieniem milowym na drodze do izraelskiego *high-tech* i narodu start-upów.

Oba miały swojego ojca: był nim sam Dawid Ben Gurion. Niski mężczyzna z przerzedzoną czupryną, polski Żyd z Płońska, który 70 lat temu zrealizował to, co początkowo wydawało się niemożliwe: ogłosił niepodległość Izraela. Z perspektywy historycznej możemy powiedzieć, że ten sam Ben Gurion był mądrym innowatorem, a jego start-up nazywał się państwo Izrael.

Dlaczego właściwie nazywam mój kraj start-upem? Bo w historii jego powstawania można dostrzec te same cechy, które są potrzebne do rozwoju firmy: wizję, odwagę, brak zgody na słowo „nie”, myślenie poza schematami, niezależność, wielką wolę, bohaterskość i hucpę (gdy są potrzebne), a także mnóstwo szczęścia, umiejętność improwizacji i zbierania funduszy na projekt. Wreszcie – nastawienie na sukces.

Bo co do sukcesu Izraela nikt nie ma dziś wątpliwości. Owszem, słusznej krytyce poddawanych jest wiele jego aspek-



tów. Ale trudno przejść obojętnie wobec faktu, że 70-letnie państwo z jedynie ośmioma milionami obywateli, otoczone przez wrogów i będące w sytuacji stałej gotowości wojennej, nieposiadające zasobów naturalnych – potrafiło stworzyć więcej start-upów niż inne narody znajdujące się w lepszej, spokojniejszej sytuacji. To powód do dumy!

STRACH I INNOWACYJNOŚĆ Jak to się stało? Niektórzy mówią o „żydowskim umyśle”: tym od Einsteina, Freuda, Kafki, Majmonidesa i wielu innych synów narodu wybranego, którzy z pokolenia na pokolenie potrafili rozwinąć sposoby na przetrwanie. Nie bez znaczenia jest tu historia Holocaustu i trudności, których Żydzi doświadczali w diasporze. W Hagadzie [przypowieści – red.] na święto Pesach jest zdanie, które powtarzamy naszym dzieciom co roku: „W każdym pokoleniu powstają przeciw nam, by nas unicestwić, a Święty Błogosławiony ratuje nas z ich rąk”.

Przekonania o byciu na słabszej pozycji, o ciągłym zagrożeniu były dla Żydów w diasporze motywacją do wytężonej pracy i kreatywności. Setki lat takiego życia wytworzyły w nas mechanizm, który legł u podstaw start-upowego myślenia. Dzisiejsi przedsiębiorcy w tej branży są



GIL COHEN MAGEN / EYEVIEW / EAST NEWS

Projekt D-Mars: model stacji kosmicznej, która mogłaby funkcjonować na Marsie, zbudowany na pustyni Negev. Luty 2018 r.

nej tu aplikacji Viber (w przeszłości używali komunikatora ICQ). Wszędzie przekazujemy sobie pliki, używając pamięci USB. Inne izraelskie start-upy stworzyły np. druk cyfrowy, zaporę sieciową, pocztę głosową i wiele innych wynalazków. Ostatnio do listy dołączyła technologia mobileye, pomagająca kierowcom bezpieczniejszej poruszać się po drogach.

Ale izraelski rynek start-upów nie ogranicza się do techniki. To także medycyna: np. octan glatirameru (lek na stwardnienie rozsiane), izraelska wersja wykorzystywanego w kardiologii stentu, a także nogi robotyczne – protezy, które umożliwiają chodzenie. W rolnictwie – pomidory cherry, systemy ogrzewania wody energią słoneczną czy inteligentne systemy nawadniające (liderem jest firma Netafim, operująca też w Polsce). W obronności hitem był kiedyś pistolet maszynowy uzi (produkowany od 1956 r. do dziś, w kolejnych wersjach). Teraz prym wiedzie „Żelazna Kopuła”: system, który niedawno ochronił północ kraju przed dwudziestoma nadlatującymi irańskimi rakietami.

IZRAELSKI SEN W ostatnich dekadach w naszych słownikach zagościło nowe słowo, które przyprawia przedsiębiorców o szybsze bicie serca: *exit*, czyli kupno start-upu. Izraelska matka nie marzy już dla swojego dziecka o karierze prawnika czy lekarza – chce raczej, by pracowało w odnoszącym sukcesy start-upie. Exitem mogą się pochwalić setki izraelskich start-upów – ich pomysły chętnie wykupują za miliardy dolarów takie firmy jak Microsoft, Facebook czy Google. Izraelski sen ma teraz jeden scenariusz: założyć *start-up*, zrobić *exit* i zostać młodym milionerem, który nie musi już się martwić o utrzymanie siebie i rodziny.

Nie możemy zapomnieć o jeszcze innym start-upowym umyśle w tym kraju: o Szimonie Peresie, pochodzącym z Wiszniewa. Jeszcze zanim ukułiliśmy słowo „startupowiec”, ten człowiek przez dziesięciolecie pokazywał nam swoim przykładem, co znaczy myśleć w tych kategoriach. Był w stanie zlokalizować problem i znaleźć sposób na jego rozwiązanie.

Największym przykładem jego działalności było stworzenie przemysłu nuklearnego w Dimonie – czyli znanego izrael-

skiego sekretu, o którym każdy (poza Izraelczykami) może dziś swobodnie opowiadać.

„Nie mamy żadnych skarbów, które moglibyśmy pozyskiwać z tej ziemi, więc odkryliśmy coś najcenniejszego: skarb ludzkiego umysłu” – mawiał Peres. Miał sporo racji: z powodu tego właśnie skarbu ośmiu Izraelczyków zdobyło Nobla, trzech Nagrodę Turinga, a jeden Medal Fieldsa (zwany „Noblem matematyki”). Jak na małe i młode państwo nie lada osiągnięcie.

Takie umiejętności, taki „izraelski umysł” były potrzebne, aby przemienić nieurodzajną błotnistą glebę z północy kraju i piaski pustyni z południa w oazę. Warunkiem było stworzenie pierwszego w historii rolnictwa *high-tech*. Takiego, które zapewni stały dopływ wody na pustyni i umożliwi uprawę owoców i warzyw w trudnej ziemi.

POKÓJ JAK START-UP Co dalej? Premier Benjamin Netanjahu lubi powtarzać, że Izrael jest wyspą stabilności w oceanie problemów dookoła. Ale trzeba przyznać, że nie wszystko w narodzie start-upów jest takie różowe. Szalone koszty życia (kupienie mieszkania przez młodych ludzi w tym kraju jest prawie niemożliwe, a cena mleka jest jedna z wyższych na świecie), rosnąca przepaść między biednymi i bogatymi, podziały polityczne i społeczne (głębokie jak nigdy wcześniej), gigantyczne korki na drogach... Mentalność, która sprzyja tworzeniu start-upów – mówienie „*ihie beseder*” (wszystko będzie dobrze), „możesz mi zaufać”, kombinowanie – ma też swoją cenę: korupcję zbierającą żniwo również na najwyższych szczeblach państwa.

Być może następnym najważniejszym start-upem dla Izraela będzie pokój. Taki, który połączy siły i umiejętności umysłów z innych krajów tego regionu, a także pomoże oszczędzić wielkie sumy wydawane teraz na obronność i przeznaczyć je na rozwój oraz edukację.

Długa droga, jaką izraelska gospodarka pokonała – zaczynając od jałowej ziemi, rozwijając rolnictwo i przemysł, zmieniając się z systemu socjalistycznego w wolny rynek, a potem w rynek start-upów – udowadnia, że wszystko u nas jest możliwe. ©

OFER ADERET jest reporterem zajmującym się tematyką historyczną w dzienniku „Haaretz”.

ekspertami w znajdowaniu szybkich i efektywnych rozwiązań problemów.

Izrael to również kraj imigracji, tygiel kulturowy żydowskich przybyszów z różnych części świata. Przyjeżdżali tu na przestrzeni dekad, a każdy dawał coś od siebie. Kulturowy ferment i wymiana pomysłów mogły uczynić to miejsce lepszym i otwartym na różnorodność i pomysły.

Jest jeszcze jedna odpowiedź na pytanie, jak to było możliwe – istnienie izraelskiej armii. Po pierwsze, bo zmusza nastolatki do szybkiego dorastania i dostosowania się do trudnego świata, gdy w tym czasie ich rówieśnicy w krajach Zachodu mogą swobodnie cieszyć się młodością. Po drugie, armia stała się wielkim laboratorium start-upów w dziedzinach obronności i wywiadu. Wielu żołnierzy, którzy służą w takich oddziałach, łatwo znajduje potem pracę w innowacjach. Znow więc istnienie ciągłego zagrożenia stało się motorem do rozwoju technologii w dziedzinie obronności.

APLIKACJE, LEKI, ROLNICTWO Lista znanych izraelskich start-upów jest długa i stale rośnie.

Kierowcy na całym świecie, także w Polsce, nawigują przy użyciu izraelskiej aplikacji Waze. Użytkownicy komunikują się ze znajomymi, używając stworzo-

MUZEUM HISTORII
ŻYDÓW POLSKICH POLIN

POLIN
MUZEUM HISTORII
ŻYDÓW POLSKICH



OBCY W DOMU

WOKÓŁ MARCA '68
WYSTAWA CZASOWA
09.03 – 24.09.2018

WWW.POLIN.PL

OBCY
W DOMU
WOKÓŁ MARCA '68



PATRONI MEDIALNI

WIERZBAŁO
HISTORIA

WSPOLORGANIZATOR

STOWARZYSZENIE
ŻYDOWSKI INSTYTUT
HISTORYCZNY W POLSCE



PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA
MIASTA STYCZNIOWO

WSPARCI

TAUBE
FOUNDATION

WILLIAM K. BOWEN, JR.
FOUNDATION

GEORGE
FOUNDATION



Siles Family Foundation

David Golden (Double Honor Fellowship at Auschwitz for the Study of Professional Ethics)
/ Marek i Agnieszka Nowakowscy / Andrzej i Małgorzata Rysk / Jerry Mariani Foundation / Paul Golden / Sandy Soffer

NEWMAN FAMILY FOUNDATION

WIERZBAŁO

sens

wyborcza

wyborcza.pl

cojestrane24

ams

ams

empik

NARODOWE
ARCHIWUM
CYFROWE

PARTNER INSTITUCJONALNY

naszemiasto

kinor

kinor

empik

empik

VIVA!